

MORRIS DESMOND

LUDZKIE ZOO

(PRZEŁOŻYŁ TOMASZ KRZESZOWSKI)

SCAN-DAL

WSTĘP

Udręczony mieszkaniec wielkiego miasta -gdy presje współczesnego życia zbyt dają mu się we znaki -określa często swoje przeludnione środowisko mianem betonowej dżungli. To barwne określenie bardzo nieprecyzyjnie opisuje model życia w gęstym skupisku miejskim, co może potwierdzić każdy, kto zna prawdziwą dżunglę.

Żyjące w środowisku naturalnym dzikie zwierzęta zazwyczaj nie okaleczają się nawzajem, nie onanizują się, nie atakują swojego potomstwa, nie cierpią na wrzody żołądka ani na otyłość, nie praktykują fetyszyzmu, nie żyją w związkach homoseksualnych i nie popełniają morderstw. Natomiast u ludzi mieszkających w miastach wszystkie te zjawiska mają oczywiście miejsce. Czy więc w ten sposób ujawnia się podstawowa różnica między rodzajem ludzkim a innymi zwierzętami? Na pierwszy rzut oka wydaje się, że tak. Jest to jednak jedynie pozór. W pewnych okolicznościach, a mianowicie w nienaturalnych warunkach niewoli, inne zwierzęta także zachowują się w ten sposób. Zwierzę przebywające w klatce ogrodu zoologicznego demonstruje te same anomalie, jakie znamy doskonale z zachowań naszych ludzkich pobratymców. Tak więc najwyraźniej miasto nie jest betonową dżunglą, lecz raczej ludzkim zoo.

Mieszkańca miasta nie należy porównywać z dzikim zwierzęciem żyjącym na wolności, lecz ze zwierzęciem w niewoli. Współczesne zwierzę ludzkie nie żyje już warunkach naturalnych dla swojego rodzaju. Człowiek, schwytany w pułapkę nie przez łowcę z ogrodu zoologicznego, lecz przez świetność własnego umysłu, umieścił sam siebie w ogromnej niespokojnej menażerii, gdzie nieustannie grozi mu załamanie się pod wpływem zbyt wielkich napięć.

Obok tych presji istnieją też jednak rozliczne korzyści. Świat zoo, niczym potężny rodzic, roztacza opiekę nad swoimi wychowankami, zapewniając jedzenie, picie, schronienie, higienę i opiekę medyczną. Podstawowe problemy związane z przeżyciem są ograniczone do minimum. Pozostaje jeszcze sporo czasu wolnego. Zwierzęta w ogrodach zoologicznych wykorzystują ten czas w rozmaity sposób, właściwy różnym gatunkom. Jedne odpoczywają spokojnie, wylegając się w słońcu, podczas gdy inne nie potrafią wytrzymać przedłużającej się beczynności. Mieszkańcy ludzkiego zoo niewątpliwie należą do tej drugiej kategorii. Ludzki mózg, z istoty swej poszukujący i wynalazczy, nie znosi długich okresów beczynności. Dlatego człowiek odczuwa nieustanną konieczność podejmowania coraz bardziej skomplikowanych zadań. Bada, organizuje i tworzy, coraz głębiej pogrążając się w

coraz bardziej zniewalające zoo, jakim jest świat. Każda nowa komplikacja o kolejny krok oddala go od naturalnego stanu plemiennego, w jakim jego przodkowie bytowali milion lat.

Historia współczesnego człowieka to dzieje zmagania ze skutkami tego trudnego marszu do przodu. Obraz ten jest zagmatwany i trudno się w nim rozeznaczyć, po części dlatego, że odgrywamy tu podwójną rolę -zarazem widzów i uczestników. Może stanie się on wyraźniejszy, gdy przyjrzymy mu się okiem zoologa, i to właśnie chcę uczynić na kartach tej książki. Celowo wybrałem większość przykładów bliskich czytelnikom wychowanym w kulturze Zachodu. Nie znaczy to wcale, że zamierzam odnosić swoje wnioski jedynie do kultur zachodnich. Wprost przeciwnie -wszystko wskazuje na to, że podstawowe zasady są wspólne dla wszystkich mieszkańców miast na całym świecie.

Każdego, komu wyda się, że sens tego, co powiem, zawiera się w słowach: "Zawracajcie, bo zmierzacie do zguby", zapewniam, że nie taka była moja intencja. W tym nieustępliwym dążeniu do postępu społecznego chwalebnie ujawniamy nasze potężne popędy twórcze i badawcze. Są one najwartościowszą częścią naszego dziedzictwa biologicznego. Nie ma w nich nic sztucznego ani nienaturalnego. Stanowią zarówno źródło naszej wielkiej siły, jak i naszych wielkich słabości. Pragnę wszakże wykazać, że za uleganie im musimy płacić coraz wyższą cenę, a także ukazać wyszukane sposoby, do jakich się uciekamy, aby sprostać tym wciąż rosnącym kosztom. Stawki idą w górę, gra staje się coraz bardziej ryzykowna, pochłania coraz większą liczbę ofiar i nabiera coraz bardziej obłądnego tempa. Jednakże mimo niebezpieczeństw, które ze sobą niesie, jest to najbardziej emocjonująca gra, jaką zna świat. Głupotą byłoby sądzić, że ktoś powinien odgwizdać jej koniec. Można jednak w nią grać na wiele różnych sposobów; lepsze poznanie prawdziwej natury graczy powinno pomnożyć korzyści płynące z gry, nie zwiększając jej ryzyka i nie narażając całego gatunku na zgubę.

1. PLEMIE I SUPERPLEMIĘ

Wyobraźmy sobie obszar lądowy o wymiarach 35 kilometrów szerokości i 35 kilometrów długości. Powiedzmy, że jest to kraina dzika, zamieszкана przez różne mniejsze i większe zwierzęta. Później wyobraźmy sobie zwartą sześćdziesięcioosobową grupę ludzi obozujących w środku tego terytorium. Siedzisz tam, czytelniku, jako członek tego małego plemienia, wśród znajomego ci krajobrazu, który rozciąga się wokół, poza zasięg twego wzroku. Nikt prócz twoich współplemieńców nie korzysta z tego ogromnego obszaru. Jest to wyłącznie wasze miejsce zamieszkania i wasz teren łowiecki. Mężczyźni należący do waszej grupy nader często wyprawiają się na poszukiwanie zdobyczy. Kobiety zbierają owoce i jagody. Dzieci spędzają czas na hałaśliwych zabawach w pobliżu obozowiska, naśladowując techniki łowieckie ojców. Jeżeli plemię ma się dobrze i powiększa się, od czasu do czasu jakaś grupa odłącza się, by skolonizować nowe tereny. I tak, z czasem, rozprzestrzenia się cały gatunek.

Wyobraźmy sobie teraz obszar lądowy o wymiarach 35 kilometrów szerokości i 35 kilometrów długości. Powiedzmy, że jest to kraina ucywilizowana, wypełniona budynkami i maszynami. Potem wyobraźmy sobie zwartą sześciomilionową grupę ludzi obozujących w środku tego terytorium. Siedzisz tam, czytelniku, wewnątrz olbrzymiego kompleksu miejskiego, który rozciąga się wokół, poza zasięg twego wzroku.

Porównajmy te dwa obrazy. Na każdą osobę z pierwszego przypadają setki tysięcy osób z drugiego. Obszar jest ten sam. W skali czasu ewolucji ta radykalna zmiana dokonała się niemal w jednej chwili. Wystarczyło zaledwie kilka tysięcy lat, aby obraz pierwszy ustąpił miejsca drugiemu. Wydaje się, iż ludzkie zwierzę znakomicie przystosowało się do swojego niezwykłego, nowego stanu, nie miało jednak dość czasu, by zmienić swój kształt biologiczny, by w drodze ewolucji przekształcić się w nowy gatunek, ucywilizowany również pod względem genetycznym. Proces cywilizacyjny dokonywał się wyłącznie w trybie uczenia się i przystosowywania. Biologicznie człowiek pozostaje wciąż prostym stadno-plemiennym zwierzęciem przedstawionym w obrazie pierwszym. W tej postaci żył on nie kilkaset lat, lecz cały milion lat trudnego bytowania. W tym okresie podlegał też oczywiście zmianom biologicznym. Ewoluował w sposób nie budzący wątpliwości. Presje związane z przeżyciem były ogromne i one właśnie go kształtowały.

W ciągu minionych kilku tysięcy lat urbanizacji i bogatych w wydarzenia lat człowieka cywilizowanego dokonało się tak wiele, że z trudem uświadamiamy sobie, iż jest to

jedynie mały fragment historii gatunku ludzkiego. Jest on nam tak dobrze znany, że w jakiś nie sprecyzowany bliżej sposób wyobrażamy sobie, iż wrastając w rzeczywistość stopniowo, pod względem biologicznym jesteśmy w pełni przygotowani do radzenia sobie ze wszystkimi nowymi zagrożeniami społecznymi. Tymczasem spojrzawszy chłodnym okiem, będziemy zmuszeni przyznać, że wcale tak nie jest. To jedynie nasza zdumiewająca elastyczność, nasza niesłychana zdolność przystosowania się sprawia, że tak myślimy. Prosty myśliwy plemienny ze wszystkich sił stara się swobodnie i z dumą nosić swój nowy strój. Ale jest to ubiór skomplikowany i nieporęczny, w którym co chwila się potyka. Jednakże, nim dokładniej zbadamy, jak dochodzi do tych potknięć i utraty równowagi przez współczesnego myśliwego, musimy się przyjrzeć, w jaki sposób udało mu się zszyć w jedną całość tę wspaniałą szatę cywilizacji.

Wypada zacząć od powrotu w uściski epoki lodowej, a więc od obniżenia temperatury jakieś dwadzieścia tysięcy lat temu. Naszym wczesnym przodkom jako myśliwym udało się już rozprzestrzenić po większej części obszarów Starego Świata i byli oni właśnie w przededniu wędrówek przez kontynent Azji aż do Nowego Świata. Ta imponująca ekspansja musiała oznaczać, że nawet ich niewyszukany myśliwski styl życia przewyższał łowieckie możliwości ich mięsożernych rywali. Nie ma w tym nic dziwnego, jeśli zważyć, że mózgi naszych przodków z epoki lodowej były już równe naszym, tak pod względem rozmiaru, jak i stopnia rozwoju. Ich szkielety także niewiele różniły się od naszych. Biorąc pod uwagę rozwój fizyczny, można powiedzieć, że na scenę już wówczas wkroczył człowiek współczesny. W istocie, gdyby można było, używając wehikułu czasu, przenieść jakiegoś noworodka z epoki lodowej do czasów nam współczesnych i wychować go tak jak nasze dziecko, prawdopodobnie nikt nie domyśliłby się oszustwa.

W Europie klimat nie był przyjazny, ale nasi przodkowie świetnie sobie z nim radzili. Z pomocą najprostszych środków technicznych potrafili zabijać potężne zwierzęta łowne. Na szczęście pozostawili nam świadectwo swych umiejętności myśliwskich nie tylko w postaci przypadkowych resztek wykopywanych z osadów jaskiniowych, lecz także w postaci zdumiewających malowideł pokrywających ściany jaskiń. Wyobrażone tam kudłate mamuty, włochate nosorożce, bizona i renifery nie pozostawiają wątpliwości co do ówczesnego klimatu. Gdy obecnie opuszcza się te ciemne jaskinie, wchodząc w spalony słońcem krajobraz, trudno sobie wyobrazić, że kiedyś żyły tu zwierzęta pokryte grubym futrem. Wówczas wyraźnie widać różnicę między temperaturą, jaka panowała wtedy, a temperaturą w naszych czasach.

Gdy ostatnie zlodowacenie dobiegło końca, pokrywa lodowa zaczęła się wycofywać na północ z szybkością około czterdziestu metrów na rok, a wraz z nią wycofywały się na północ zwierzęta chłodnych krain. Na miejscu zimnej tundry wyrosły gęste puszcze. Jakies dziesięć tysięcy lat temu zakończyła się wielka epoka lodowa i nadeszła nowa era w dziejach człowieka.

Przełom miał nastąpić w miejscu, gdzie stykają się Afryka, Azja i Europa. Tam właśnie, na wschodnim krańcu Morza Śródziemnego, nastąpiła drobna zmiana w obyczajach żywieniowych, która miała decydujący wpływ na kierunek ludzkiego postępu. Sama w sobie była ona dość niepozorna i prosta, jednak jej skutki okazały się niezwykle doniosłe. Obecnie jest to rzecz zupełnie oczywista, gdyż chodzi tu po prostu o rolnictwo.

Dotąd wszystkie plemiona ludzkie napelniały żołądki w jeden z dwóch sposobów. Mężczyźni polowali, by zdobyć pokarm zwierzęcy, kobiety zaś zbierały pokarm roślinny. Dzielenie się zdobyciami zapewniało zrównoważoną dietę. Dosłownie wszyscy aktywni, dorośli członkowie plemienia byli dostarczycielami pożywienia. Magazynowanie żywności stosowano jedynie w niewielkim zakresie. Po prostu wychodzili i zbierali to, co akurat mieli ochotę zebrać. Nie było to tak niebezpieczne, jak się nam może wydawać, bowiem cała ówczesna populacja ludzka w porównaniu z jej dzisiejszym ogromem była znikoma. Jednakże, mimo że owi wczesni myśliwi-zbieracze działali bardzo skutecznie i rozprzestrzenili się na wielkich połaciach globu, poszczególne plemiona były niewielkie i miały prostą strukturę. Podczas setek tysięcy lat ewolucji człowiek coraz lepiej przystosowywał się do tego myśliwskiego stylu życia -zarówno fizycznie, jak i umysłowo, zarówno pod względem budowy, jak i zachowania. Krok, jaki wykonał wchodząc w okres rolniczy, a więc w okres produkcji żywności, wymagał przekroczenia nieoczekiwanego progu, za którym nagle znalazł się w zupełnie nowym, nie znanym mu układzie społecznym, nie mając czasu na wytworzenie w sobie nowych właściwości, które byłyby wbudowane w jego program genetyczny i odpowiadały tej nowej sytuacji. Od tej pory umiejętność przystosowania się i elastyczność zachowań, zdolność do uczenia się i dostosowywania się do nowych, bardziej złożonych sposobów postępowania, miały być poddawane jak najsurowszym próbom. Już tylko jeden krok dzielił człowieka od urbanizacji i wszelkich komplikacji związanych z życiem w mieście.

Na szczęście długie terminowanie w rzemiośle myśliwego pozwoliło człowiekowi rozwinąć zarówno pomysłowość, jak i system wzajemnej pomocy. Choć jest prawdą, że podobnie jak małpy, od których się wywodzili, ludzie jako myśliwi wciąż mieli wrodzone poczucie współzawodnictwa i pewności siebie, owo współzawodnictwo uległo znacznemu

złagodzeniu dzięki coraz silniej dochodzącej do głosu konieczności współpracy. Była to dla nich jedyna szansa na odniesienie sukcesu w rywalizacji z wytrawnymi zabójcami świata mięsożerców, jakimi były na przykład potężne drapieżne koty wyposażone w ostre pazury. Ludzie jako myśliwi rozwinęli umiejętność współpracy wraz z inteligencją i zamiłowaniem do poszukiwań, a połączenie tych cech okazało się skuteczne i śmiertelnie groźne. Uczyli się szybko, mieli świetną pamięć i doskonale kojarzyli ze sobą poszczególne elementy wcześniejszej nauki w celu rozwiązywania zupełnie nowych problemów. Ta zdolność, użyteczna już wcześniej, podczas uciążliwych wypraw myśliwskich, stała się jeszcze bardziej istotna teraz, gdy zaczęli tworzyć ogniska domowe i stali u progu nowych i nierównie bardziej złożonych form życia społecznego.

Obszary wokół wschodniego krańca Morza Śródziemnego były naturalną ojczyzną dwóch niezmiernie ważnych roślin, mianowicie dzikiej pszenicy i dzikiego jęczmienia. W tym samym regionie można też było spotkać dzikie kozice, dzikie owce, dzikie bydło i dzikie świnię. Myśliwi i zbieracze, którzy osiedlili się w tych okolicach, udomowili już psa, którego używano jednak głównie jako towarzysza polowań i stróża, nie zaś jako bezpośrednie źródło pożywienia. Prawdziwe rolnictwo rozpoczęło się od uprawy tych dwóch roślin - pszenicy i jęczmienia. Wkrótce potem nastąpiło udomowienie najpierw kóz i owiec, a następnie, nieco później, krów i świń. Najprawdopodobniej zwierzęta zostały zwabione uprawą jadalnych roślin i przybyły, aby znaleźć pokarm, po czym zostały i poddały się zabiegom hodowlanym, po czym same posłużyły za pokarm.

Nie przypadkiem pozostałe dwa regiony na ziemi, na których później i niezależnie od siebie rozwinęły się cywilizacje starożytne (Azja Południowa i Ameryka Środkowa), były to miejsca, gdzie myśliwi-zbieracze znajdowali dzikie rośliny nadające się do uprawy: ryż w Azji i kukurydzę w Ameryce.

Te uprawy późnej epoki kamiennej były na tyle udane, że od tamtych czasów aż do dnia dzisiejszego udomowione wówczas rośliny i zwierzęta pozostają głównym źródłem pożywienia we wszystkich przedsięwzięciach rolniczych prowadzonych na wielką skalę. Poważny postęp we współczesnym rolnictwie dotyczy w większym stopniu mechanizacji niż biologii. Prawdziwie rewolucyjny wpływ na gatunek ludzki miały jednak z początku nie wykorzystywane rezerwy żywności produkowanej we wczesnym rolnictwie.

Patrząc wstecz, nietrudno to wyjaśnić. Przed nastaniem rolnictwa każdy, kto chciał jeść, musiał wziąć udział w zdobywaniu pożywienia. Musiało się w to angażować dosłownie całe plemię. Gdy jednak te same mózgi, które dawniej, wybiegając myślą w przyszłość, planowały i opracowywały taktyki łowieckie, zajęły się organizowaniem uprawy zbiorów,

nawadnianiem ziemi i karmieniem trzymanyh w niewoli zwierząt, ich działania okazały się tak skuteczne, że pierwszy raz w dziejach ludzkości zapewniały nie tylko stałe zaopatrzenie, lecz także regularnie i niezawodnie pojawiającą się *nadwyżkę*. Wytworzenie tej nadwyżki było kluczem do wrót cywilizacji. Nareszcie plemię ludzkie osiągnęło stan, w którym liczba osób zatrudnionych przy zapewnianiu pożywienia była mniejsza od liczby tych, których należało wyżywić. Dzięki temu plemię nie tylko mogło rosnać liczebnie, lecz także pewna liczba jego członków mogła poświęcić się innym zadaniom, i to nie tylko częściowo, na marginesie zadania głównego, jakim było zapewnienie pożywienia, lecz w pełnym wymiarze czasu. Rozkwitały więc inne rodzaje działalności. Nastął wiek specjalizacji.

Takie były skromne początki pierwszych miast. Jak powiedziałem, nietrudno to wyjaśnić, to znaczy nietrudno nam dziś, patrząc w przeszłość, wychwycić ten najważniejszy czynnik, który sprawił, że ludzkość wykonała swój kolejny wielki krok. Nie znaczy to jednak wcale, że dla ówczesnych ludzi był to krok łatwy. To prawda, że człowiek jako myśliwy-zbieracz był wspaniałym zwierzęciem, pełnym nie wykorzystanych możliwości i zdolności. Dowodzi tego fakt, że dziś istniejemy. Jednakże człowiek rozwijał się jako plemienny myśliwy, nie zaś jako wytrwały i osiadły rolnik. Jest także prawdą, że był zdolny wybiegać myślą w przyszłość, planował polowania, rozumiał zmiany zachodzące w otoczeniu w związku z porami roku. Jednakże by skutecznie uprawiać rolnictwo, musiał on sięgać w przyszłość w daleko większym stopniu niż kiedykolwiek dotąd. Taktykę polowania musiał zastąpić strategią rolnictwa. Dokonawszy tego, człowiek musiał jeszcze I lepiej korzystać ze swego umysłu, aby móc stawić czoło nowym skomplikowanym problemom społecznym, które pojawiły i się w związku ze świeżym dostatkim, towarzyszącym przemianie wioski w miasta.

Należy sobie zdawać z tego sprawę, gdy mówi się o "rewolucji miejskiej". Używając tego zwrotu, stwarza się wrażenie, jakoby w bardzo krótkim czasie wszędzie zaczęły wyrastać mniejsze i większe miasta jako wyraz dążenia do wspaniałego życia w zupełnie nowych warunkach społecznych. Nie tak się to jednak odbywało. Stare modele życia zanikały z trudem i powoli, a prawdę mówiąc, w wielu miejscach na świecie wciąż jeszcze są żywe. Liczne kultury dzisiejszego świata w dziedzinie rolnictwa ciągle funkcjonują na poziomie neolitu, a w niektórych regionach, takich jak kotlina Kalahari, północna Australia czy Arktyka, można obserwować społeczeństwa myśliwsko-zbierackie, charakterystyczne dla okresu paleolitu.

Pierwsze skupiska miejskie, pierwsze miasteczka i miasta, nie pojawiły się nagle, niczym wysypka na skórze prehistorycznego społeczeństwa, lecz powstawały jako

pojedyncze, nieliczne i niewielkie wykwyty. Wyrastały w różnych miejscach południowo-zachodniej Azji jako jaskrawe wyjątki na tle ogólnie panującego systemu. Według dzisiejszych standardów były one bardzo małe, a wzór, według którego były tworzone, rozprzestrzenił się niezwykle wolno. Każde miasto miało ściśle lokalną organizację i było silnie zespolone z okolicznymi terenami rolniczymi.

Z początku handel i współdziałanie między poszczególnymi ośrodkami miejskimi były bardzo skromne. Miał to być następny znaczący krok w rozwoju, a na jego wykonanie trzeba było nieco czasu. Oczywiście barierą psychologiczną stanowiła utrata tożsamości lokalnej. Nie chodziło tu jednak o to, że "plemię miałoby utracić swą głowę", lecz raczej o to, że głowa ludzka sprzeciwiała się utracie swego plemienia. Gatunek nasz rozwijał się jako zwierzę stadno-plemienne, a podstawową właściwością plemienia jest to, że funkcjonuje ono lokalnie na zasadzie współdziałania jednostek. Porzucenie tego podstawowego wzorca społecznego, tak typowego dla ludzkości w jej starodawnym stanie bytowania, wydawało się sprzeczne z naturą. A jednak natura wytworzyła też ziarno, które -sprawnie zbierane i przewożone -wymuszało przyspieszenie tempa zmian. Wraz z postępem rolnictwa i w miarę jak elita miejska, wyzwolona od trudów produkcji, koncentrowała potęgę swoich mózgów na coraz nowych problemach, nieuchronne było wyłonienie się sieci miast, hierarchicznie zorganizowanych połączeń między sąsiadującymi grodami i miastami.

Najstarsze znane nam miasto, ponad 8 tysięcy lat temu, to Jerycho, ale pierwsza w pełni miejska cywilizacja rozwinęła się w rejonie położonym jeszcze dalej na wschód, w Mezopotamii (Sumer). Tam właśnie 5 do 6 tysięcy lat temu narodziło się pierwsze imperium, a wraz z wynalezieniem pisma prehistoria utraciła przedrostek "pre-". Rozwinęła się koordynacja między-miejska, przywódcy stali się zarządcami, wyodrębniły się różne zawody, nastąpił dalszy rozwój przemysłu metalowego i transportu, udomowiono zwierzęta pociągowe (w odróżnieniu od zwierząt hodowanych dla celów konsumpcyjnych), a także powstała monumentalna architektura.

Wedle naszych standardów miasta sumeryjskie były niewielkie, ich ludność liczyła bowiem od 7 do co najwyżej 20 tysięcy. Jednakże nasz prosty człowiek plemienny miał jut za sobą długą drogę. Stał się obywatelem, człowiekiem superplemiennym, a podstawowa różnica polegała na tym, że w *superplemieniu nie znał on jut osobiście każdego członka swojej wspólnoty*. Ta właśnie zmiana, czyli przejście od społeczeństwa osobowego do bezosobowego, miała się stać dla zwierzęcia ludzkiego przyczyną najdotkliwszych udręk w nadchodzących tysiącletniach. Jako gatunek nie byliśmy biologicznie przygotowani do tego, by stawić czoło całym masom obcych nam ludzi, mających uchodzić za członków naszego

plemienia. Tego musieliśmy się dopiero nauczyć, a nie było to łatwe. Jak się przekonamy, dziś wciąż jeszcze, mniej lub bardziej widocznie, zmagamy się z tym problemem.

Na skutek sztucznego rozrostu społeczności ludzkiej do poziomu superplemienia zaistniała konieczność wprowadzenia bardziej wyszukanych form sprawowania kontroli, by utrzymać w całości powiększające się wspólnoty. Ogromne korzyści, jakie niosła ze sobą superplemienna organizacja życia, musiały być okupione zwiększoną dyscypliną. W antycznych cywilizacjach basenu Morza Śródziemnego -w Egipcie, Grecji, Rzymie i innych krajach -administracja i system prawny rozrastały się i komplikowały, czemu towarzyszył rozkwit techniki i sztuki.

Był to proces powolny. Wspaniałość zabytków, które pozostały po tych cywilizacjach i które w nas dzisiaj budzą taki zachwyt, nasuwa myśl, że były to cywilizacje wielkie również pod względem ilościowym, co nie jest zgodne z rzeczywistością. Populacja superplemion rosła stopniowo. Jeszcze w roku 600 p.n.e. największe miasto, jakim był Babilon, liczyło nie więcej niż 80 tysięcy mieszkańców. W starożytnych Atenach żyło tylko 20 tysięcy obywateli, a tylko jedna czwarta z nich stanowiła prawdziwą elitę miejską. Ludność całego tego państwa-miasta, wraz z obcymi kupcami, niewolnikami oraz rezydentami na wsiach i w miastach, ocenia się na nie więcej niż 70 do 100 tysięcy osób. Można by więc powiedzieć, że było to miasto nieco mniejsze niż dzisiejsze miasta uniwersyteckie, takie jak Oksford czy Cambridge. Nie ma, rzecz jasna, mowy o porównaniu go do wielkich metropolii współczesnych. Pod koniec lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku przeszło sto miast może poszczycić się ponad milionem mieszkańców, a największe z nich liczą ponad dziesięć milionów. Współczesne Ateny zamieszkuje nie mniej niż 1 850 000 ludzi.

Dalszy rozwój świetności miast-państw antycznych nie mógł się opierać wyłącznie na tym, co same wytworzyły. Musiały one powiększać swe zasoby bądź za pomocą handlu, bądź drogą podbojów. Rzym stosował oba te sposoby, z wyraźną przewagą podbojów, których dokonywał z tak bezwzględnością skuteczną, zarówno w wymiarze administracyjnym jak militarnym, że doprowadził do powstania największego na świecie miasta, liczącego blisko pół miliona mieszkańców i ustalił pewien wzorzec, który odbił się szerokim echem w ciągu wielu następnych stuleci. Konsekwencje są widoczne do dziś, nie tylko w postaci wielkich wymagań, jakim w zakresie wysiłku umysłowego muszą sprostać wszelkiego rodzaju organizatorzy, kierownicy i twórcy, lecz także w postaci coraz bardziej rozleniwionej i poszukującej sensacji elity miejskiej, niezwykle już licznej i żądnej rozrywek, których trzeba jej dostarczyć za wszelką cenę, w obawie przed jej fatalną w skutkach frustracją. W

wyrafinowanym mieszczeniu imperium rzymskiego łatwo możemy dostrzec prototyp współczesnego nam członka superplemienia.

Doprowadziwszy naszą opowieść o miastach do Rzymu, doszliśmy do etapu, w którym społeczność ludzka urosła do takich rozmiarów i stała się tak zagęszczona, że z zoologicznego punktu widzenia osiągnęła już stan równy dzisiejszemu. Co prawda w następnych stuleciach fabuła opowieści płacze się coraz bardziej, ale jest to w zasadzie wciąż ta sama fabuła. Tłumy gęstniały, elity stawały się coraz bardziej elitarne, a technika coraz bardziej technicyzowana. Rosły też frustracje i stresy życia miejskiego. Konflikty superplemienne stawały się coraz bardziej krwawe. Wystąpił nadmiar ludzi, co oznacza, że część z nich była zbyteczna, bezużyteczna. W miarę jak relacje między zagubionymi w tłumie ludźmi stawały się coraz bardziej bezosobowe, nieludzkość stosunków między człowiekiem a człowiekiem nabrała straszliwych wymiarów. Nie ma w tym nic dziwnego, gdyż -jak już mówiłem -bezosobowość związków między ludźmi nie jest stanem przyrodzonym człowiekowi. Dziwić raczej może, że superplemiona, które tak się rozrosły, w ogóle przetrwały, a co więcej -przetrwały w tak dobrym stanie. Jest to zadziwiające świadectwo niewiarygodnej przemyślności, nieustępliwości i elastyczności naszego gatunku, które nas, żyjących w dwudziestym wieku, powinno wprawiać w zdumienie. W jaki sposób udało się nam tego dokonać? Wszak jako zwierzęta mieliśmy do dyspozycji tylko zespół naszych cech biologicznych wykształconych podczas długiego terminowania w charakterze myśliwych. Odpowiedź musi tkwić w samej naturze tych cech, a także w sposobie, w jaki zdołaliśmy je wykorzystać i sterować nimi, nie narażając ich aż na tak wielki szwank, jaki pozornie wydawał się nieunikniony. Musimy więc dokładniej przyjrzeć się tym cechom.

Pamiętając o naszych małych przodkach, możemy przypuszczać, że pewnych pożytecznych wskazówek dostarczy nam społeczna organizacja tych gatunków małych, które przetrwały. Wśród wyższych ssaków naczelnymi powszechnym zjawiskiem jest istnienie silnych, dominujących osobników, panujących nad resztą grupy. Słabsi członkowie grupy przyjmują pośrednie role. Nie uciekają w gęszcz, aby żyć tam samodzielnie. W mnogości siła i bezpieczeństwo. Jeżeli grupa staje się zbyt duża, wówczas oczywiście tworzy się odłam, który po pewnym czasie oddala się, ale pojedyncze żyjące oddzielnie małe stanowią anomalię. Grupy przemieszczają się razem i trzymają się razem we wszelkich okolicznościach. Ta uległość jest nie tylko skutkiem tyranii przywódców, czyli dominujących osobników męskich. Może są one despotami, ale odgrywają też rolę opiekunów i obrońców. W razie zagrożenia grupy z zewnątrz, na przykład atakiem głodnego drapieżnika, one właśnie wykazują największą aktywność obronną. W obliczu wyzwania z zewnątrz najsilniejsze

samce, zapominając o konfliktach wewnętrznych, muszą się skupić, aby dać odpór zagrożeniu. Natomiast w innych sytuacjach aktywna współpraca wewnątrz grupy ogranicza się do minimum.

Wracając do zwierząt ludzkich, możemy zauważyć, że ten podstawowy układ - współpraca w obliczu zagrożeń z zewnątrz i współzawodnictwo wewnątrz stada, istnieje także u nas, jakkolwiek nasi najdawniejsi przodkowie byli zmuszeni nieco zakłócić równowagę tego układu. Ich niebotyczne zmagania związane z przejściem od diety roślinnej do mięsnej wymagały szerszej i aktywniejszej współpracy wewnętrznej. Niezależnie od zwykłych codziennych zagrożeń świat zewnętrzny niemal bezustannie rzucał wyzwania wchodzącym na arenę życia myśliwym. Wymagało to przestawienia się na wzajemną pomoc, na dzielenie się zasobami i łączenie ich. Nie znaczy to jednak, że pradawni ludzie przemierzali się jako jeden organizm, niczym ławica ryb. Byłoby to niemożliwe ze względu na złożoność życia. Współzawodnictwo i przywództwo zostały utrzymane, gdyż stanowiły siłę napędową i umożliwiały skuteczniejsze podejmowanie decyzji, uległ tylko poważnemu ograniczeniu despotyczny autorytaryzm. Osiągnięto stan subtelnej równowagi, która, jak już się przekonaliśmy, pozwoliła pradawnym myśliwym rozprzestrzenić się niemal na całym obszarze kuli ziemskiej przy użyciu minimum środków technicznych.

A co się stało z tą subtelną równowagą, gdy niewielkie plemiona rozwinęły się w ogromne superplemiona? Gdy zniknęły plemienne wzorce zachowań oparte na relacjach osobistych, wahadło oscylujące między współzawodnictwem a współpracą zaczęło niebezpiecznie wychylać się to w jedną, to w drugą stronę i te szkodliwe oscylacje trwają do dziś. Ponieważ podrzędni członkowie superplemion zamienili się w bezosobowy tłum, wychylenia wahadła stawały się coraz gwałtowniejsze. Nadmiernie rozrośnięte skupiska populacji miejskiej łatwo i często padały ofiarą wszelkich form spotęgowanej tyranii, despotyzmu i dyktatury. Superplemiona zrodziły superprzywódców, dysponujących tak potężną władzą, że tyrańskie rządy małą jawiły się przy niej jak niewinna igraszka. Zrodziły one także superpoddanych w postaci niewolników, którzy musieli znosić skrajne podporządkowanie, nieporównywalne z tym, czego mogły doświadczyć najpośledniej usytuowane mały.

Aby panować nad superplemieniem, nie wystarczał już jeden despota. Nawet mając do dyspozycji nowe, śmiertelne środki techniczne, takie jak broń, lochy i tortury, potrzebne do utrzymania w ryzach mas ludzkich, despota musiał mieć za sobą cały orszak popleczników, aby skutecznie utrzymywać owo biologiczne wahadło w stanie tak znacznego wychylenia. Było to możliwe, ponieważ zarówno poplecznicy jak przywódcy byli zakażeni

bezosobowością właściwą superplemionom. Głos sumienia kooperantów uciszali, przynajmniej w pewnej mierze, powołując do życia w obrębie superplemienia podgrupy społeczne i pseudoplemiona. Każdy indywidualnie nawiązywał oparte na dawnych wzorcach biologicznych stosunki osobiste z jakąś niewielką grupą, mającą rozmiar dawnego plemienia i skupiającą ludzi na zasadzie koleżeństwa na gruncie towarzyskim lub zawodowym. W obrębie takiej grupy można było zrealizować podstawową konieczność wzajemnej pomocy i dzielenia się. Inne podgrupy, na przykład klasę niewolników, można było traktować bez skrupułów, jako ludzi spoza układu objętego specjalną ochroną. W ten sposób zrodził się "podwójny status" społeczny. Podstępna siła tych nowych wtórnych podziałów tkwiła w tym, że umożliwiały one utrzymywanie w tym bezosobowym systemie nawet relacji osobistych. Mimo iż poddany, niewolnik, sługa czy chłop pańszczyźniany mógł być osobiście znany swemu panu, jego niewątpliwa przynależność do innej kategorii społecznej pozwalała go traktować jak kogoś należącego do bezosobowego tłumu.

Powiedzenie, że władza deprawuje, jest tylko częściowo prawdziwe. Krańcowe poddaństwo może deprawować równie skutecznie. Gdy biologiczne wahadło wychyliło się ze strony czynnej współpracy w stronę tyranii, całe społeczeństwo ulega deprawacji. Cóż z tego, że jest ono w stanie osiągnąć wielki postęp w sferze materialnej. Potrafi przemieścić 4 883 000 ton kamieni, aby zbudować piramidę, ale z powodu deformacji strukturalnej dni takiego społeczeństwa są policzone.

Można panować nad pewnym obszarem, nad pewną liczbą ludzi, przez pewien okres, ale nawet w cieplarnianej atmosferze superplemienia istnieje pewna granica. Gdy granica ta zostanie osiągnięta i wahadło biologiczno-społeczne odchyli się łagodnie do środkowego punktu równowagi, społeczeństwo może to uznać za szczęśliwy przypadek. Jeżeli jednak, co jest bardziej prawdopodobne, zakołysze się gwałtownie tam i z powrotem, wówczas dojdzie do przelewu krwi na taką skalę, jaka nie mogła się nawet przyśnić naszym prymitywnym przodkom -myśliwym.

To, że ludzki pęd do współpracy daje o sobie znać tak silnie i tak często, stanowi prawdziwy cud przetrwania cywilizacyjnego. Działa przeciw niemu tak wiele czynników, a on wciąż powraca. Z upodobaniem mówimy o tym zjawisku jako o przewycięzaniu zwierzęcej ułomności za pomocą potęgi altruizmu intelektualnego, tak jakby etyka i moralność były jakimś nowoczesnym wynalazkiem. Gdyby to była prawda, zapewne nie dożylibyśmy dnia dzisiejszego, aby to stwierdzić. Gdybyśmy nie mieli w sobie tego podstawowego biologicznego popędu do współpracy z bliźnimi, nie przetrwalibyśmy jako gatunek. Gdyby nasi myśliwscy przodkowie byli tylko bezlitosnymi, chciwymi tyranami,

obciążonymi "grzechem pierworodnym", nie sukcesów człowieka dawno by się już urwała. Teorię grzechu pierworodnego, w takiej czy innej postaci, wciąż wciska się nam do głowy dlatego, że sztucznie stworzone warunki superplemienne nieustannie działają przeciw tkwiącemu w nas altruizmowi biologicznemu, któremu w związku z tym należy się wszelkie możliwe wsparcie.

Jestem świadom istnienia autorytetów, które gwałtownie zanegują to, co tu napisałem. Postrzegają one człowieka jako istotę słabą, chciwą i niegodziwą, wymagającą narzucenia jej surowych kodeksów, które mają tak sterować jej postępowaniem, żeby stała się silna, życzliwa i dobra. Jednakże wyszydzając pojęcie "szlachetnego dzikusa", autorytety owe zaciemniają tylko sprawę. Wskazując na to, że nie było nic szlachetnego w ignorancji i w przesądach, mają rację. Jest to jednak tylko część problemu. Druga część dotyczy postępowania dawnych myśliwych wobec swoich towarzyszy. Tu sytuacja musiała być inna. Wyzumiałość, życzliwość, wzajemna pomoc i podstawowy popęd do współpracy wewnątrz-plemiennej musiały stanowić wzór dla pradawnych zespołów ludzi, aby mogły one przetrwać w pełnym zagrożeniu środowisku. Dopiero gdy plemiona rozrosły się do wymiarów bezosobowych superplemion, starodawne wzory postępowania poczęły się załamywać pod naciskiem tej sytuacji. Wtedy dopiero trzeba było narzucić sztucznie stworzone prawa i kodeksy dyscyplinarne, by przywrócić utraconą równowagę. Gdyby narzucono je tylko w takim zakresie, w jakim było to konieczne do skorygowania skutków świeżo powstałych napięć, wszystko byłoby w porządku. Jednakże w tych wczesnych cywilizacjach ludzie byli nowicjuszami w dziedzinie osiągania owej subtelnej równowagi. Dlatego też często doznawali porażek, co przynosiło zgubne skutki. Obecnie mamy już więcej doświadczenia, ale system ten nigdy nie osiągnął doskonałości, gdyż ze względu na nieprzerwany rozrost superplemion problem wciąż daje osobie znać.

Spróbuję to wyrazić inaczej. Często powiada się, że "prawo zakazuje ludziom jedynie tego, do czego mają oni wrodzone skłonności". Stąd wniosek, że jeżeli prawo zakazuje kradzieży, mordowania i gwałcenia, to znaczy, że ludzkie zwierzę jest z natury złodziejem, mordercą i gwałcicielem. Czy jest to istotnie właściwy opis człowieka jako gatunku biologicznego i społecznego? Niezbyt przystaje on do zoologicznego wizerunku gatunku plemiennego. Natomiast niestety bardzo pasuje do wizerunku superplemienia;

Świetnym przykładem jest tu kradzież, jako chyba najbardziej powszechne przestępstwo. Członek superplemienia znajduje się pod ciągłą presją, doświadczając najróżniejszych stresów i napięć związanych ze swoją sztucznie wytworzoną sytuacją społeczną. Większość jego współplemieńców to ludzie mu obcy. Nie łączy go z nimi ani

żadna więź osobista, ani plemienna. Typowy złodziej nie kradnie znajomemu. Nie łamie starodawnego kodeksu plemiennego. We własnym mniemaniu umieszcza swoją ofiarę całkowicie poza swoim plemieniem. Przeciwdziała temu prawo superplemienne. W związku z tym właśnie mówimy często o "złodziejskim honorze" i o "kodeksie podziemia". Podkreśla to fakt, że przestępców traktujemy jako przynależnych do osobnych, wyodrębnionych pseudoplemion, które istnieją w obrębie superplemienia. Przy okazji warto zauważyć, jak traktujemy przestępcę. Otóż zamykamy go w przestrzenie ograniczonej, całkowicie przestępczej społeczności. Na krótką metę rozwiązanie takie działa dość skutecznie, ale dalszym jego efektem jest umacnianie tożsamości pseudoplemiennej zamiast jej osłabiania. Co więcej, ułatwia ono także poszerzanie pseudoplemiennych kontaktów społecznych.

Rozważając dalej myśl, iż "prawo zakazuje ludziom jedynie tego, do czego mają oni wrodzone skłonności", można by ją przeformułować i stwierdzić, że "prawo zakazuje ludziom jedynie tego, do czego popychają ich sztuczne warunki cywilizacyjne". W ten sposób można spojrzeć na prawo jako na narzędzie utrzymywania równowagi, mające na celu przeciwdziałanie zniekształceniom cechującym życie superplemienne i sprzyjające, mimo nienaturalnych warunków, podtrzymywaniu tych form zachowań społecznych, które są wrodzone gatunkowi ludzkiemu.

Jest to jednak nadmierne uproszczenie. Zakłada ono doskonałość przywódców i prawodawców. A przecież tyrani i despoci mogą narzucać surowe i nieracjonalne prawa ograniczające wolność w większym stopniu, niż uzasadniają to panujące warunki superplemienne. Natomiast słabe przywództwo może narzucić system prawny nie dość silny, aby okiełznać panoszące się pospólstwo. Każda z tych ewentualności niesie ze sobą katastrofę kulturową lub upadek.

Jest też inny rodzaj prawa, mający niewiele wspólnego z argumentacją, którą tu przedstawiam, poza tym że także służy ono scalaniu społeczeństwa. Jest to "prawo izolujące", które sprzyja tworzeniu się odrębności kulturowej. Spaja ono społeczeństwo przez przydanie mu niepowtarzalnej tożsamości. Tego rodzaju prawa nie mają zbyt wielkiego znaczenia w sądach. Należą one raczej do sfery właściwej religii i obyczajom społecznym. Ich rola polega na stwarzaniu iluzji, że należy się do plemienia, które jest jednolite i zwarte, nie zaś do bezkształtnego i niestałego superplemienia. Na krytykę, że prawa takie wydają się nieuzasadnione i pozbawione znaczenia, odpowiada się, że reprezentują one tradycję i należy ich bezwzględnie przestrzegać. Kwestionowanie ich nie miałyby zresztą sensu, ponieważ same w sobie są one w istocie nieuzasadnione i nierzadko pozbawione znaczenia. Ich wartość polega na tym, że stanowią wspólną własność wszystkich członków danej społeczności. Wraz

z ich zanikiem, niknie też po trosze jedność społeczności. Przybierają one formy różnych wymyślnych obrzędów -ślubów, pogrzebów, obchodów, pochodów, procesji i innych uroczystości właściwych życiu społecznemu. Przybierają także postać zawilej etykiety w stosunkach społecznych, obyczajów, protokołów dworsko-dyplomatycznych, jak również stosownych do okoliczności strojów, mundurów, dekoracji i popisów.

Wszystko to jest i było przedmiotem szczegółowych opisów etnologów i kulturoznawców, którzy zachwycają się niezwykłą różnorodnością tych zjawisk. Różnorodność i kulturowe zróżnicowanie stanowią oczywiście najbardziej rzucającą się w oczy cechę owych zachowań. Jednak zdumiewając się tą różnorodnością, nie można nie dostrzec pewnych podstawowych podobieństw. Obyczaje i stroje mogą istotnie różnić się w różnych kulturach w szczegółach, ale spełniają tę samą zasadniczą funkcję i przybierają tę samą zasadniczą formę. Gdybyśmy sporządzili listę obyczajów społecznych panujących w danej kulturze, to niemal dla wszystkich znaleźlibyśmy odpowiedniki niemal we wszystkich kulturach. Różnice wystąpią jedynie w szczegółach, lecz ponieważ różnice te będą bardzo wyraźne, niekiedy przyćmią fakt, że mamy do czynienia z tymi samymi podstawowymi wzorcami społecznymi.

A oto przykład. W niektórych kulturach obrzędy żałobne wymagają czarnych strojów, w innych zaś -na zasadzie kontrastu -strój żałobny jest koloru białego. Co więcej, jeżeli pójdziemy dalej w poszukiwaniach, znajdziemy kultury, w których właściwymi kolorami są: granatowy, szary, żółty czy brązowy. Dla człowieka wychowanego w kulturze, w której dany kolor, powiedzmy czarny, był zawsze związany ze śmiercią i żałobą, szokująca będzie myśl o noszeniu w takich okolicznościach rzeczy w kolorze żółtym czy niebieskim. Taki człowiek, stwierdziwszy, że gdzieś indziej stroje w takich kolorach są stosowne jako żałobne, zareaguje uwagą, iż tamtejszy obyczaj jest odmienny od rodzimego. W tym właśnie tkwi sprytna pułapka izolacji kulturowej. Powierzchnowa obserwacja, że kolory zdecydowanie się różnią, nie pozwala dostrzec znacznie ważniejszego faktu, że we wszystkich kulturach występuje "popis" żałoby, co wymaga przywdziania zupełnie innego stroju niż ten, który nosi się na co dzień.

Podobnie reaguje Anglik, gdy po raz pierwszy odwiedza Hiszpanię i zdumiewa się widokiem różnych miejsc publicznych, gdzie tłumy ludzi spacerują tam i z powrotem, bez widocznego celu. W pierwszym odruchu postrzega to zjawisko jako jakiś dziwny obyczaj miejscowy, nie uświadamiając sobie, że jest to przecież tamtejszy ekwiwalent kulturowy tak dobrze znanych mu koktajli. Znowu okazuje się, że podstawowy wzorzec społeczny jest taki sam, a różnica tkwi w szczegółach.

Takie przykłady można mnożyć i odnosić je do niemal wszystkich form zachowań wspólnotowych, gdyż obowiązuje tu zasada, że im bardziej społeczny charakter mają dane okoliczności, tym dziwniejsze na pozór i bardziej zróżnicowane wydają się szczegóły zachowań ludzi innej kultury. Najważniejsze wydarzenia tego rodzaju, a więc koronacje, inwestytury, wielkie imprezy sportowe, parady wojskowe, festiwale i garden party (lub ich równoważniki) są najpełniejszym świadectwem działania praw izolujących. Imprezy te różnią się od siebie tysiącami drobnych szczegółów, z których każdego przestrzega się skrupulatnie, jakby od niego zależało życie uczestników. W pewnym sensie od tych szczegółów istotnie zależy ich życie społeczne, gdyż poczucie tożsamości grupowej oraz przynależności do danej wspólnoty podtrzymuje się i umacnia jedynie przez odpowiednie zachowanie się ludzi w miejscach publicznych. Dlatego też im większy wymiar wydarzenia, tym silniejsze oddziaływanie jego oprawy.

Fakt ten bywa często nie dostrzegany lub nie doceniany przez skutecznych skądinąd przywódców rewolucji. Pozbywając się starej struktury władzy, której nie mogą dłużej tolerować, czują się zmuszeni do usunięcia wraz z nią większości dawnych obrzędów. Nawet jeśli te rytuały nie są bezpośrednio związane z obalonym systemem, zbyt przypominają ten system i dlatego należy je odrzucić. Bywa tak, że na ich miejsce wprowadza się jakieś pośpiesznie zaimprovizowane spektakle, trudno jednak wymyślić natychmiast cały nowy rytuał. (Rzuca to ciekawe światło na atrakcyjność wczesnego chrześcijaństwa, którego powodzenie w pewnej mierze było skutkiem przejścia wielu starodawnych obrzędów pogańskich i włączenia ich, w odpowiednim przebraniu, do własnych ceremonii świątecznych). Gdy rewolucyjne wrzenie i związane z nim emocje dobiegną kresu, u niejednego postrewolucjonisty pojawia się poczucie niezadowolenia i niedosytu, które ma swoje utajone źródło w poczuciu utraty społecznego ceremoniału i pompy. Przywódcom rewolucji wyszłoby na dobre, gdyby potrafili przewidywać zaistnienie tego problemu. Okowami, które pragną zrzucić z siebie ich zwolennicy, nie są okowy tożsamości społecznej w ogóle, lecz raczej okowy jakiejś szczególnej tożsamości społecznej. Gdy one ulegną zniszczeniu, powstaje potrzeba nowych, zwolennikom rewolucji wkrótce przestaje wystarczać abstrakcyjna "wolność". Takie są wymagania prawa izolującego.

Liczą się także inne aspekty zachowań społecznych, pełniące funkcję sił scalających. Jednym z nich jest język. Na ogół myślimy o języku jako o narzędziu służącym do komunikowania się, chociaż jest on czymś więcej. Gdyby nie owo coś, wszyscy mówilibyśmy tym samym językiem. Spoglądając wstecz na historię superplemion, łatwo można zauważyć, że antykomunikacyjna funkcja języka była i jest równie istotna jak jego funkcja

komunikacyjna. Język, bardziej niż jakikolwiek inny obyczaj społeczny, stwarza potężne bariery między-grupowe. Służy on najlepiej do rozpoznania danej jednostki jako członka określonego superplemienia, stawiając jednocześnie zapory pragnącym zdezerterować do jakiejś innej grupy. W miarę rozrastania się i łączenia superplemion języki lokalne również ulegały fuzji lub wchłonięciu przez inne, co doprowadziło do zmniejszenia się ogólnej liczby języków na świecie. Towarzyszyło temu jednak zjawisko odwrotne -wzrost znaczenia różnych odmian wymowy i dialektów, a także pojawienie się slangu, gwary i żargonu. W miarę jak członkowie ogromnego superplemienia usiłują wzmocnić swoją tożsamość plemienną za pomocą tworzenia podgrup, rozwija się też cała gama "odmian językowych" w obrębie oficjalnego języka głównego. Podobnie jak język angielski czy niemiecki służą jako identyfikatory i mechanizmy izolujące Anglików i Niemców, akcent, z jakim mówią po angielsku członkowie klasy wyższej, oddziela ich od członków klasy niższej, a żargon zawodowy chemii i psychiatrii oddziela chemików od psychiatrów. (Smutkiem napawa fakt, że świat akademicki, który, spełniając funkcje edukacyjne, powinien przede wszystkim kultywować komunikację między ludźmi, posługuje się pseudoplemiennymi językami izolującymi, równie dalekimi od normy jak slang przestępczy. Usprawiedliwieniem ma tu być niezbędna precyzja wypowiedzi. Do pewnych granic jest tak istotnie, ale nader często bezpardonowo przekracza się te granice).

Żargon staje się niekiedy tak wyspecjalizowany, że powstaje jakby zupełnie nowy język. Wyrażenia slangowe mają taką właściwość, że gdy tylko rozprzestrzenia się i staną się własnością ogółu, tworząca je podgrupa wynajduje na ich miejsce nowe. Przyjęcie ich przez całe superplemię i przeniknięcie do języka ogólnego jest znakiem, iż przestały one spełniać swą pierwotną funkcję. (Wątpliwe, czy ktokolwiek używa tych samych wyrażen slangowych, których w swoim czasie używali jego rodzice na określenie, dajmy na to, atrakcyjnej dziewczyny, policjanta czy zbliżenia seksualnego. Wszyscy jednak wciąż używają tych samych wyrazów języka urzędowego). W skrajnych przypadkach zdarza się, że dana podgrupa przyjmuje zupełnie obcy język. Na przykład w sądach rosyjskich w pewnym okresie mówiono po francusku. W Wielkiej Brytanii można jeszcze zaobserwować pozostałości takich zachowań w co bardziej luksusowych restauracjach, gdzie w kartach dań z reguły używa się francuskiego. W podobny sposób oddziałuje religia -zacieśnia więzy wewnątrz grupy, osłabiając przy tym więzy międzygrupowe. Funkcjonuje ona na podstawie jednego prostego założenia, a mianowicie że istnieją potężne siły działające ponad i poza zwykłymi członkami grupy i że siły te, a są to herosi lub bogowie, należy zadowolić i zjednać

sobie, okazując im bezwarunkowe posłuszeństwo. Fakt, że nie są one nigdy bezpośrednio obecne i nie można przedstawić im swoich wątpliwości, pomaga im utrzymać swoją pozycję.

Z początku boskie moce były ograniczone, a sfery boskich wpływów podzielone, ale gdy superplemiona poczęły się rozrastać do rozmiarów uniemożliwiających kierowanie nimi, potrzebne się stały skuteczniejsze siły spajające. Władza późniejszych bogów nie była dostatecznie silna. Ogromne superplemię wymagało jednego, wszechmocnego, wszechmądrego i wszechwiedzącego boga, dlatego właśnie ten rodzaj boga wygrał konkurencję ze swymi starodawnymi rywalami i przetrwał wiele wieków. W mniejszych i bardziej zacofanych kulturach do dziś rządy sprawują pomniejsi bogowie, ale wszystkie wielkie kultury zwróciły się do jednego superboga.

Powszechnie zauważa się, że od pewnego czasu moc oddziaływania religii jako siły istotnej społecznie ulega zmniejszeniu. Są dwie przyczyny tego stanu rzeczy. Po pierwsze, religia nie jest już w stanie spełniać swej podwójnej funkcji spajającej. Nieustanny liczebny wzrost populacji doprowadził do tego, że niemożliwe stało się zarządzanie dawnymi imperiami i dlatego rozpadły się one na grupy narodowościowe. Nowe superplemiona walczyły o ustanowienie swych tożsamości, stosując wszystkie znane dotąd sposoby. Jednakże wiele z tych superplemion miało już wtedy wspólną religię. Znaczy to, że będąc wciąż potężną siłą wiążącą naród, religia przestała spełniać swą drugą funkcję, jaką jest osłabianie więzów z innymi narodami. Kompromis osiągnięto, tworząc sekty w obrębie głównych religii. Jakkolwiek sekciarstwo przywróciło niektóre właściwości izolujące i sprzyjało odtworzeniu lokalnych, plemiennych ceremoniałów religijnych, było to rozwiązanie jedynie częściowe.

Drugą przyczyną utraty wpływu religii było rosnące znaczenie powszechnej oświaty wraz z nasilającym się oczekiwaniem, że człowiek, miast ślepo akceptować dogmaty, *powinien* zadawać pytania. Zwłaszcza religia chrześcijańska doznała poważnych niepowodzeń. Coraz bardziej logicznie myślący umysł superplemiennego człowieka Zachodu nie może nie dostrzec pewnych rzucających się w oczy nielogiczności. Być może najważniejszą z nich jest ogromna rozbieżność między głoszoną przez Kościół pokorą i łagodnością a wystawnym przepychem, pompą i potęgą jego przywódców.

Obok prawa, obyczaju, języka i religii istnieje jeszcze inna, bardziej gwałtowna postać siły spajającej, która zacieśnia więzy między członkami superplemienia. Jest nią wojna. Można cynicznie stwierdzić, że nic tak nie sprzyja przywódcy jak porządna wojna. Daje mu ona jedyną szansę, by będąc tyranem, być za to wielbionym. Wojna pozwala przywódcy wprowadzić najbardziej bezwzględne formy kontroli i wysyłać tysiące swoich zwolenników

na śmierć, a równocześnie uchodzić za ich opiekuna. Nic tak nie zacieśnia więzów wewnątrz grupy swoich jak zagrożenie ze strony grupy obcych.

Dawni i obecni przywódcy zawsze mieli na uwadze fakt, iż wewnętrzne sprzeczki dają się stłumić dzięki istnieniu wspólnego wroga. Gdy tylko superplemię zaczyna puszczać w szwach, można je błyskawicznie pozszywać, stwarzając pozór, że istnieją jacyś potężni i wrodzy ONI, co natychmiast jednoczy jego członków pod wspólnym mianem MY. Trudno stwierdzić, jak często przywódcy, mając to na względzie, świadomie doprowadzają do konfliktów międzygrupowych; jednakże takie działania, zamierzone czy nie, niemal zawsze skutkują spajaniem. Tylko wyjątkowo nieudolny przywódca może coś tu spartaczyć. Naturalnie musi istnieć wróg, który nadaje się do odmalowania w dostatecznie nikczemnych barwach, gdyż inaczej przywódca tylko narazi się na kłopoty. Straszliwe okropności wojny dają się przekształcić we wspaniałe bitwy jedynie wtedy, gdy zagrożenie zewnętrzne jest istotnie poważne albo przynajmniej można je tak przedstawić.

Mimo wszelkich uroków, jakie roztacza przed bezwzględny przywódcą wojna, ma ona dla niego jedną oczywistą niedogodność. Któraś strona na ogół ponosi klęskę i może to być jego strona. Człowiek żyjący w superplemieniu powinien błogosławić tę niedogodność.

Takie są więc siły spajające, które wpływają na wielkie społeczności miejskie. Każda z nich ukształtowała własnego, wyspecjalizowanego przywódcę, a więc sędziego, polityka, przywódcę grupy, arcykapłana czy generała. W mniej skomplikowanych czasach wszystkie te role były połączone w jednej -wszechmocnego imperatora lub króla, który potrafił podolać całości działań przywódczych. W miarę upływu czasu i rozrostu grup prawdziwe przywództwo przesunęło się jednak z jednej sfery do drugiej i zawsze znajdowało w rękach najwybitniejszej indywidualności.

W bliższych nam czasach wykształciła się praktyka dopuszczająca szerokie masy do współuczestnictwa w wyborze przywódcy. Ten obyczaj polityczny jest sam w sobie cenną siłą spajającą, gdyż daje on członkowi superplemienia większe poczucie przynależności do swojej grupy i wpływu na nią. Gdy tylko dokona się wyboru nowego przywódcy, okazuje się, że wpływ ten jest mniejszy, niż sobie wyobrażano, mimo to jednak w procesie wyborów społeczeństwo doświadcza jednostkowego, lecz cennego przyływu poczucia swojej tożsamości.

Chcąc wesprzeć ten proces, deleguje się lokalnych wodzów pseudoplemiennych niższej rangi, aby współrządzili krajem. W niektórych państwach przerodziło się to w niemal pusty rytuał, ponieważ tzw. lokalni przedstawiciele są niczym innym niż specjalnie

sprowadzonymi profesjonalistami. Jednakże w tak złożonym społeczeństwie jak współczesne superplemię takie wypaczenie jest nieuchronne.

Cel rządów sprawowanych przez przedstawicieli z wyboru jest czysty i jasny, nawet jeśli jest on trudny do urzeczywistnienia. Jest nim częściowy powrót do "polityki" pierwotnego systemu plemiennego, w którym każdy członek plemienia (a przynajmniej mężczyźni) miał coś do powiedzenia w dowodzeniu społeczeństwem. Ówczesni ludzie byli w pewnym sensie komunistami -kładli nacisk na dzielenie się i nie przywiązywali wielkiej wagi do ścisłej ochrony dóbr osobistych. Własność istniała zarówno po to, by ją rozdawać, jak i po to, by ją utrzymywać. Ale -jak już mówiliśmy -plemiona były niewielkie i wszyscy się znali. Jeżeli nawet cenili dobytek osobisty, to jednak drzwi i zamki nie były jeszcze wtedy znane. Gdy tylko plemię stało się bezosobowym superplemieniem, w którym żyli także obcy, koniecznością stała się rygorystyczna ochrona własności, odgrywająca odtąd dużo większą rolę w życiu społecznym. Każda polityczna próba zignorowania tego faktu napotykałaby poważne trudności. Doświadczył tego współczesny komunizm i został zmuszony do różnych działań dostosowawczych.

Inne działanie dostosowawcze stało się konieczne w tych wszystkich systemach, które były ukierunkowane na przywrócenie starodawnego modelu plemiennie-myśliwskiego opartego na zasadzie "rządów ludu sprawowanych przez lud". Superplemiona stały się po prostu zbyt liczne, a problemy związane z rządzeniem zbyt złożone i zbyt zawile. Sytuacja wymagała wprowadzenia systemu przedstawicielskiego, a jednocześnie potrzebna była profesjonalna klasa fachowców. O tym, jak bardzo można się oddalić od idei "rządów sprawowanych przez lud", świadczy pomysł, który zrodził się ostatnio w Anglii, gdzie zaproponowano, aby debaty parlamentarne przekazywać za pośrednictwem telewizji; w ten sposób, dzięki nowoczesnej technice, szerokie rzesze mogłyby wreszcie bardziej bezpośrednio uczestniczyć w sprawach państwowych. Pomysł ten spotkał się jednak z ostrym sprzeciwem i został odrzucony, gdyż zakłócałoby to atmosferę grupowego profesjonalizmu. Tyle o rządach ludu. I nic dziwnego. Dowodzenie superplemieniem przypomina balansowanie słońca na linie. Jak się wydaje, najlepsze, co może w tym zakresie osiągnąć współczesny ustrój polityczny, to realizowanie lewicowej polityki prawicowymi metodami. (To właśnie dzieje się zarówno na Wschodzie jak na Zachodzie). Trudna to sztuka i wymagająca wielce finezyjnego profesjonalizmu, nie mówiąc już o odpowiednio dwuznacznym języku. Współcześni politycy często

bywają obiektem kpin i pogardy, gdyż wielu ludziom udaje się przejrzeć tę grę. Zważywszy jednak na rozmiary współczesnych superplemion, trudno wyobrazić sobie jakieś inne rozwiązanie.

Ponieważ zarządzanie współczesnymi superplemionami bywa często niemożliwe ze względów społecznych, superplemiona te wykazują dużą skłonność do fragmentacji. Mówiliśmy już, że w obrębie głównego członu krystalizują się wyspecjalizowane pseudoplemiona jako grupy towarzyskie, klasowe, zawodowe, akademickie, sportowe i inne. Odtwarzają one różne formy tożsamości plemiennej dla poszczególnych mieszkańców miast. Tego typu grupy pozostają jeszcze w obrębie głównej społeczności, ale często zdarzają się dużo bardziej radykalne podziały. Imperia dzielą się na niepodległe państwa, państwa zaś rozpadają się na sektory samorządowe. Pomimo coraz lepszej komunikacji, pomimo rosnącej liczby wspólnych celów i kierunków działania, podziały wciąż się dokonują. Podczas wojny ujawniają się czynniki spajające i w wyniku ich działania powstawać mogą doraźnie zmontowane sojusze, ale w czasach pokoju na porządku dziennym są rozłamy i podziały. Gdy grupy odłamowe usiłują za wszelką cenę osiągnąć jakąś własną tożsamość, oznacza to po prostu, że siły spajające w obrębie ich macierzystego superplemienia są zbyt słabe lub zbyt mało atrakcyjne, by zapobiec rozłamowi.

Marzenie o pokojowym, globalnym superplemieniu wciąż pada w gruzu. Wydaje się, że jedynie zagrożenie stworzone przez "obcych" z innej planety mogłoby stanowić dostateczną siłę spajającą, i to tylko na pewien czas. Przyszłość pokaże, czy człowiek w swojej pomysłowości wprowadzi do swojej egzystencji jakiś nowy element, pozwalający rozwiązać ten problem. W chwili obecnej nie wydaje się to możliwe.

Ostatnio wiele się mówi o tym, jak dzięki współczesnym środkom masowego przekazu, na przykład telewizji, "kurczy się" światowa przestrzeń społeczna, tworząc globalną telewioskę. Słyszysz pogląd, że tendencja ta będzie sprzyjać powstawaniu prawdziwie międzynarodowego społeczeństwa. Niestety jest to mit, z tej prostej przyczyny, że w odróżnieniu od bezpośrednich stosunków interpersonalnych, telewizja jest systemem *jednokierunkowym*. Słucham i poznaję kogoś na ekranie telewizyjnym, ale ten ktoś nie może mnie ani usłyszeć, ani poznać. Dowiaduję się, co ten ktoś myśli, i trzeba przyznać, że jest to rzecz pożyteczna, gdyż poszerza mój zasób informacji o społeczeństwie, ale nie może zastąpić dwukierunkowych stosunków, jakie istnieją w rzeczywistych kontaktach z ludźmi.

Jeśli nawet w najbliższych latach nastąpi ogromny i trudny obecnie do wyobrażenia postęp w technice komunikacji masowej, będzie on hamowany przez biologiczne i społeczne ograniczenia gatunku ludzkiego. W odróżnieniu od termitów nie jesteśmy przystosowani do

chętnego uczestnictwa w ogromnych zbiorowościach. Jesteśmy zasadniczo stworzeniami plemiennymi i takimi chyba pozostaniemy.

Mimo to jednak, a także mimo nie dających się opanować fragmentacji, które ciągle się dokonują, musimy stawić czoło dominującej tendencji do utrzymania potężnej struktury superplemiennej. Każdemu podziałowi w jakiejś części świata towarzyszy scalenie w innej jego części. Jeżeli jednak przez całe wieki układ ten jest tak samo niestabilny i niebezpieczny, dlaczego uporczywie staramy się go utrzymać?

Chodzi tu o coś więcej niż o międzynarodową grę sił. Istnieją pewne wewnętrzne, biologiczne właściwości człowieka, które sprawiają, że czerpie on głęboką satysfakcję z życia w miejskim chaosie superplemiennym. Właściwości te to nienasycona ciekawość, wynalazczość i żyłka sportowa w jego umyśle. Zgiełk wielkiego miasta, jak się wydaje, pobudza te właśnie cechy. Jak ptaki morskie pobudza do podjęcia reprodukcji gromadzenie się w wielkich skupiskach lęgowych i budowa gniazd w ogromnych koloniach, tak zwierzę ludzkie doznaje pobudzenia intelektualnego, żyjąc w wielkich i gęsto zaludnionych skupiskach miejskich. Skupiska te są koloniami lęgowymi ludzkich myśli. Jest to godna uznania strona całej tej historii. To dzięki niej, mimo licznych wad system ten nadal istnieje.

Dostrzeżliśmy już niektóre z tych wad na płaszczyźnie społecznej, istnieją one jednak także na płaszczyźnie jednostkowej. Jednostka, żyjąc w wielkich zespołach miejskich, narażona jest na rozmaite stresy i napięcia: hałas, zanieczyszczenie powietrza, brak ruchu, ciasnota, przeludnienie, nadmiar bodźców i, paradoksalnie, u niektórych także izolacja i nuda.

Można by sądzić, że cena, jaką płaci członek superplemienia, jest zbyt wysoka, i że lepiej miałby się, prowadząc ciche, spokojne, kontemplacyjne życie. On też tak myśli, ale, podobnie jak z ćwiczeniami fizycznymi, które ciągle odkłada na później, i w tej sprawie rzadko kiedy podejmuje jakieś działania. Co najwyżej przenosi się na przedmieście, gdzie z dala od wielkomiejskich napięć może sobie stworzyć atmosferę pseudoplemienną, ale z nadejściem poniedziałku znów rzuca się w wir walki. Mógłby się wynieść gdzieś dalej, ale wówczas odczuwałby brak podniet, jakich doświadcza współczesny myśliwy, polujący na najgrubszą zwierzynę na największym i najlepszym terenie łowieckim dostępnym w jego najbliższej okolicy.

Można by więc przypuszczać, że każde wielkie miasto to piekielne kłębowisko nowości i wynalazczości. W porównaniu z wioską istotnie może sprawiać takie wrażenie, jednakże wielkim miastom daleko jeszcze do wyczerpania możliwości eksploratorskich. Dlatego mianowicie, że w społeczeństwie istnieje zasadnicza sprzeczność między konwencją a inwencją. Ta pierwsza zmierza do utrwalenia istniejącego stanu rzeczy, a zatem do

powielania tego, co stare i niezmiennie. Ta druga skierowana jest na nowości i rewizję starych wzorców. Podobnie jak istnieje konflikt między współzawodnictwem i współpracą, istnieje też konflikt między zachowawczością a wynalazczością. Jedynie w wielkim mieście nieustające nowatorstwo ma rzeczywistą szansę realizacji. Jedynie wielkie miasto jest na tyle potężne i bezpieczne w swoim zmasowanym konformizmie, by dopuścić istnienie niszczących sił buntowniczej nowości i kreatywności. Ostry miecz obrazoburcy to zaledwie szpilka wbita w cielsko olbrzyma. Szpilka ta sprawia, że budzi się on ze snu i powstaje do działania, odczuwając jej ukłucie jako przyjemne swędzenie.

Owo podniecenie wynalazczości współ z oddziaływaniem opisanych wyżej sił zachowawczych sprawia, że tak wielu współczesnych mieszkańców wielkich miast ochoczo zamyka się w klatkach na terenie ludzkiego zoo. Radości i wyzwania superplemiennego stylu życia są tak znaczne, że przy niewielkim tylko wsparciu mogą przeważyć nad ogromnymi niebezpieczeństwami i niedogodnościami. A jak owe niedostatki mają się do niedostatków właściwych zoo zwierzęcemu?

Zwierzę przebywające w zoo zamknięte jest w pojedynkę albo też w grupie nienaturalnie zniekształconej. Obok, w innych klatkach, może ono zobaczyć lub usłyszeć inne zwierzęta, ale nie może nawiązać z nimi skutecznego kontaktu. Super-społeczności wielkomięskie funkcjonują, o ironio, w ten sam sposób. Samotność w wielkim mieście to powszechna bolączka. Łatwo się zgubić w ogromnym, bezosobowym tłumie. Łatwo tam o zniekształcenie, rozbicie czy rozerwanie naturalnych więzi rodzinnych i plemiennych. W wiosce wszyscy sąsiedzi są osobistymi przyjaciółmi lub, w najgorszym razie, osobistymi wrogami. Nikt nie jest obcy. W wielkim mieście wiele osób nie zna nawet nazwisk swoich sąsiadów.

Ta bezosobowość sprzyja buntownikom i nowatorom, którzy w mniejszych społecznościach plemiennych byłiby poddani działaniu o wiele silniejszych sił zachowawczych. Zostaliby przywołani do porządku przez wymagania konformizmu. Zarazem jednak paradoks izolacji społecznej w przeludnionym mieście przysparza stresu i niedoli wielu mieszkańcom ludzkiego zoo.

Obok izolacji na jednostkę działa jeszcze bezpośredni nacisk fizycznego zagęszczenia. Każdy gatunek zwierząt rozwinął w sobie zdolność bytowania w określonej przestrzeni życiowej. Zarówno w zwierzęcych jak i w ludzkich ogrodach zoologicznych przestrzeń ta jest znacznie uszczuplona, co może mieć bardzo poważne następstwa. Przyzwyczajaliśmy się uważać klaustrofobię za reakcję patologiczną. W skrajnych postaciach istotnie taka jest, ale na łagodniejsze, nie zawsze łatwo zauważalne jej formy cierpią wszyscy mieszkańcy wielkich

miast. Bez większego przekonania próbuje się jej zaradzić, wyodrębniając osobne sektory miejskie, mające symbolizować otwarte przestrzenie -jakby fragmenty "środowiska naturalnego" zwane parkami. Początkowo parki były terenami myśliwskimi, pełnymi zwierzyny płowej i innych zwierząt łownych, gdzie zamożni członkowie superplemienia mogli oddawać się odtwarzaniu myśliwskich zachowań swoich przodków. Natomiast we współczesnych parkach miejskich jedynym przejawem życia są rośliny.

Jeśli zaś chodzi o przestrzeń życiową, to park miejski jest kiepskim żartem. Jako obszar nieskrępowanych wędrówek ogromnych rzesz ludzi zamieszkujących miasta park musiałby zajmować powierzchnię wielu tysięcy kilometrów kwadratowych. Można o nim powiedzieć tylko, że lepsze to niż nic.

Dla miejskich poszukiwaczy otwartych przestrzeni szansę stanowią krótkie wypadki za miasto, toteż oddają się im z wielkim zapałem. W każdy weekend sznur samochodów -zderzak przy zderzaku -wyjeżdża z miasta i tak samo do niego wraca. Ale co tam, najważniejsze, że udało się odbyć wędrówkę, przemierzyć obszar rozciągający się dalej niż najbliższe sąsiedztwo, i w ten sposób kolejny raz przezwyciężyć uciążliwości nienaturalnie skurczonej przestrzeni miejskiej. Jeżeli nawet zatłoczone drogi przekształciły wędrówki współczesnego superplemienia w swoisty rytuał, i tak lepsze to niż całkowita rezygnacja. Mieszkańcy zwierzęcego zoo są w gorszej sytuacji. Ich wersja wypraw samochodowych zderzak przy zderzaku to daleko bardziej bezcelowe przemierzanie klatki tam i z powrotem. A przecież i one nie rezygnują. My, ludzie powinniśmy się cieszyć, że możemy robić coś więcej niż tylko przemierzać krokami pokój, w którym mieszkamy.

Dokonawszy przeglądu wydarzeń, które doprowadziły nas jako społeczeństwo do obecnego stanu, możemy teraz dokładniej przyjrzeć się tym naszym zachowaniom, dzięki którym udało się nam przystosować do życia w ludzkim zoo, a także tym, które nas w tym względzie zawiodły.

2. STATUS I SUPERSTATUS

W każdej zorganizowanej grupie ssaków, bez względu na to, jak dalece współpracują one ze sobą, zawsze toczy się walka o społeczną dominację. W wyniku tej walki każdy dorosły osobnik uzyskuje pewną rangę społeczną, która określa jego pozycję lub status w hierarchii danej grupy. Sytuacja nie jest stabilna na długo, głównie z powodu starzenia się uczestników walki o status. Gdy suwerenowie, czyli najwyżsi notable, osiągają wiek starczy, ich starszeństwo podlega zakwestionowaniu i zostają odsunięci przez bezpośrednich podwładnych. Wciąż na nowo odżywiają spory o dominację, przy czym każdy członek grupy wspina się nieco wyżej po drabinie społecznej. Na przeciwnym końcu skali młodszy, szybko dorastający członkowie grupy wywierają nacisk od dołu. Ponadto, niektórych członków grupy może dotknąć nagle choroba czy przypadkowa śmierć, w wyniku czego w hierarchii tworzy się luka, którą należy szybko wypełnić.

W rezultacie powstaje stan permanentnego napięcia spowodowanego walką o status. W normalnych warunkach napięcie jest możliwe do zniesienia dzięki temu, że rozmiary grup nie przekraczają pewnych granic. Jeżeli jednak w sztucznym środowisku, jakim jest niewola, grupa staje się *zbyt* liczna albo też dostępna przestrzeń staje się *zbyt* mała. "wyścig szczurów", którego celem jest wyższy status, wkrótce wymyka się spod kontroli, a walki o dominację toczą się w sposób żywiołowy. Wówczas przywódcy stad, watah, gromad i plemion narażeni są na ogromne stresy. W takich sytuacjach najslabsi członkowie grupy bywają często zaszczuwani na śmierć, ponieważ umiarkowane zazwyczaj rytuały demonstrowania władzy i przeciwstawiania się jej wyrażają się w krwawą przemoc.

Ma to także inne następstwa. Poświęcanie nadmiernej ilości czasu na porządkowanie nienaturalnie skomplikowanych stosunków w sferze statusu społecznego odbija się niekorzystnie na innych aspektach życia społecznego, takich jak opieka rodziców nad dziećmi.

Jeśli rozstrzyganie sporów o dominację stwarza problemy mieszkańcom umiarkowanie tylko zatłoczonych zwierzęcych ogrodów zoologicznych, to rzecz jasna w ludzkim zoo, zamieszkanym przez niesamowicie rozrośnięte superplemiona, konflikty są jeszcze ostrzejsze. Walka o status w warunkach naturalnych charakteryzuje się tym, że rozgrywa się na poziomie relacji *osobistych* między poszczególnymi osobnikami w obrębie grupy. Dlatego też dla pierwotnego członka plemienia problem ten był stosunkowo prosty. Kiedy jednak plemiona rozrosły się w superplemiona, a stosunki międzyludzkie stawały się

coraz bardziej bezosobowe, problem statusu rychło przybrał kształt koszmaru, któremu na imię superstatus.

Zanim zajmiemy się tym delikatnym obszarem życia miejskiego, spróbujmy rzucić okiem na podstawowe prawa rządzące walką o dominację. Najlepiej uczynić to, spoglądając na pole bitwy z punktu widzenia osobnika dominującego.

Chcąc rządzić grupą i utrzymywać się przy władzy, trzeba przestrzegać dziesięciu złotych reguł. Stosują się one do wszystkich przywódców, poczynając od pawianów, a na współczesnych prezydentach i premierach kończąc. Ów dekalog dominacji przedstawia się następująco:

a. Należy wyraźnie demonstrować strój, postawę i gesty znamionujące dominację

U pawiana jest to lśniące, starannie utrzymane i przepyszne owłosienie, spokojna, swobodna postawa, którą przyjmuje zawsze, gdy nie jest zaangażowany w żadne spory, oraz zdecydowany i ukierunkowany na określony cel chód w okresach aktywności. Nie wolno okazywać niepokoju, niepewności i braku zdecydowania.

Z pewnymi drobnymi modyfikacjami to samo można odnieść do przywódców wśród ludzi. Przepyszny futrzany płaszcz ma swój odpowiednik w bogatych i wyszukanych szatach władcy, znacznie przewyższających swym przepychem ubiór poddanych. Władca przybiera postawy właściwe dla swej roli dominującego. Odpoczywa siedząc lub półleżąc, podczas gdy inni muszą stać, nim zezwoli im, by usiedli. Jest to też typowe u dominującego pawiana, który może rozwalać się leniwie, podczas gdy jego gorliwi poddani, pozostając w pobliżu, muszą zachowywać pozycje wyrażające gotowość. Sytuacja ulega zmianie, gdy przywódca podnosi się, aby podjąć jakieś agresywne działania, i zaczyna domagać się uznania swej pozycji. W tym celu, czy to pawian czy książę, musi przybrać postawę, która wywiera większe wrażenie aniżeli postawa członków jego świty. Musi dosłownie wznieść się ponad nich, dostosowując pozycję ciała do swojego statusu psychologicznego. Dla szefa pawianów nie jest to trudne, gdyż dominująca małpa jest prawie zawsze dużo większa od swoich podwładnych. Wystarczy, że trzyma się prosto, a wtedy jego ogromne cielsko mówi samo za siebie. Efekt potęguje się jeszcze, gdyż co bojaźliwsi podwładni kurczą się i płaszcą przed swoim władcą. Przywódcy grup ludzkich muszą niekiedy uciekać się do jakichś sztucznych środków. Mogą więc powiększyć swoje rozmiary przywdziewając obszerne płaszcze czy wysokie nakrycia głowy. Powiększają swój wzrost zasiadając na tronie, wchodząc na podwyższenie, dosiadając konia czy innego zwierzęcia, korzystając z jakiegoś pojazdu lub każąc się nosić. Płaszczenie

się słabszych pawianów przyjmuje różne formy. Tak więc poddani, pozorując zmniejszenie swojego wzrostu, skłaniają głowy, wykonują ukłony, dygają, klękają, zamiatają podłogę kapeluszem, padają na twarz, czy wreszcie biją głową pokłony.

Pomysłowość cechująca gatunek ludzki pozwala przywódcom osiągnąć dwa cele równocześnie. Siedząc na tronie umieszczonym na podwyższeniu, monarcha ma możliwość jednoczesnego napawania się rozluźnioną postawą osoby dominującej w chwilach bierności i wyniosłą postawą osoby dominującej w chwilach aktywności. W ten sposób z podwójną siłą wyraża swoją potęgę.

Nacechowane dostojnością popisywanie się władzą, wspólne dla ludzi i pawianów, w różnych formach towarzyszy nam do dziś. Najbardziej pierwotne i oczywiste przejawy można zaobserwować u generałów, sędziów, arcykapłanów i istniejących jeszcze monarchów. W odróżnieniu od dawniejszych czasów obecnie ograniczają się one na ogół jedynie do specjalnych okazji, ale wówczas są równie okazałe jak dawniej. Nawet najwybitniejsi uczeni ulegają wymogom pompy i dekoracyjności, które obowiązują podczas ważniejszych uroczystości akademickich.

Gdy imperatorzy byli zmuszeni ustąpić miejsca prezydentom i premierom, pokazy osobistej dominacji stały się mniej ostentacyjne. Nastąpiło pewne przesunięcie akcentów w roli przywódcy. Przywódca w nowym stylu jest sługą ludu i tylko niejako przy okazji osobą dominującą, nie zaś dominującym władcą, który przy tym służy ludowi. Jego względnie bezbarwny strój ma być wyrazem aprobaty dla tej sytuacji, ale jest to jedynie rodzaj wybiegu. Może on sobie pozwolić na tę drobną nieuczciwość, aby stworzyć wrażenie, że jest "jednym z tłumu", ale nie ośmiela się posuwać tej gry zbyt daleko, w obawie że zanim się spostrzeże, istotnie znowu stanie się tylko kimś z tłumu. Dlatego musi kontynuować przedstawienie dominacji, aczkolwiek za pomocą innych, mniej wyzywających sposobów. Nie sprawia mu to trudności, ma bowiem do swojej dyspozycji całą złożoność współczesnego środowiska wielko-miejskiego. Wspaniałość stroju zastępuje mu wyszukany i ekskluzywny wystrój pomieszczeń, w których sprawuje władzę, a także budynków, w których mieszka i pracuje. Okazałość zaś może teraz przejawiać się podczas podróży, z udziałem kawalkad samochodów, eskorty i przy użyciu prywatnych samolotów. W dalszym ciągu może się otaczać gronem "profesjonalnych podwładnych", czyli doradców, sekretarzy, służących, osobistych sekretarzy, ochroniarzy, asystentów itp., których zadaniem jest, między innymi, okazywanie mu uniżoności, co ma utrwałać i umacniać jego wizerunek jako osoby na piedestale. Jego zachowanie, ruchy i gesty znamionujące dominację mogą pozostać niezmienione. Ponieważ u rodzaju ludzkiego są one nośnikami podstawowych sygnałów władzy,

odbiera się je nieświadomie i dlatego mogą nie podlegać żadnym ograniczeniom Ruchy i gesty władcy są spokojne i swobodne bądź też pewne i nieśpieszne. (Czy widział kto, jak prezydent lub premier biegnie, pomijając ćwiczenia fizyczne?). Podczas rozmowy posługuje się wzrokiem jak bronią, wpatrując się w rozmówcę, gdy podwładni raczej uprzejmie unikaliby kontaktu wzrokowego, natomiast odwracając głowę, gdy podwładni raczej obserwowaliby go uważnie. Nie drapie się, nie kręci, nie wykonuje nerwowych ruchów ani nie okazuje objawów niezdecydowania. Są to bowiem atrybuty zachowania podwładnych. U władcy oznaczałyby one, że istnieje jakieś poważne zakłócenie w jego roli dominującego członka grupy.

b. W chwilach rywalizacji należy znacząco pogrozić podwładnym

Na najmniejszy choćby przejaw prowokacji ze strony podwładnego pawiana przywódca grupy natychmiast reaguje spektakularnym popisem zachowania wyrażającego groźbę. Do tego celu ma on do dyspozycji całą gamę środków, poczynając od pogroźek motywowanych wielkim natężeniem agresji z lekką domieszką obawy do takich, które są umotywowane wielkim natężeniem obawy z niewielką domieszką agresji. Te ostatnie, czyli "pogrożki ze strachu" osobników słabych, acz wrogo usposobionych, nigdy nie bywają demonstrowane przez dominującego, dopóki jest on pewny swojej pozycji przywódczej. Dopóki pozycja ta pozostaje nie zachwiana, demonstruje on jedynie najbardziej agresywne formy pogroźek. Bywa też na tyle pewny swego, że nie musi się trudzić, aby robić cokolwiek, markuje jedynie zamiar, czyli intencję zademonstrowania pogroźki. Zwykle potrząśnięcie potężnym łbem pod adresem niesfornego podwładnego może wystarczyć do osadzenia go w miejscu. Tego typu gesty noszą miano "ruchów intencyjnych". Są one identyczne u ludzi. Silny przywódca, zirytowany postępowaniem podwładnego, by skutecznie potwierdzić swoją dominację, może ograniczyć się jedynie do potrząśnięcia głową i karcącego spojrzenia. Jeżeli zmuszony jest podnieść głos lub powtórzyć polecenie, znaczy to, że jego dominacja nie jest już tak pewna i że będzie musiał, po opanowaniu sytuacji, na nowo ustalić swój status, udzielając napomnienia lub wymierzając jakąś, choćby symboliczną karę.

Podniesienie głosu lub wybuch gniewu jako reakcja na bezpośrednie zagrożenie to dość słabe sygnały u przywódcy. Silny przywódca może się nimi posłużyć zarówno spontanicznie, jak rozmyślnie, jako uniwersalnym środkiem potwierdzenia swojej pozycji. Dominujący pawian może zachować się tak samo, znienacka rzucając się na swych podwładnych i wywołując w nich strach celem przypomnienia o swojej władzy. Zyskuje w

ten sposób kilka punktów, dzięki czemu może potem łatwiej wymusić posłuch za pomocą zwykłego skinienia głową. Podobnie postępują czasem przywódcy wśród ludzi, wydając surowe dekrety, przeprowadzając błyskawiczne inspekcje lub wygłaszając pełne wigoru przemówienia. Będąc przywódcą, niebezpiecznie jest przez dłuższy czas milczeć, być niewidzialnym i nie dawać znać o sobie. Jeżeli naturalne okoliczności nie dają okazji do zademonstrowania władzy, okazję taką należy stworzyć. Nie wystarczy mieć władzę, należy ją też publicznie okazywać. Na tym właśnie polega wartość spontanicznych pogroźek.

c. W chwilach zagrożeń fizycznych należy dysponować odpowiednią siłą, aby osobiście lub przez swoich przedstawicieli użyć jej do opanowania poddanych

Jeżeli pogroźki nie skutkują, trzeba zastosować atak fizyczny. Dla przywódcy pawianów jest to krok ryzykowny z dwóch powodów. Po pierwsze, w walce fizycznej nawet zwycięzca może doznać uszczerbku, a dla zwierzęcia dominującego obrażenia są zawsze groźniejsze w skutkach niż dla podporządkowanego. Wódz staje się przez to mniej groźny dla kolejnego napastnika. Po drugie, poddani zawsze mają nad nim przewagę liczebną, i jeśli prowokacja posunie się zbyt daleko, mogą oni połączyć swe siły, aby wspólnie pozbawić go władzy. Z tych dwóch powodów dla osobników dominujących pogroźka jest lepszą metodą niż rzeczywisty atak.

Przywódcą społeczności ludzkich do pewnego stopnia przewycięza te trudności, utrzymując specjalną grupę "poskramiaczy". Są to wojskowi lub policjanci, tak dalece profesjonalni i wyspecjalizowani w wykonywaniu zadań, że jedynie powszechne powstanie całej ludności mogłoby stanowić siłę zdolną ich pokonać. W sytuacjach skrajnych despota utrzymuje dodatkową, jeszcze bardziej wyspecjalizowaną grupę poskramiaczy (taką jak tajna policja), których zadaniem jest poskramianie także zwyczajnych poskramiaczy, gdyby wyłamali się z sztyku. Manipulując i zręcznie sterując tego rodzaju systemem agresji, można tak kierować, aby tylko przywódca był w pełni poinformowany o wydarzeniach i jako jedyny mógł je kontrolować. Wszyscy inni, o ile nie otrzymają rozkazów z góry, pozostają zdezorientowani. W ten sposób współczesny despota może trzymać lejce w rękach i skutecznie dominować nad innymi.

d. Jeżeli zagrożenie wymaga posłużenia się raczej , mózgiem niż mięśniami, należy przechytrzyć swoich podwładnych

Szef pawianów musi być chytry, bystry i inteligentny, a także silny i agresywny. Cechy te są jeszcze ważniejsze u przywódcy w społeczeństwie ludzkim. W ustrojach, w których przywództwo jest dziedziczne, głupiec zostaje szybko odsunięty od władzy i staje się zwykłym figurantem lub pionkiem w grze rzeczywistych przywódców.

Problemy dzisiejszego świata są tak złożone, że nowoczesny przywódca musi otaczać się intelektualistami o wysokim stopniu specjalizacji, a i tak nie może mu brakować niezbędnej bystrości umysłu. To on właśnie musi podejmować ostateczne decyzje, i to w sposób pewny, jasny i nie budzący wątpliwości. Jest to sprawa tak istotna dla każdego przywódcy, że podjęcie decyzji stanowczej i pewnej jest ważniejsze od podjęcia decyzji "właściwej". Niejednemu możnowładcy uszła płazem sporadyczna decyzja błędna, ale podjęta w dobrym stylu i z pewnością siebie, natomiast tylko nielicznym udało się przetrwać skutki wahań i niezdecydowania. Styl, w jakim coś się robi, liczy się bardziej niż to, co się robi. Jest to złota reguła wszelkiego przywództwa, choć niełatwa do zaakceptowania w dobie racjonalizmu). Jest smutną prawdą, że przywódca postępujący niewłaściwie, ale w dobrym stylu, przynajmniej do jakiegoś momentu, uzyskuje większe poparcie i odnosi większe sukcesy niż ten, który postępuje dobrze, ale w kiepskim stylu. Z tego powodu nieraz ucierpiał postęp cywilizacyjny; Społeczeństwo, któremu przewodzi człowiek postępujący słusznie i przestrzegający przy tym dziesięciu złotych zasad dominacji, może się uważać za szczęśliwe. Zdarza się to jednak rzadko. Istnieje natomiast, jak się zdaje, nieprzypadkowy, złowieszczy związek między wybitnym przywództwem a wypaczeniami politycznymi.

Jest chyba przekleństwem superplemienia, że z racji niezwyklej złożoności sytuacji prawie nie istnieje możliwość podejmowania jednoznacznych i racjonalnych decyzji w najważniejszych kwestiach. Dane, jakie należy wziąć pod uwagę, są tak złożone i zróżnicowane, a często wzajemnie sprzeczne, że wszelka racjonalna, płynąca z przesłanek rozumowych decyzja wymaga sporej dozy namysłu. Tymczasem wybitny przywódca superplemienia nie może sobie pozwolić na luksus dłuższego namysłu i "dokładniejszego przyglądania się faktom", tak typowego dla wybitnych uczonych. Zasadniczo biologiczna natura jego roli jako zwierzęcia dominującego zmusza go do podejmowania doraźnych decyzji pod groźbą utraty twarzy.

Niebezpieczeństwo jest oczywiste, a polega na tym, że sytuacja taka niechybnie faworyzuje jako wybitnych przywódców osobników niezupełnie normalnych, ogarniętych ogniem jakiegoś fanatyzmu, gotowych bezceremonialnie potraktować ogromną liczbę nieraz sprzecznych ze sobą danych i faktów, które wyrzuca z siebie system superplemienny. Jest to cena, którą musi zapłacić członek plemienia za przejście z warunków naturalnych do

sztucznych, gdy staje się on członkiem superplemienia. Jedyne rozwiązanie to znalezienie wspaniałej, malowniczej, pewnej siebie i barwnej osobowości obdarzonej błyskotliwym, racjonalnym, rozważnym i przenikliwym umysłem. Sprzeczność? Zapewne. Niemożliwość? Być może. Iskra nadziei tkwi jednak w tym, że liczebność superplemienia, która jest wszak przyczyną zaistnienia problemu, pozwala wybierać spośród milionów potencjalnych kandydatów.

e. Należy tłumić waśnię, które wybuchają między podwładnymi

Przywódca pawianów, będąc świadkiem waśni, w której zawsze przejawia się rozluźnienie dyscypliny, zapewne podejmie interwencję i waśń tę stłumi, nawet jeśli nie stwarza ona dla niego żadnego bezpośredniego zagrożenia. Jest to jednak sposobność do ponownego wykazania dominacji, a zarazem pozwala utrzymać porządek w grupie. Tego typu interwencja dominującego zwierzęcia zwykle dotyczy wadzących się młodych osobników i pomaga już w młodym wieku wpoić im przekonanie o potędze władcy, który żyje wśród nich.

U ludzi odpowiednikiem takiego zachowania jest przestrzeganie i egzekwowanie prawa obowiązującego w grupie. Władcy dawniejszych, mniejszych superplemion byli pod tym względem niezwykle aktywni, ale w ostatnich czasach obowiązki z tym związane coraz częściej powierzane są komuś innemu, głównie z powodu rosnącej wagi innych obciążeń, bardziej bezpośrednio związanych ze statusem przywódcy. Mimo to, ponieważ zwaśniona społeczność nie jest efektywna, należy zachować pewien stopień kontroli i wpływu.

f. Należy nagradzać bezpośrednich podwładnych, pozwalając im odnosić korzyści z zajmowania wysokich stanowisk

Bezpośredni podwładni pawiana dominującego, mimo iż są to najgroźniejsi rywale, stanowią dla przywódcy wielką pomoc w chwilach zagrożenia z zewnątrz. Co więcej, jeżeli są zbyt krótko trzymane przez przywódcę, mogą się wspólnie zbuntować i odsunąć go od władzy. Dlatego też cieszą się one przywilejami, które nie mogą być udziałem słabszych członków grupy. Mają więcej swobody działania i wolno im przebywać bliżej zwierzęcia dominującego niż samcom w młodszym wieku.

U ludzi każdy przywódca, który nie przestrzega tej zasady, szybko popada w tarapaty. Potrzebuje on jeszcze większej pomocy ze strony podwładnych i jest narażony na większe niebezpieczeństwo "rewolucji pałacowej" aniżeli jego odpowiednik wśród pawianów. O wiele

więcej może się przecież zdarzyć za jego plecami, System nagradzania pomocników w rządzeniu wymaga autentycznego mistrzostwa. Niewłaściwa nagroda daje zbyt wiele możliwości poważnemu rywalowi. Trudność polega na tym, że prawdziwy przywódca nie może sobie pozwolić na posiadanie prawdziwych przyjaciół. Prawdziwa przyjaźń może się w pełni realizować jedynie między osobami o podobnym statusie społecznym. Ograniczona przyjaźń może, rzecz jasna, istnieć między przełożonym a podwładnym, niezależnie od statusu, ale jest ona zawsze skażona przez różnicę stanowisk. Przy najlepszej woli partnerów taki układ przyjacielski nieuchronnie ulega skażeniu przez protekcjonalizm i pochlebstwo. Przywódca, który znajduje się na szczycie piramidy społecznej, jest całkowicie i na zawsze pozbawiony prawdziwych przyjaciół, ci zaś, którzy podają się za przyjaciół, są nimi w mniejszym stopniu, niż jest on skłonny przypuszczać. Jak już powiedziałem, rozdawanie zaszczytów wymaga wielkiego mistrzostwa.

g. Należy chronić słabszych członków grupy przed nieuzasadnionymi szykanami

Samice ze swoimi młodymi lubią skupiać się wokół dominującego pawiana. Każdy atak na nie lub na nie chronione potomstwo spotyka się z jego bezlitosnym odporem. Jako obrońca słabszych zapewnia on przetrwanie przyszłym dorosłym członkom grupy. U ludzi przywódcy, rozszerzając zakres ochrony słabszych, obejmują nią starców, chorych i niepełnosprawnych. Dzieje się tak dlatego, że kompetentni władcy nie tylko muszą chronić dzieci, które kiedyś zasilą szeregi ich popleczników, lecz także muszą dbać o obniżanie poziomu lęku u wszystkich aktywnych dorosłych, którzy czują się zagrożeni czekającą ich starością, nagłą chorobą czy też możliwym kalectwem. U większości ludzi impuls do udzielania w takich przypadkach pomocy jest wrodzony i wynika z konieczności współpracy tkwiącej w biologicznej naturze człowieka. Ale przywódcy uwalniając swoich podwładnych od konieczności rozwiązywania poważnych problemów -skłaniają ich do wydajniejszej pracy.

h. Należy stymulować aktywność społeczną członków grupy

Gdy przywódca pawianów postanawia przemieścić się z miejsca na miejsce, cała grupa rusza wraz z nim. Gdy przywódca odpoczywa, grupa także odpoczywa. Gdy przywódca pożywia się, grupa też się pożywia. Ten rodzaj kontroli nie występuje już bezpośrednio u przywódców super-plemion ludzkich. Przywódca może jednak odgrywać istotną rolę we wspieraniu pewnych abstrakcyjnych sfer działania grupy. Może on więc promować rozwój

nauki lub też starać się wzmocnić wojskowość. Zasadę tę -podobnie jak pozostałe -powinien przywódca wcielać w życie nawet wówczas, gdy nie wydaje się to bezwzględnie konieczne. Również w czasach, gdy społeczeństwo chętnie podąża w ustalonym i dobrze wytyczonym kierunku, należy w pewnym zakresie zmieniać ten kierunek, aby społeczeństwo mogło odczuwać wpływ przywódcy. Modyfikacja kursu nie powinna być tylko reakcją na jakieś niepowodzenia. Przywódca musi z własnej inicjatywy, spontanicznie wymuszać pewne nowe działania, gdyż inaczej zostanie uznany za bezbarwnego słabeusza. Jeżeli nie ma on gotowych już wzorców swoich preferencji czy fascynacji, musi je wymyślić. Jeżeli będzie postrzegany jako ktoś o niezachwianych przekonaniach w pewnych dziedzinach, będzie poważniej traktowany we wszystkich dziedzinach. Wielu współczesnych przywódców zdaje się tego nie doceniać, przez co ich programy polityczne wykazują całkowity brak oryginalności. Jeżeli wygrywają oni w walce o przywództwo, to nie dlatego, że są niebanalni, lecz jedynie dlatego, że są mniej banalni od swoich rywali.

i. Od czasu do czasu należy uśmierzać lęki swoich najniżej usytuowanych podwładnych

Gdy dominujący pawian ma chęć spokojnie podejść do któregoś ze swoich podwładnych, może napotkać trudności, gdyż jego bliska obecność jest zawsze odbierana jako zagrożenie. Może on przewyciężyć tę postawę, dając pokaz dobrych intencji. Podchodzi więc ostrożnie, nie wykonując żadnych nagłych czy gwałtownych ruchów, czemu towarzyszy mimika (cmokanie wargami) typowa dla przyjaźnie nastawionych podwładnych. W ten sposób zwierzę dominujące uśmierza lęk słabszego i może się do niego zbliżyć.

U ludzi przywódcy, którzy wobec swoich bezpośrednich

podwładnych są zwykle twardzi i surowi, w kontaktach z najniżej usytuowanymi podwładnymi często przybierają postawę przyjacielskiej łagodności. Stwarzają więc pozory przesadnej uprzejmości, machając ręką, bez końca ściskając dłonie, a nawet pieszcząc małe dzieci. Uśmiechy znikają jednak z twarzy przywódców, gdy tylko odwracają się i odchodzą do swego bezlitosnego świata władzy.

j. Należy uprzedzać zagrożenia i ewentualne ataki z zewnątrz

Dominujący pawian znajduje się zawsze na przedniej linii obrony przed atakiem ze strony wroga zewnętrznego. W ten sposób, jako opiekun grupy, odgrywa on najważniejszą

rolę. Dla pawiana wrogiem jest zwykle jakiś groźny przedstawiciel innego gatunku, natomiast u ludzi wróg przybiera zbiorowy kształt jakiejś rywalizującej grupy osobników tego samego gatunku. W takich chwilach status przywódcy jest wystawiony na ciężką próbę, ale w pewnym sensie na: jeszcze cięższą jest wystawiony w czasie pokoju. Jak już mówiliśmy, zagrożenie zewnętrzne jest tak potężną siłą spajającą dla członków zagrożonej grupy, że zadanie przywódcy pod wieloma względami staje się łatwiejsze. Im odważniejszy i bardziej bezwzględny jest przywódca, tym lepsze sprawia wrażenie jako energiczny obrońca swojej grupy, która w ogniu walki nigdy nie ośmieli się wątpić w słuszność jego nawet najbardziej nieracjonalnych poczynań (co może się zdarzyć w czasie pokoju). Silny przywódca utrzymuje się na swoich pozycjach, unoszony przez wznieconą wojną absurdalną falę entuzjazmu. Mimo głęboko wpojonego przekonania, że zabijanie ludzi jest najohydniejszą zbrodnią, bez najmniejszego trudu udaje mu się nakłonić członków swojej grupy do zabijania w aurze honoru i bohaterstwa. Mało prawdopodobne, żeby mógł wykonać jakiś fałszywy krok, ale nawet jeśli to się zdarzy, można zawsze zataić wiadomość o popełnionym błędzie jako szkodliwą dla morale narodu. Jeśli nawet wyjdzie ona na światło dzienne, zawsze można ją przedstawić jako skutek pecha, a nie błędnej oceny sytuacji. Uwzględniając wszystkie te okoliczności, trudno się dziwić, że w czasie pokoju przywódcy są skorzy doszukiwać się lub przynajmniej wyolbrzymiać zagrożenia ze strony obcych potęg i chętnie przypisują im rolę potencjalnych wrogów. Niewielki dodatek czynnika spajającego przydaje się na przyszłość.

Takie są więc szablony, wedle których funkcjonuje władza. Muszę się zastrzec, ii porównując dominującego pawiana z dominującym przywódcą grupy ludzkiej, nie sugeruję wcale, ale ewolucyjnie wywodzimy się od pawianów, ani też że nasze zachowania dominacyjne wywodzą się od zachowań pawianów. To prawda, że zgodnie z przebiegiem procesu ewolucji, kiedyś mieliśmy wspólnego z pawianami przodka. Nie o to jednak tu chodzi. Porównanie to wzięło się stąd, że pawiany podobnie jak nasi pradawni antenaci, wyprowadzili się niegdyś z bujnego środowiska, jakim była puszcza, do znacznie surowszego świata otwartych przestrzeni, gdzie niezbędna jest dużo bardziej rygorystyczna dyscyplina grupowa. Mniejsze i większe małpy leśne żyją w o wiele luźniej zorganizowanych zespołach, bowiem ich przywódcy nie znajdują się pod tak wielką presją. Dominujący pawian ma o wiele ważniejszą rolę do spełnienia -dlatego wybrałem ten przykład. Porównanie człowieka z pawianem pozwala ukazać fundamentalną istotę szablonów dominacyjnych u ludzi. Uderzające podobieństwa, które tu zachodzą, pozwalają nam świeżym okiem spojrzeć na ludzką grę o władzę i dostrzec jej istotę jako autentyczny przykład zwierzęcego zachowania

się. Musimy jednak teraz pozostawić pawiany ich własnym, mniej skomplikowanym losom i dokładniej zająć się złożoną sytuacją wśród ludzi.

Pragnąc skutecznie wypełniać swą dominującą funkcję w nowoczesnej społeczności ludzkiej, przywódca napotyka pewne określone trudności. Karykaturalnie rozbudowana władza, jaką dzierży, nieustannie stwarza rosnącą groźbę, że tylko osobnik o proporcjonalnie rozbudowanym ego może sprostać zadaniu trzymania lejców służących do kierowania superplemieniem. Ogromne ciśnienia, jakim podlega przywódca, łatwo też popychają go do aktów przemocy, będących naturalną reakcją na napięcia związane z superstatusem. Co więcej, posunięta do granic absurdu złożoność jego zadań pochłania go tak dalece, że nieuchronnie traci on kontakt ze zwykłymi problemami trapiącymi jego zwolenników. Dobry przywódca plemienny wie dokładnie, co się aktualnie dzieje w każdym miejscu pod niebem jego panowania. Przywódca superplemienia, całkowicie wyizolowany na swoim wyniosłym stanowisku związanym z superstatusem i bez reszty uwikłany w mechanizmy władzy, rychło traci więź z resztą społeczeństwa.

Mówi się czasem, że skuteczne przewodzenie w nowoczesnym świecie wymaga umiejętności podejmowania brzemiennych w skutki decyzji na podstawie minimum informacji. Taki sposób rządzenia superplemieniem napawa grozą, a jednak stosuje się go nagminnie. Znajdująca się w obiegu liczba informacji jest zbyt wielka, aby mógł ją sobie przyswoić jeden człowiek, a w dodatku, o wiele większa liczba informacji pozostaje ukryta i niedostępna w owym labiryncie, jakim jest superplemień. Racjonalnym rozwiązaniem byłoby pozbycie się osoby potężnego przywódcy, pozostawienie go w dawnej plemiennych przeszłości, do której przynależy, i zastąpienie go organizacją powiązanych z sobą wyspecjalizowanych ekspertów, posługujących się informacjami płynącymi z komputerów.

Coś zbliżonego do tego typu organizacji już oczywiście istnieje -każdy angielski urzędnik państwowy bez wahania potwierdzi, że to właśnie administracja państwowa rządzi krajem. Na poparcie tej opinii doda, że podczas sesji parlamentu jego praca ulega poważnemu zahamowaniu, a jedynie podczas przerw w pracy parlamentu dokonuje się istotny postęp. Wszystko to jest bardzo logiczne, ale niestety nie biologiczne, a tymczasem kraj, który, jak twierdzi urzędnik, znajduje się pod jego rządami, składa się z jednostek biologicznych - członków superplemienia. To prawda, że superplemień wymaga superkontroli i że jeśli przerasta to możliwości jednego człowieka, racjonalnym rozwiązaniem wydaje się zastąpienie figury rządzącej organizacją rządzącą. Jednak nie zaspokaja to biologicznych potrzeb jego zwolenników. Nawet jeśli są oni w stanie rozumować na sposób superplemienny, ich uczucia mają wciąż charakter plemienny i wciąż będą się domagać prawdziwego przywódcy w osobie

jednostki o określonej tożsamości. Jest to podstawowa norma gatunku ludzkiego i nie ma sposobu na jej uchylenie. Instytucje i komputery mogą być użytecznymi sługami panów, ale same nie mogą stać się panami (bez względu na to, co można wyczytać w opowieściach science fiction). Rozproszona organizacja i bezosobowa maszyna nie spełniają dwóch podstawowych warunków: nie potrafią nikogo do niczego natchnąć i nie da się ich usunąć ze stanowiska. Dlatego też indywidualny dominujący przywódca jest skazany na kontynuowanie walki, publicznie zachowując się jak przywódca plemienny, z ostentacją i pewnością siebie, a prywatnie zmagając się z niemal niewykonalnymi zadaniami kierowania superplemieniem.

Mimo wielkich obciążeń, jakie nakłada współczesne przywództwo i mimo zniechęcającej okoliczności, że dla ambitnego członka nowoczesnego superplemienia szansa stania się postacią dominującą w swojej grupie wynosi mniej niż jeden do miliona, pragnienie osiągnięcia wysokiego statusu nie słabnie. Odwieczny pęd do wspinania się po drabinie społecznej jest tak silnie ugruntowany, że nie ulega stłumieniu na skutek racjonalnej oceny nowej sytuacji.

Dlatego też wielkie społeczności ludzkie, we wszystkich swoich wymiarach i warstwach obfitują w setki tysięcy zawiedzionych kandydatów na przywódców, nie mających żadnej nadziei na objęcie przywództwa. Co można powiedzieć o ich nieudanej wspinaczce? Gdzie podziwają się ich energia? Oczywiście mogą odpaść i zrezygnować, ale jest to rozwiązanie wysoce niepożądane. Jego wada polega na tym, że z tej gry nikt tak naprawdę nie wypada. Niefortunni jej uczestnicy, pozostając w pozycji biernej, z pogardą obserwują rozgrywający się wokół wyścig szczurów. Członkowie superplemienia zazwyczaj starają się uniknąć takiego obrotu rzeczy i natychmiast zaczynają ubiegać się o przywództwo w wyspecjalizowanych podgrupach wchodzących w skład superplemienia. Jednym przychodzi to łatwiej, innym trudniej. Zawody i rzemiosła związane z konkurencją automatycznie wytwarzają własne hierarchie społeczne. Ale nawet tam szanse na zdobycie prawdziwego przywództwa mogą być znikome. Prowadzi to do powstawania praktycznie nieograniczonej liczby coraz nowych podgrup, w których konkurencja nie jest tak silna i daje więcej szans. Powołuje się więc do życia cały szereg niezwykle ugrupowań, zrzeszających, na zasadzie zamiłowania; hodowców kanarków, obserwatorów pociągów, badaczy UFO, czy wreszcie kulturystów. W tych strukturach skierowane na zewnątrz aspekty działalności nie są ważne. Chodzi przede wszystkim o to, że dane zajęcie wytwarza nową hierarchię społeczną tam, gdzie nie istniała ona przedtem. W obrębie takiej hierarchii powstaje rychło wiele regulacji i procedur, powołuje się rozmaite komisje i -co najważniejsze -wyłaniają się przywódcy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ani mistrz hodowli kanarków, ani mistrz

kulturystyki nie mieliby żadnej szansy, by cieszyć się upajającymi owocami przywództwa, gdyby nie zaangażowanie się w działania swojej wyspecjalizowanej podgrupy.

W ten sposób potencjalny przywódca może przezwyciężyć opór, jaki napotyka w swoim marszu w górę po schodach hierarchii społecznej gigantycznego superplemienia. Główną funkcją znakomitej większości wszelkiego rodzaju sportów, rozrywek, "koników" i działań dobroczynnych jest nie tyle dążenie do realizacji jakiegoś szczególnego, publicznie zadeklarowanego celu, ile pragnienie zaspokojenia o wiele ważniejszej potrzeby, którą można by ująć w słowa: "Spróbuj doścignąć i prześcignąć przywódcę". Jest to jedynie opis sytuacji, a nie jej krytyka. W istocie rzeczy byłoby o wiele gorzej, gdyby ta ogromna liczba nieszkodliwych podgrup czy pseudoplemion nie istniała. Stanowią one bowiem ujście energii dla ogromnej rzeszy zawiedzionych uczestników wspinaczki po drabinie społecznej. Brak takiego ujścia mógłby się stać przyczyną poważnych perturbacji.

Jak już powiedziałem, istota tej działalności nie ma większego znaczenia. Mimo to jest rzeczą ciekawą, iż tak wiele sportów i rozrywek, poza zwykłym duchem współzawodnictwa, ma w sobie pewien element zrytualizowanej agresji. Oto prosty przykład: "branie na cel". Wywodzi się ono ze wzoru skoordynowanego zachowania się o charakterze typowo agresywnym. W stosownie przetworzonej formie wciąż pojawia się w wielu rozrywkach, takich jak kręgle, bilard, rzutki, tenis, tenis stołowy, krokiety, łucznictwo, squash, siatkówka, krykiety, piłka nożna, hokej, polo, strzelectwo i łowienie ryb harpunem. Czynność ta pojawia się też niezwykle często w zabawach dziecięcych i w wesołych miasteczkach. W nieco bardziej zakamuflowany sposób stanowi ona o atrakcyjności fotografii amatorskiej. Oto bowiem obiektyw aparatu "wcelowuje się" w jakimś kierunku, dokonuje się bezkrwawych "łowów", "poluje się" z kamerą na jakąś okazję, "ujmuje się" jakąś scenę, przy czym aparat fotograficzny pełni rolę pistoletu, obiektyw teleskopowy -strzelby, a kamera filmowa -broni maszynowej. Mimo iż te symbole mogą być pomocne, nie są one jednak istotnymi elementami starań o zdobycie "dominacji w rozrywce". Niemal taką samą rolę może spełniać filumenistyka, jeśli tylko znajdzie się rywali o podobnych zainteresowaniach i posiadających zbiory, którymi można usiłować zawładnąć.

Tworzenie wyspecjalizowanych podgrup nie jest jedynym rozwiązaniem problemów związanych z superstatusem. Istnieją także pseudoplemiona tworzone według kryteriów geograficznych. Każda wioska, miasteczko, miasto czy kraj w obrębie superplemienia tworzy własną hierarchię regionalną, dostarczającą substytutów nieosiągalnej władzy nad superplemieniem.

W jeszcze mniejszej skali każdy ma swoje własne, ściśle "kółko towarzyskie", złożone z osobistych znajomych. Lista nazwisk w prywatnym spisie telefonów i adresów wskazuje zakres, jaki obejmuje ten rodzaj pseudoplemienia. Jest to szczególnie ważne, gdyż, tak jak w prawdziwym plemienu, wszyscy członkowie takiego pseudoplemienia są osobistymi znajomymi właściciela spisu. Natomiast, w odróżnieniu od prawdziwego plemienia, nie wszyscy oni znają się wzajemnie. Poszczególne grupy towarzyskie stanowią skomplikowaną sieć nachodzących na siebie i w różny sposób powiązanych elementów. Niemniej, dla każdej jednostki takie pseudoplemię stanowi jeszcze jedną sferę, w której może ona potwierdzić swój status i zrealizować się jako przywódca.

System klas społecznych to jeszcze jeden ważny sposób rozczłonkowania superplemienia bez zniszczenia grupy. Klasy społeczne istnieją od najdawniejszych czasów w niemal nie zmienionej podstawowej formie. Składają się one z klasy rządzącej, czyli wyższej, klasy średniej, a więc kupców i rozmaitych specjalistów, oraz klasy niższej, czyli chłopów i robotników. Wraz z rozrostem grup tworzyły się podpodziały i różnicujące je szczegóły, ale zasada pozostała wciąż nie zmieniona.

Uznanie odrębności poszczególnych klas umożliwiło członkom klas znajdujących się poniżej klasy najwyższej walkę o uzyskanie realnej dominacji w obrębie danej klasy. Przynależność do klasy społecznej to coś więcej niż jedynie kwestia pieniędzy. Ktoś znajdujący się na szczycie swojej klasy społecznej może mieć wyższe dochody niż ktoś zajmujący najniższą pozycję w klasie usytuowanej wyżej. Korzyści płynące z dominacji na przynależnym sobie poziomie mogą być tak znaczne, że nie ma się ochoty na porzucanie swojego plemienia klasowego. Takie częściowe pokrywanie się klas dowodzi właśnie, w jak wielkim stopniu mogą one przybierać charakter plemienny.

Jednakże ostatnio rozczłonkowanie superplemienia na klasy plemienne uległo znacznemu zahamowaniu. Wraz z rozrostem superplemienia do jeszcze większych rozmiarów i wraz z nieustannym rozwojem techniki wystąpiła konieczność podniesienia poziomu edukacji masowej, aby mogła ona sprostać tym nowym okolicznościom. Edukacja, w połączeniu z udoskonaleniami komunikacji masowej, a zwłaszcza naporem masowej reklamy, doprowadziła do zniwelowania barier klasowych. Satysfakcja płynąca z zajmowania "własnego miejsca" w życiu przestała wystarczać, gdy okazało się, że istnieją fascynujące, a przy tym coraz bardziej realne, możliwości uzyskania lepszego miejsca. A jednak dawny system klasowo plemienny stawiał i wciąż stawia znaczny opór. Zewnętrzne oznaki tej trwającej wciąż walki są dobrze widoczne w postaci rosnącego tempa cyklicznych zmian w zakresie mody. Nowe style w ubiorach, umeblowaniu, dekoracji wnętrza, muzyce i sztuce

następują kolejno po sobie z coraz większą częstotliwością. Twierdzi się, iż przyczyną tych zmian jest presja czynników ekonomicznych i żądza zysku, ale przecież byłoby równie łatwo, a nawet jeszcze łatwiej, wciąż sprzedawać nowe wersje starych motywów zamiast wciąż wprowadzać nowe motywy. Mimo to istnieje stałe zapotrzebowanie na nowe motywy, ponieważ te stare nazbyt szybko przenikają do całego systemu społecznego. Im szybciej docierają one do jego niższych poziomów, tym szybciej na samym szczycie należy je zastąpić czymś nowym i ekskluzywnym. Dawna historia nie zna tak niesamowitej karuzeli stylów i gustów. Rezultatem tego jest, rzecz jasna, oczywiście znaczna utrata tożsamości pseudoplemiennej, której trwanie było możliwe dzięki dawnemu, sztywnemu systemowi klas.

Ową utratę do pewnego stopnia rekompensuje nowy system rozczłonkowania superplemienia, który się właśnie pojawił. Powstaje oto podział na klasy wiekowe. Pojawia się i wciąż powiększa przepaść między tym, co zmuszeni jesteśmy nazwać pseudoplemieniem młodych dorosłych a pseudoplemieniem starych dorosłych. To pierwsze posiada własne zwyczaje i własny system dominacji, które coraz bardziej różnią się od zwyczajów i systemu dominacji obowiązujących w tym drugim. Zupełnie nowe zjawisko, jakim są idole nastolatków i przywódcy studenci, zapoczątkowało nowy podział pseudoplemienny. Podejmowane przez pseudoplemię starych dorosłych chaotyczne próby wchłonięcia nowej grupy można uznać za udane jedynie w bardzo ograniczonym stopniu. Obsypywanie zaszczytami młodych dorosłych przywódców lub też tolerancyjna akceptacja radykalizmu charakterystycznego dla młodzieżowej mody i stylu życia prowadzą jedynie do nasilenia przejawów buntu. (Na przykład, gdyby kiedykolwiek zalegalizowano palenie haszyszu i gdyby stało się ono powszechnym zwyczajem, natychmiast zaistniałaby potrzeba wprowadzenia na jego miejsce czegoś innego, podobnie jak sam haszysz musiał zająć kiedyś miejsce alkoholu). Tak długo jak rozmiary tych przejawów buntu uniemożliwiają dorosłym ich przyswojenie lub skopiowanie, młodzi dorośli nie mają się czym martwić. Śmiało powiewając swoimi pseudoplemiennymi sztandarami, mogą cieszyć się świeżo nabytą niezależnością superplemienia i łatwiejszym w zastosowaniu, odrębnym systemem dominacji. Wynika z tego pouczający wniosek praktyczny, że nie można stłumić pradawnego, biologicznego pędu gatunku ludzkiego do doświadczania tożsamości plemiennej. Każde scalenie rozczłonkowanego superplemienia natychmiast pociąga za sobą pojawienie się następnego rozczłonkowania. Różne autorytety w najlepszej wierze rozprawiają o "powstaniu społeczeństwa światowego". Dostrzegają one możliwości techniczne takiego rozwoju wydarzeń, opierając się na cudach nowoczesnej komunikacji, a uparcie lekceważąc trudności natury biologicznej.

Czy jestem pesymistą? Bynajmniej. Nie wyjdziemy jednak na prostą, nie uwzględnivszy biologicznych wymagań gatunku. Teoretycznie nie ma powodu, aby ugrupowania spełniające warunki tożsamości plemiennej nie mogły w produktywny sposób powiązać się wzajemnie w łonie prosperujących super-plemion, które z kolei produktywnie współdziałałyby z potężnym megaplemieniem światowym. Dzisiejsze niepowodzenia w tym względzie są spowodowane głównie próbami tłumienia istniejących różnic między różnymi grupami. Tymczasem należałoby dążyć do udoskonalenia istoty tych różnic, przekształcając je w bardziej satysfakcjonujące i pokojowe formy współzawodnictwa i współpracy. Wszelkie próby takiego sprasowania świata, aby powstał jeden wielki, monotony obszar, są skazane na niepowodzenie. Dotyczy to wszystkich poziomów, od walczących o niezależność narodów do zwalczających się gangów. Poczucie tożsamości społecznej w aktywny sposób daje o sobie znać w chwili zagrożenia. Utrzymanie tego poczucia wymaga jakiejś walki, a to prowadzi w najlepszym razie do społecznego wrzenia, a w najgorszym -do przelewu krwi. Przyjrzymy się tej sprawie dokładniej w jednym z następnvch rozdziałów, tu zaś musimy wrócić do zagadnienia statusu społecznego, które rozpatrzemy w odniesieniu do jednostki.

Jaka jest właściwie sytuacja tego nowoczesnego poszukiwacza statusu? Po pierwsze, ma on swoich osobistych przyjaciół i znajomych, którzy wspólnie z nim tworzą jego pseudoplemię towarzyskie. Po drugie, ma swoją społeczność lokalną, czyli swoje pseudoplemię regionalne. Po trzecie, jest specjalistą w pewnych zakresach, takich jak zawód, rzemiosło czy zatrudnienie, pasje, rozrywki i sporty. Zapewniają mu one funkcjonowanie wewnątrz pseudoplemion specjalistycznych. Po czwarte, pozostały mu resztki plemienia klasowego, jako dodatek do nowego plemienia wiekowego.

W sumie podgrupy te stwarzają mu znacznie większe szanse na uzyskanie jakiejś dominacji i zaspokojenie podstawowej potrzeby osiągnięcia statusu niż ogromna masa, w której byłby on jedynie małym elementem, ludzką mrówką pełzającą po ogromnym mrowisku superplemienia. Na razie w porządku. Jest jednak pewien szkopuł.

Na początek zauważmy, że dominacja osiągnięta w ograniczonej podgrupie również jest ograniczona. Nawet jeśli jest rzeczywista, stanowi tylko rozwiązanie cząstkowe. Nie można nie dostrzegać tego, że wokół dzieją się rzeczy mające dużo większą wagę. Będąc dużą rybą żyjącą w małym stawie, nie można przestać marzyć o większym stawie. W przeszłości problem ten nie był aż tak istotny, gdyż bezwzględnie funkcjonujący system klasowy utrzymywał każdego na przypisanym mu miejscu. Być może, zapewniało to porządek, ale też łatwo prowadziło do stagnacji w superplemieniu. Służyło to dobrze

jednostkom o niewielkich zdolnościach, lecz ograniczało osoby bardziej utalentowane, które trwoniły energię na realizację bardzo skromnych celów. Możliwe były sytuacje, w których potencjalny geniusz należący do klasy niższej miał mniejsze szanse na odniesienie sukcesu aniżeli kompletny idiota należący do klasy wyższej.

Sztywna struktura klasowa miała swoje zalety jako czynnik rozczłonkujący. Był to jednak system nadzwyczaj marnotrawny, nic więc dziwnego, że ostatecznie upadł. Jego duch przetrwał, ale w zasadzie zastąpił go dziś o wiele efektywniejszy system merytokratyczny, w którym teoretycznie każdy człowiek może odnaleźć swój poziom optymalny. Gdy tak się stanie, ma on możliwość utrwalenia swojej tożsamości społecznej dzięki różnym ugrupowaniom pseudo-plemiennym.

Chociaż system merytokratyczny skutecznie pobudza do działania, ma on także i inne oblicze. Wszelkie podniety wiążą się z napięciem. Merytokracja charakteryzuje się tym, że co prawda zapobiega trwonieniu talentów, ale otwiera wyraźnie widoczny kanał, który ciągnie się od samego dna do samego szczytu ogromnej społeczności superplemiennej. Jeżeli każdy chłopiec, ze względu na swoje osobiste zalety, ma możliwość zostania największym z przywódców, to na każdego odnoszącego sukces musi przypadać ogromna liczba przegranych. Nie mogą oni przypisywać swojej klęski złościwości sił zewnętrznych działających w systemie klasowym. Muszą uznać własną winę, upatrując jej źródła w swoich osobistych niedostatkach.

Wydaje się więc, że w każdym wielkim, energicznym i postępowym superplemieniu musi nieuchronnie istnieć wielka liczba głęboko zawiedzionych poszukiwaczy statusu. Bierne zadowolenie panujące w społeczeństwie sztywnym i nieruchawym ustępuje miejsca gorączkowym pragnieniom i niepokojom ogarniającym społeczeństwo dynamiczne i rozwijające się. Jak reagują na to aktywnie walczący poszukiwacze statusu? Otóż mogą dostać się na szczyt robiąc, co mogą, by stworzyć wrażenie, że ich podległość jest mniejsza niż jest naprawdę. By lepiej to zrozumieć, warto zatrzymać się na chwilę przy świecie owadów. Istnieje wiele gatunków owadów jadowitych. Większe stworzenia uczą się ich unikać jako niejadalnych. W interesie tych owadów leży, by miały jakiś znak działający jak flaga ostrzegawcza. Na przykład typowa osa ma na sobie dobrze widoczny wzór złożony z czarnych i żółtych pasów. Jest on tak charakterystyczny, że każdy drapieznik bez trudu może go zapamiętać. Po kilku nieprzyjemnych doświadczeniach drapieznik szybko uczy się unikać owadów o podobnym wzorze. Inne nie spokrewnione gatunki owadów jadowitych mogą też mieć podobne wzory. Stają się one członkami czegoś w rodzaju "klubu ostrzegania".

Dla naszych rozważań istotne jest to, że niektóre nieszkodliwe gatunki owadów korzystają z tego systemu, przybierając wzory podobne do wzorów właściwych jadowitym członkom "klubu ostrzegania". Na przykład niektóre niegroźne muchy zdobią czarne i żółte pasy imitujące kolorystyczne wzory os. Stając się fałszywymi członkami "klubu ostrzegania", odnoszą one z tego korzyści, mimo że pozbawione są prawdziwego jadu. Zabójcy nie odważają się ich atakować, chociaż mogłyby stanowić niezły posiłek.

Ta prosta analogia pozwoli nam lepiej zrozumieć, co przydarzyło się ludzkiemu poszukiwaczowi statusu, jeśli przyjmiemy założenie, że posiadanie jadu odpowiada posiadaniu dominacji. Osobnicy rzeczywiście dominujący okazują swój wysoki status na wiele różnych, dobrze widocznych sposobów. A więc aby zasygnalizować dominację, powiewają flagami, mającymi formę ubiorów, jakie noszą, domów, w których mieszkają, a także sposobów podróżowania, bawienia się, jedzenia. Posługując się społecznymi odznakami przynależności do "klubu dominacji", natychmiast ujawniają oni swój wyższy status, tak podwładnym, jak i sobie nawzajem, i dlatego nie muszą już nieustannie potwierdzać swojej dominacji w sposób bardziej bezpośredni. Podobnie jak jadowite owady, nie muszą wciąż "zapuszczać żądła" w swoich wrogów, lecz tylko wymachują flagą; która informuje, że gdyby chcieli, mogliby to uczynić.

Wynika stąd, rzecz jasna, *te* nieszkodliwi podwładni, jeśli uda im się wywiesić te same flagi, mogą przyłączyć się do "klubu dominacji" i odnosić z tego korzyści. Jeżeli niczym czarno-żółte muchy potrafią naśladować czarno-żółte osy, mogą przynajmniej stworzyć pozór dominacji.

Imitowanie dominacji stało się w istocie głównym zajęciem superplemiennych poszukiwaczy statusu i dlatego musimy dokładniej przyjrzeć się temu zjawisku. Po pierwsze, należy wyraźnie odróżnić symbol statusu od naśladownictwa dominacji. Symbol statusu jest zewnętrznym znakiem poziomu dominacji społecznej, jaki się rzeczywiście osiągnęło. Naśladownictwo dominacji jest zewnętrznym znakiem poziomu dominacji, jaki pragnęłoby się osiągnąć, ale jest on jeszcze nieosiągalny. Przenosząc rozumowanie na płaszczyznę materialną, symbol statusu jest czymś, na co nas stać, natomiast naśladownictwo dominacji jest czymś, na co nas nie stać, ale jednak nabywamy to. Dlatego naśladownictwo dominacji nierzadko wymaga poważnych poświęceń, rezygnacji z czegoś innego, gdy tymczasem prawdziwe symbole statusu tego nie wymagają.

Dawniejsze społeczeństwa o sztywniejszych strukturach klasowych nie poświęcały oczywiście tyle uwagi naśladowaniu dominacji. Jak już mówiłem, ludzie byli wówczas bardziej zadowoleni ze swojego miejsca w określonym porządku rzeczy. Ale pęd ku górze

jest potężnym motorem działań i dlatego zawsze istniały wyjątki, niezależnie od sztywności struktury klasowej. Jednostki dominujące, gdy tylko dostrzegwały osłabienie swojej pozycji spowodowane przez czyjeś naśladownictwo, reagowały ostro. Wprowadzano więc ścisłe przepisy, a nawet ustawy, mające ukrócić praktyki naśladowcze.

Dobrym przykładem są tu regulacje prawne dotyczące ubiorów. Sprawa ta nabrała takiej wagi, że ustawa z roku 1363 uchwalona przez parlament westminsterski w Anglii poświęcona była głównie uporządkowaniu fasonów ubiorów noszonych przez różne stany. W renesansowych Niemczech kobieta nosząca ubiór przynależny wyższemu stanowi mogła być zmuszona do włożenia ciężkiego drewnianego chomąta, które zatrzaskiwano na jej szyi. W Indiach wprowadzono ścisłe reguły wiązania turbanów wedle przynależności do poszczególnych kast. W Anglii za panowania Henryka VIII kobieta, której męża nie było stać na utrzymanie konia na użytek króla, nie mogła nosić aksamitnych czepków ani złotych łańcuchów. W Ameryce, w dawnej Nowej Anglii, kobiecie nie wolno było nosić jedwabnych szarf, o ile jej mąż nie posiadał tysiąca dolarów. Przykładów takich można by znaleźć bez liku.

W dzisiejszych czasach, wraz z załamaniem się struktury klasowej, prawa te zostały znacznie złagodzone. Obecnie ograniczają się one do kilku zaledwie szczególnych kategorii, takich jak odznaczenia, tytuły i regalia, których nie uzasadnione odpowiednim statusem używanie jest wciąż bezprawne lub przynajmniej społecznie nie akceptowane. Jednak ogólnie biorąc, jednostka dominująca w dużo mniejszym niż ongiś stopniu jest teraz chroniona przed praktykami naśladowczymi.

Dominujący rewanżuje się w bardzo przemyślny sposób. Godząc się z faktem, że jednostki o niższym statusie uporczywie praktykują naśladownictwo, dominujący udostępnia tanie, masowo produkowane imitacje przedmiotów symbolizujących wysoki status. Przynęta jest bardzo kusząca i zostaje chciwie połknięta. A oto przykład działania tej pułapki. Małżonka o wysokim statusie społecznym nosi naszyjnik z brylantów. Małżonka o niskim statusie nosi naszyjnik z paciorków. Oba naszyjniki są pięknie wykonane, jednak paciorki, choć barwne i atrakcyjne, są niedrogie i nie mogą uchodzić za nic więcej ponad to, czym są. Mają one niestety małą wartość jako wskaźnik statusu, gdy tymczasem małżonka o niskim statusie pragnęłaby czegoś więcej. Nie istnieje prawo ani dekret, który zabraniałby jej noszenia naszyjnika z brylantów. Ciężko pracując i składając grosz do grosza, za cenę przekraczającą właściwie jej możliwości, być może, będzie mogła w końcu nabyć naszyjnik z małych, ale prawdziwych brylantów. Jeżeli zdecyduje się na to i przystroi się w owo naśladownictwo dominacji, stanie się zagrożeniem dla małżonki o wysokim statusie,

ponieważ różnica między symbolami ich statusu zatrze się. Dlatego też małżonek o wysokim statusie rzuca na rynek naszyjniki z wielkimi sztucznymi brylantami. Są one niedrogie i na tyle atrakcyjne, że małżonka o niskim statusie społecznym rezygnuje z walki o prawdziwe brylanty i zadowala się sztucznymi. W ten sposób pułapka się zatrzaskuje, a groźba naśladownictwa prawdziwej dominacji zostaje oddalona.

Nie jest to widoczne na pierwszy rzut oka. Małżonka o niskim statusie, paradując w swoim sztucznym naszyjniku, wydaje się naśladować dominującą rywalkę. Ale jest to tylko złudzenie. Naszyjnik, w porównaniu ze zwykłym stylem życia kobiety, jest zbyt kosztowny, żeby mógł być prawdziwy. Nikogo nie może on zmylić i dlatego nie może spełnić swojej roli jako wskaźnik jej wyższego statusu.

Aż dziwne, że owa sztuczka tak znakomicie i tak często się udaje. Można się z nią zetknąć we wszystkich dziedzinach życia, co ma określone następstwa. W ten sposób doszło do zniszczenia dużej części autentycznej sztuki i rzemiosła, będących jednak wyrazem niskiego statusu twórców. Sztuka ludowa różnych narodów została wyparta przez tanie reprodukcje wielkich mistrzów, muzyka ludowa ustąpiła miejsca płycie gramofonowej, a rzemiosło wiejskie zostało zastąpione przez masową produkcję z plastiku, imitującą bardziej kosztowne wyroby.

Pośpiesznie tworzone stowarzyszenia ludowe boleją na tym i usiłują powstrzymać ten bieg wydarzeń, ale szkoda już się dokonała. Co najwyżej mogą one teraz spełniać rolę muzealników kultury ludowej. Gdy wyścig o status objął całe społeczeństwo, od jego dołów aż po szczyty, nie ma już powrotu. Jak już mówiłem, bunt społeczeństwa przeciw ponurej jednostajności charakteryzującej tę "nową monotonię" będzie polegać jedynie na tworzeniu nowych wzorców kulturowych, nie zaś na wspieraniu wzorców starych i wymierających. Zresztą prawdziwy poszukiwacz statusu nie uznaje buntu. Nie zadowolają go też żadne tanie falsyfikaty. Rozpoznaje w nich zmyślnie rozstawione atrapy, czyli złudną wersję rzeczywistego naśladownictwa dominacji. Według niego w naśladowaniu dominacji liczą się tylko autentyczne przedmioty. Nabywając je, płaci nieco więcej, niż mu na to pozwala jego stan majątkowy, aby wywołać wrażenie, że osiągnął nieco wyższy stopień dominacji niż ten, który istotnie jest jego udziałem. Jedynie wtedy może liczyć na powodzenie.

Na wszelki wypadek skupia się on zwykle tylko na tych dziedzinach, w których tanie falsyfikaty w ogóle nie wchodzi w grę. Jeśli stać go na mały samochód, kupuje samochód średniej wielkości. Jeśli stać go na samochód średniej wielkości, kupuje wielki samochód, a gdy stać go na jeden wielki samochód, kupuje jeszcze jeden mniejszy, gdy zaś wielkie samochody stają się zbyt popularne, kupuje mały, ale kosztowny samochód sportowy

zagranicznej marki. Gdy modne stają się wielkie tylne światła pozycyjne, on kupuje najnowszy model z jeszcze większymi światłami, "żeby ci za nim wiedzieli, że on jest z przodu", jak to lapidarnie wyrażają twórcy reklam. Nie kupi natomiast na pewno rzędu kartonowych modeli rolls-royce'a w naturalnej wielkości, aby ustawić je przed garażem. W świecie fanatyka ubiegającego się o wyższy status nie ma miejsca na sztuczne brylanty. Przykład samochodów, choć jednostkowy, jest bardzo ważny ze względu na ich powszechność. Żarliwy bojownik o status nie może jednak na tym poprzestać. Jeżeli malowany przez niego wizerunek własny ma przekonać rywali w walce o wysoki status, musi on rozszerzać swoje działanie i zasięg użytku, jaki robi z konta bankowego, na wszelkie możliwe dziedziny. Cały system sprzedaży ratalnej, hipotek i kredytów bankowych funkcjonuje dzięki silnie działającemu pędowi ku górze, który uzewnętrznia się właśnie jako naśladownictwo dominacji.

Niestety przesadnie eksponowane atrybuty niezłomnego poszukiwacza statusu uzyskują tak wielkie znaczenie, że zaczyna się wydawać, iż są one większe, niż są w rzeczywistości. Mimo wszystko nie świadczą one o dominacji, lecz jedynie o jej naśladowaniu. Prawdziwa dominacja, a więc prawdziwy status społeczny, jest związana z posiadaniem władzy i wpływem na podwładnych w superplemieniu, nie zaś z posiadaniem jeszcze jednego telewizora kolorowego. Rzecz jasna, jeśli ktoś bez wysiłku może sobie pozwolić na drugi telewizor kolorowy, jest to naturalne odzwierciedlenie statusu i stanowi autentyczny jego symbol. Jednakże drugi telewizor kolorowy u kogoś, kogo ledwie stać na zakup jednego, to zupełnie inna sprawa. U stojących na wyższym szczeblu hierarchii może to wywołać przekonanie, że ten ktoś jest gotów do nich dołączyć, ale w żaden sposób nie daje gwarancji, że ów ktoś rzeczywiście to zrobi. Wszyscy rywale znajdujący się na tym samym szczeblu będą w tym samym celu skrzętnie instalować po jeszcze jednym telewizorze, ale podstawowe prawo hierarchii stanowi, że tylko kilku z tego szczebla dosięgnie następnego. Ci szczęśliwcy mają powód, by na swoich drugich telewizorach zawiesić laurowe wieńce, gdyż udało im się sztuczka z naśladowaniem dominacji. Wszyscy inni, sromotnie pokonani, muszą dalej tkwić na swoim miejscu, otoczeni naśladowującymi dominację kosztownymi rupieciami, które nagle ujawniły swoją prawdziwą naturę złudnej wspaniałości. Świadomość, że będąc cenną pomocą w skutecznym wspinaniu się po drabinie do dominacji, dominacji tej nie zapewniają, jest gorzką pigułką.

Szkody wyrządzone przez przesadne naśladownictwo dominacji bywają ogromne. Prowadzi ono nie tylko do deprymującego rozczarowania pechowych poszukiwaczy statusu,

lecz także stawia członkowi superplemienia tak wielkie wymagania, że może mu już nie starczy czasu i energii na nic innego.

Poszukujący statusu mężczyzna, który zbyt angażuje się w naśladowanie dominacji, nierzadko bywa zmuszony do zaniedbania życia rodzinnego. Rodzicielską rolę mężczyzny w domu musi przejąć kobieta. Powstaje wówczas szkodliwa dla dzieci atmosfera psychiczna, która łatwo może wypaczyć ich tożsamość płciową w okresie dorastania. Dziecko dostrzega jedynie to, że jego ojciec stracił główną rolę w rodzinie. Dla dziecka nie ma większego znaczenia, że poświęcił się on walce o dominację na zewnątrz, na szerszym terenie superplemienia. Nie należy się spodziewać, że dziecko dorastające w tych warunkach będzie się rozwijać harmonijnie. Nawet w starszym wieku, kiedy dziecko rozumie już, na czym polega wyścig o status w superplemieniu, i być może chwali się osiągnięciami ojca, nie uznaje ich jako dostateczną rekompensatę za brak jego rodzicielskiej aktywności. Mimo rosnącego statusu na zewnątrz ojciec może łatwo stać się obiektem rodzinnych żartów.

Wprawia to naszego uczestnika walki o status w superplemieniu w niemałe zakłopotanie. Przecież działał zgodnie z wszelkimi zasadami, a jednak gdzieś popełnił błąd. Wymagania nakładane przez superstatus w ludzkim zoo są istotnie okrutne. Albo się przegrywa i trzeba przeżyć rozczarowanie, albo się wygrywa i wtedy traci się wpływ na własną rodzinę. Bywa też jeszcze gorzej, kiedy pracuje się tak intensywnie, że traci się wpływ na rodzinę, a *mimo to* ponosi się klęskę.

W ten sposób dochodzimy do nowego zjawiska -gwałtownej reakcji, jaką wywołują u niektórych członków superplemienia frustracje walki o dominację. Badacze zachowań zwierząt nazywają to przedadresowaniem agresji. Jest to zjawisko co najmniej przykre, a w skrajnych formach bywa dosłownie zabójcze. Można je zaobserwować podczas spotkań dwóch rywalizujących ze sobą zwierząt. Każde z nich pragnie zaatakować, ale każde się boi. Jeżeli pobudzona agresja nie może się wyładować na budzącym lęk przeciwniku, który ją wywołał, wówczas zostanie ona skierowana gdzie indziej. Szuka się wtedy kozła ofiarnego w postaci łagodniejszego i mniej groźnego osobnika, aby wyładować na nim nagromadzoną wściekłość. Nie zrobił on niczego, co mogłoby tę agresję uzasadnić. Jediną jego winą jest, że jest słabszy i mniej groźny niż właściwy przeciwnik.

W wyścigu o status zdarza się często, że podwładny nie ośmiela się bezpośrednio okazać gniewu swojemu przełożonemu. Stawka jest zbyt wysoka. Musi on swój gniew przedadresować, czyli skierować na inny obiekt. Mogą to być jego nieszczęsne dzieci, żona lub pies. W dawnych czasach mogły na tym ucierpieć boki jego konia, a obecnie -skrzynia biegów w jego samochodzie. Być może korzysta on z luksusu posiadania własnego personelu

podwładnych, których może wy. chłostać językiem. Jeżeli ma opory przed działaniami w tych kierunkach, pozostaje zawsze jedna osoba, czyli on sam. Może więc na przykład zafundować sobie chorobę wrzodową.

W krańcowych sytuacjach, gdy już wszystko wydaje się zupełnie beznadziejne, może on zwiększyć do maksimum agresję wobec samego siebie i skończyć ze sobą. (Zaobserwowano, że zwierzęta w zoo, gdy nie są w stanie dosięgnąć przeciwnika przez kraty, dokonują poważnych uszkodzeń własnego ciała, kłusząc się do kości, jednakże samobójstwo występuje chyba tylko u ludzi). Poglądy na główne przyczyny samobójstw znacznie różnią się między sobą, ale raczej nikt nie przeczy, że jednym z głównych czynników jest przedadresowana agresja. Jeden z wybitnych znawców przedmiotu posuwa się do twierdzenia, że "nikt nie zabija sam siebie, jeśli nie pragnie zabijać innych lub co najmniej nie życzy im śmierci". Może jest to lekka przesada. Człowiek popełniający samobójstwo z powodu bólu lub nieuleczalnej choroby nie należy przecież chyba do tej kategorii. Dziwna byłaby sugestia, że pragnie on zabić lekarza, któremu nie udało się go wyleczyć. Chce jedynie wyzwolić się od bólu. Jednakże wydaje się, że przedadresowanie agresji istotnie jest powodem wielu samobójstw. Oto niektóre fakty potwierdzające tę myśl.

Liczba samobójstw w miastach i metropoliach jest większa niż w rejonach wiejskich. Innymi słowy, tam, gdzie trwa najbardziej zażarty wyścig o status, liczba samobójstw jest największa. Samobójstwa wśród mężczyzn są częstsze niż wśród kobiet, choć kobiety szybko nadrabiają ten dystans. Inaczej mówiąc, ta płęć, która bardziej angażuje się w wyścig o status, ma też większy udział w liczbie samobójstw. Dlatego dziś kobiety, coraz bardziej się emancypując i dołączając do wyścigu, narażają się na podobne ryzyko. Liczba samobójstw rośnie w okresach kryzysu gospodarczego. Oznacza to, że gdy wyścig o status napotyka trudności na szczycie hierarchii, zwiększa się ilość przedadresowanej agresji na wszystkich niższych szczeblach hierarchii, co ma katastrofalne skutki.

Liczba samobójstw spada podczas wojny. Krzywe obrazujące liczbę samobójstw w dwudziestym wieku ukazują dwa wielkie spadki w okresach dwóch wojen światowych. Krócej mówiąc: po co zabijać samego siebie, gdy można zabić kogoś innego? To właśnie opory przed zabijaniem osób dominujących doprowadzają potencjalnego samobójcę do stanu frustracji i zmuszają go do przedadresowania agresji. Ma on wtedy do wyboru: albo zabić mniej groźnego kozła ofiarnego, albo siebie. W czasie pokoju wewnętrzne opory wobec zabijania sprawiają, że zwykle wybiera on siebie, ale podczas wojny, gdy zabija się na rozkaz, liczba samobójstw spada.

Istnieje ścisły związek między samobójstwem a morderstwem. Są to jakby dwie strony tego samego medalu. W krajach o wysokiej liczbie morderstw liczba samobójstw jest na ogół niewielka i odwrotnie. Można odnieść wrażenie, że istnieje jakaś określona ilość silnej agresji, która musi ulec wyzwoleniu, przybierając taką czy inną formę. Jej ukierunkowanie zależy od tego, w jakim stopniu dane społeczeństwo odczuwa opory wobec popełniania morderstw. Jeżeli opory te są słabe, liczba samobójstw spada, podobnie jak podczas wojen, gdy opory wobec zabijania są skutecznie i celowo tłumione.

Jednak ogólnie biorąc, współczesne superplemiona wykazują niezwykle silne opory wobec zabijania. Większości z nas, którzy nie stawali przed koniecznością losowego, być może, wyboru między morderstwem a samobójstwem, z trudnością przychodzi zrozumieć, na czym polega ten konflikt, jakkolwiek teoretycznie, z biologicznego punktu widzenia, zabicie samego siebie jest bardziej nienaturalne niż zabicie kogoś innego. A jednak cyfry mówią co innego. W Wielkiej Brytanii w ostatnich latach roczne statystyki samobójstw oscylowały wokół liczby 5000, podczas gdy liczba (wykrytych) morderstw utrzymywała się na poziomie poniżej 200. Co więcej, przyglądając się tym morderstwom, dostrzegamy coś zaskakującego. Większość z nas czerpie swoją wiedzę o morderstwach z reportaży prasowych i powieści kryminalnych. Jednak i gazety, i autorzy utworów sensacyjnych zajmują się takimi morderstwami, dzięki którym można sprzedać wiele egzemplarzy gazet i książek. Tymczasem najczęstszym tłem zabójstwa jest nieefektywna, ohydna rozgrywka rodzinna, w której ofiarą jest jakiś bliski krewny. W 1967 roku w Wielkiej Brytanii popełniono 172 morderstwa, z których 81 było właśnie takich. Co więcej, 51 morderców po dokonaniu zbrodni popełniło samobójstwo. Wiele spośród tych przypadków wyróżniał charakterystyczny przebieg zdarzeń: mężczyzna, gotów skierować swoją pełną frustracji agresję przeciwko sobie, najpierw zabija swoich najbliższych, a potem popełnia samobójstwo. Wydaje się, że nie potrafi on pogodzić się z myślą, że skazał ich na cierpienie, i dlatego najpierw usuwa właśnie ich. Badacze problemu morderstwa zauważyli, że w takich sytuacjach zabójca podlega! niekiedy ciekawej przemianie. Doświadcza on tak wielkiej ulgi psychicznej, że jeśli natychmiast nie dokończy dzieła i nie powiększy grona trupów o własny, prawdopodobnie straci ochotę na popełnienie samobójstwa. Był gotów pozbawić się, życia, ponieważ został skrajnie zdominowany i sfrustrowany! przez społeczeństwo, ale zabójstwo dokonane na rodzinie zaspokoilo jego żądę rewanżu na społeczeństwie tak skutecznie, że wydobyl się ze stanu depresji i odczuł ulgę. Stawia go to w ekstremalnie trudnej sytuacji. Wokół leżą ciała zabitych i wszystko świadczy o tym, że popełnił wielokrotne morderstwo, gdy tymczasem był to jedynie element

rozpaczliwej próby samobójstwa. Oto jak koszmarnie bywają przypadki przedadresowanej agresji.

Na szczęście większość z nas nie ucieka się do tak drastycznych sposobów. Nasi bliscy bywają czasem narażeni co najwyżej na konieczność znoszenia naszego kiepskiego humoru, którym witamy ich wracając do domu. Wielu członków superplemienia potrafi się rozładować, obserwując w telewizji lub w kinie, jak inni zabijają rozmaitych łajdaków. Fakt, że w społecznościach, gdzie panuje wysoki stopień podporządkowania lub represji, lokalne kina wyświetlają wyjątkowo dużo filmów obrazujących przemoc, ma swoją wymowę. Właściwie można by wykazać, że fikcyjna przemoc oddziałuje na widzów proporcjonalnie do stopnia frustracji związanej z dominacją, jakiej doznają w rzeczywistości.

Ponieważ wszystkie wielkie superplemiona w wysokim stopniu dotknięte są tego typu frustracją, uczestnictwo w fikcyjnej przemocy jest zjawiskiem powszechnym. Aby to udowodnić, wystarczy porównać międzynarodowe wskaźniki sprzedaży książek, w których opisuje się przemoc, z innymi książkami. Według ostatnich badań dotyczących bestsellerów wszechczasów w światowej literaturze powieściowej nazwisko jednego z autorów specjalizujących się w opisywaniu skrajnej przemocy pojawiło się w pierwszej dwudziestce aż siedem razy, przy czym ogólna liczba sprzedanych książek tego autora wynosiła ponad 34 miliony egzemplarzy. Obraz telewizji jest niemal identyczny. Dokładna analiza programów nadawanych w rejonie Nowego Jorku w roku 1954 ujawniła, że tylko w jednym tygodniu pokazano nie mniej niż 6800 aktów agresji.

Niewątpliwie istnieje silna potrzeba oglądania innych ludzi poddawanych najbardziej skrajnym formom dominacji. Gorące spory toczą się wokół kwestii, czy jest to pożyteczny i nieszkodliwy sposób na rozładowanie tłumionej agresji. Tak jak w naśladownictwie dominacji, przyczyna oglądania przemocy jest oczywista, ale jego wartość jest wątpliwa. Ani oglądanie aktu przemocy, ani czytanie o nim nie zmieniają sytuacji życiowej widza czy czytelnika. Być może uczestnictwo w wydarzeniach zmyślonych sprawia mu przyjemność, gdy je ogląda, ale w końcu wraca on do obojętnego świata rzeczywistości i dalej podlega tej samej dominacji co przedtem. Wyzwolenie od napięć jest więc tylko chwilowe, jak podrapanie się po ukąszeniu owada. Co więcej drapanie łatwo może zaostrić stan zapalny. Wielokrotne oglądanie fikcyjnych krwawych epizodów prowadzi na ogół do zwiększonego zainteresowania zjawiskiem przemocy jako takiej. Jedyną dobrą stroną takich widowisk jest to, że oglądając je, publiczność nie dokonuje jednocześnie aktów przemocy.

Przedadresowanie agresji opisuje się niekiedy jako zjawisko z gatunku "...no i służący kopnął kota". W opisie tym zawiera się przekonanie, że tylko ludzie najniżej stojący w

hierarchii społecznej wyładowują swój hamowany gniew na zwierzęciu. Na nieszczęście dla zwierząt nie jest to prawda, co potwierdzają dane liczbowe towarzystw opieki nad zwierzętami. Od najstarszych cywilizacji aż do dnia dzisiejszego okrucieństwo wobec zwierząt stanowi jeden z głównych sposobów rozładowania agresji i bynajmniej nie ogranicza się do najniższych szczebli hierarchii społecznej. Od jatek w amfiteatrach rzymskich, przez średniowieczne szczucie psów na uwięzianego niedźwiedzia, aż do współczesnych walk byków -zadawanie cierpienia zwierzętom i ich zabijanie stanowi niekwestionowaną powszechną atrakcję dla członków społeczności superplemiennych. To prawda, że od czasów, gdy nasi przodkowie zaczęli uprawiać łowiectwo jako sposób przeżycia, człowiek zadawał cierpienie innym gatunkom zwierząt i uśmiercał je, ale w czasach prehistorycznych inne były motywy takiego postępowania. Nie istniało wówczas czyste okrucieństwo, które określa się jako "rozkoszowanie się cudzym cierpieniem".

W czasach superplemiennych zabijamy zwierzęta w następujących celach: aby uzyskać pożywienie, ubranie i inne produkty; aby zniszczyć szkodniki i robactwo; w celach naukowych; dla samej przyjemności zabijania. Dwa pierwsze cele odziedziczyliśmy po naszych polujących przodkach, natomiast dwa następne stanowią innowację czasów superplemiennych. Nas interesuje zwłaszcza cel czwarty. W pozostałych trzech może oczywiście być element okrucieństwa, nie ono jednak stanowi główną ich cechę.

Dzieje rozmyślnego okrucieństwa człowieka wobec innych gatunków mają dziwne koleje. Dawnego myśliwego łączyło ze zwierzętami jakieś pokrewieństwo. Żywił on do nich szacunek. Podobne naturalne relacje panowały w czasach wczesnego rolnictwa. Jednakże od chwili gdy rozpoczął się rozwój populacji miejskiej, wielkie grupy istot ludzkich utraciły bezpośredni kontakt ze zwierzętami, a wraz z nim szacunek dla nich. W miarę rozwoju cywilizacji człowiek stawał się coraz bardziej arogancki. Nie chciał dostrzegać, że jest takim samym zwierzęciem jak każdy inny gatunek. Powstała wielka przepaść, wynikająca z przekonania, że tylko człowiek jest obdarzony duszą, a inne zwierzęta jej nie mają. Że są one tylko dzikimi bydlętami, które żyją na ziemi jedynie gwoli przyjemności człowieka. Wraz z rosnącym wpływem chrześcijaństwa zwierzęta znajdowały się w coraz gorszej opresji. Nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły: wystarczy zauważyć, że jeszcze w połowie dziewiętnastego wieku papież Pius IX nie wyraził zgody na otwarcie urzędu ochrony zwierząt w Rzymie, uzasadniając odmowę tym, że człowiek ma obowiązki wobec swych bliźnich, ale nie wobec niższych stworzeń. Nieco później, w tym samym wieku, pewien wykładowca jezuicki pisał: "Dziki bydlęta, jako pozbawione rozumu, nie są osobami, a zatem nie mogą posiadać żadnych praw... Wobec niższych stworzeń nie mamy więc żadnych obowiązków

wynikających z miłosierdzia, ani obowiązków innego rodzaju, tak jak nie mamy ich wobec rzeczy martwych".

Wielu chrześcijan wątpiło w słuszność takiej postawy, ale dopiero pod wpływem teorii ewolucji Darwina ukształtował się pogląd, że ludzi i zwierzęta wiele łączy. Ponowne uznanie oczywistego dla dawnych myśliwych pokrewieństwa między ludźmi i zwierzętami rozpoczęło drugą erę poszanowania dla zwierząt. Skutkiem tego w okresie ostatnich stu lat nasz stosunek do rozmyślnego okrucieństwa uległ dość szybkiej zmianie, jednakże mimo nasilającej się dezaprobaty zjawisko to wciąż jeszcze występuje. Publicznie objawia się rzadko, ale wciąż zdarzają się indywidualne akty bestialstwa. Chociaż, być może, obdarzamy zwierzęta poszanowaniem, są one wciąż naszymi poddanymi i jako takie służą za cel rozładowywania preadresowanej agresji.

Zaraz za zwierzętami znajdują się dzieci, nasi najslabsi poddani. Pomimo większych niż wobec zwierząt oporów one także narażone są na wiele preadresowanej przemocy. Zjadliwość towarzysząca prześladowaniu zwierząt, dzieci i innych bezbronnych poddanych jest miernikiem siły, z jaką oddziałuje na prześladowców presja związana z dominacją. Mechanizm ten nie przestaje działać nawet podczas wojny, gdy zabijanie uważa się za chwalebne. Sierzanci i inni podoficerowie często niezwykle brutalnie okazują dominację swoim podwładnym, mając na względzie nie tylko utrzymanie dyscypliny, lecz także wzniecenie nienawiści, która podczas bitwy ma być preadresowana i skierowana na wroga. Z tego, co wyżej powiedziałem, widać jasno, jakie żniwo zbiera nienaturalnie silne ciśnienie odgórnej dominacji, będące nieodłączną cechą stosunków superplemiennych. Nienormalność sytuacji zwierzęcia ludzkiego, które jeszcze kilka tysięcy lat temu było zwyczajnym myśliwym plemiennym, wytworzyła wzorce zachowania uznawane za nienormalne również wśród zwierząt. Należą do nich: przesadne oddawanie się naśladownictwu dominacji, podniecenie na widok aktów przemocy, rozmyślne okrucieństwo wobec zwierząt, dzieci i najniższych podwładnych, morderstwa i wreszcie -po wyczerpaniu innych środków -przemoc wobec siebie oraz samobójstwo. Tak więc członek superplemienia, który zaniedbuje rodzinę, by wspiąć się o szczebel wyżej po drabinie społecznej, rozkoszuje się przemocą w książkach i filmach, kopie psy, bije dzieci, szykanuje podwładnych. torturuje ofiary, zabija wrogów, nabawia się chorób wskutek stresu i wreszcie strzela sobie w łeb, nie przedstawia sobą pięknego widoku. Często chwali się, że jest czymś niezwykłym w świecie zwierząt. Biorąc pod uwagę te jego wyczyny, trzeba mu przyznać rację.

To prawda, że inne gatunki zwierząt również angażują się w zaciekle boje o status i że zdobycie dominacji pochłania im bardzo wiele czasu. Jednakże w zachowaniach dzikich

zwierząt w naturalnym środowisku nie da się zaobserwować takich skrajności, jakie występują u współczesnych ludzi. Jak już mówiłem, jedynie w ciasnocie klatek ogrodów zoologicznych można się spotkać z czymś, co jest bliskie zachowaniom ludzi. Jeżeli grupa zwierząt w niewoli przewyższa zwykłą dla danego gatunku liczbę i zostaje ściśnięta na zbyt małej przestrzeni, z pewnością wystąpią poważne problemy. Dojdzie do prześladowań, okaleczeń i zabójstw. Pojawią się też nerwice. Ale nawet najmniej doświadczonemu dyrektorowi ogrodu zoologicznego nie przyszłoby do głowy stłoczyć i ściśnić grupę zwierząt w takim stopniu, w jakim człowiek tłoczy się i ścieśnia we współczesnych miastach i metropoliach. Dyrektor zoo nie miałby żadnych wątpliwości co do tego, że nienormalny poziom zagęszczenia spowodowałby rozchwianie i załamanie się życia społecznego danego gatunku zwierząt. Byłby zdumiony głupotą pomysłu, żeby w ten sposób rozmieścić powierzone jego pieczy małpy, drapieżniki czy też gryzonie. A jednak rodzaj ludzki ochoczo stosuje to do siebie. Człowiek stacza swoją walkę w takich właśnie warunkach i jakoś udaje mu się przetrwać. Wedle wszelkich prawideł ludzkie zoo do dziś powinno być wrzaskliwym domem wariatów, o krok od kompletnego rozpadu i chaosu. Cynik może powiedziałby, że tak właśnie jest, ale z pewnością nie miałby racji. Tendencja do życia w coraz większym zagęszczeniu wcale się nie zmniejsza, przeciwnie, przybiera na sile. Różne niepokojące zachowania, jakie opisałem w tym rozdziale, zdumiewają nie tyle dlatego, że istnieją, ale raczej ze względu na to, że występują tak rzadko w stosunku do rozmiarów populacji. Do opisanych tu skrajnych działań ucieka się jedynie zdumiewająco mały odsetek walczących członków superplemienia. Na każdego zdesperowanego poszukiwacza statusu, rozbijacza rodziny, mordercę, samobójcę, prześladowcę czy wrzodowca przypadają setki mężczyzn i kobiet, którzy nie tylko potrafią przetrwać, ale prosperują w tych nieprawdopodobnych warunkach, jakie panują w skupiskach superplemiennych. Jest to najlepszym świadectwem ogromnej trwałości, prężności i zaradności rodzaju ludzkiego.

3. SEKS I SUPERSEKS

Gdy wkładamy do ust coś do jedzenia, nie znaczy to koniecznie, że jesteśmy złażnieni. Gdy coś pijemy, nie oznacza to także, że jesteśmy spragnieni. W ludzkim zoo czynność jedzenia i picia zaczęła spełniać wiele innych funkcji. Orzeszki można gryźć dla zabicia czasu, cukierki zaś można ssać, aby uspokoić nerwy. Można też tylko, jak kiper, poczuć aromat i wypluć napój, a można obciągnąć dziesięć dużych piw, aby wygrać zakład. W pewnych sytuacjach, aby zachować swoją pozycję towarzyską, trzeba być gotowym połknąć żabę.

W żadnej z opisanych sytuacji rzeczywistą funkcją jedzenia nie jest odżywanie się. Ta wielofunkcyjność podstawowych wzorców zachowania nie jest obca światu zwierząt, ale w ludzkim zoo uleganie popędom realizowane jest tak pomysłowo, że zjawisko to rozszerza się i intensyfikuje. Teoretycznie należałoby uznać je za korzystny czynnik bytowania w super-plemieniu. Jeśli jednak korzysta się z jego mechanizmu nie dość umiejętnie, może ono mieć pewne skutki ujemne. Objadanie się dla uspokojenia nerwów jest niezdrowe i prowadzi do otyłości, nadużywanie pewnych płynów rujnuje wątrobę lub prowadzi do nałogu, brak umiarkowania w poszukiwaniu nowych smaków może prowadzić do niestrawności. Komplikacje te pojawiają się dlatego, że nie potrafimy oddzielić jedzenia i picia w celach innych niż odżywanie od jedzenia i picia w ich pierwotnej funkcji odżywczej. Krzywimy się na staro-rzymski zwyczaj łaskotania piórkiem gardła w celu zwrócenia zbyt obfitego posiłku, to zaś, że kiper nie przełyka napoju, który testuje, jest dla nas jedynym wyjątkiem od ogólnej reguły. Jednakże przy zachowaniu odpowiedniej ostrożności możemy pozwolić sobie na sporą dozę jedzenia i picia w celach nieodżywczych bez żadnych zbyt przykrych konsekwencji.

Podobna sytuacja istnieje w sferze seksu, tyle że jest o wiele bardziej skomplikowana i dlatego zasługuje na szczególne omówienie. Tu jeszcze trudniej przychodzi nam oddzielić nierozrodcze akty seksualne od ich pierwotnej funkcji rozrodczej. Nie uchroniło to jednak ludzkiego zoo od przemienienia seksu w wielofunkcyjny superseks, mimo iż skutki bywają dla ludzkich zwierząt nader zgubne. Uleganie okolicznościom u człowieka nie zna granic, trudno się więc dziwić, że ta tak podstawowa i dająca tyle zadowolenia strefa aktywności tak się zróżnicowała. W istocie, mimo pewnych niebezpieczeństw, seks jest najbardziej funkcjonalnie rozbudowanym rodzajem -aktywności człowieka i jako taki da się podzielić na co najmniej dziesięć głównych kategorii. Dla rozjaśnienia obrazu nie od rzeczy będzie

przyjrzeć się kolejno tym różnym funkcjom zachowania seksualnego. Na wstępie warto sobie uprzytomnić, że choć funkcje te są odrębne i różne i choć czasami kolidują ze sobą, nie wszystkie jednak wykluczają się wzajemnie. Każde zaloty lub każdy akt płciowy może spełniać kilka funkcji jednocześnie.

A oto owe dziesięć kategorii funkcjonalnych:

a. Seks prokreacyjny

Jest to bezspornie podstawowa funkcja zachowania seksualnego. Niekiedy błędnie była uznawana za jedynie zgodną z naturą, a więc jedynie prawidłową. Paradoksalnie niektóre ugrupowania religijne wyznające ten pogląd nie stosują swych nauk w praktyce, gdyż mnisi, mniszki i liczni księża odmawiają sobie tych właśnie zachowań, którym przypisują tak wyjątkową naturalność.

Należy też koniecznie dodać, że gdy przeludnienie wzrasta ponad miarę, znaczenie seksu prokreacyjnego wydatnie maleje. W końcu staje się on niepożądany. Zamiast służyć jako podstawowy mechanizm przetrwania, zamienia się w potencjalny mechanizm destrukcji. Zdarza się to niekiedy wśród takich gatunków jak lemingi i nornice, które w wyjątkowo sprzyjających warunkach rozmnażają się do takich rozmiarów, że dochodzi do eksplozji zagęszczenia, populacja popada w chaos i płaci ogromną liczbą ofiar. To właśnie dzieje się obecnie z rodzajem ludzkim, toteż ludzkie zwierzę wkrótce może stanąć w obliczu konieczności wprowadzenia zezwoleń na prokreację.

Nie jest to sprawa, którą można zlekceważyć, dlatego ostatnio trwają na ten temat liczne i ożywione dyskusje. Warto przyjrzeć się obu stronom sporu, o co obecnie nie jest łatwo, gdyż na ogół jego uczestnicy spychają się na coraz bardziej skrajne pozycje.

Podstawowe pytanie brzmi: czy stać nas na manipulowanie procesem prokreacji? Lub też, jak sformułowałaby je druga strona sporu: czy stać nas na niemanipulowanie nim? Wytacza się tu zwykle argumenty natury filozoficznej, etycznej lub religijnej. Jak jednak przedstawia się sprawa, gdy spojrzeć na nią z biologicznego punktu widzenia?

Grupa ludzi sprzeciwiających się skutecznym technikom zapobiegającym prokreacji odnosi z tego dwie korzyści. Po pierwsze, będzie się ona rozmnażać szybciej niż grupy, które stosują nowoczesne środki antykoncepcyjne. Zyskując liczbowo, grupa ta spodziewa się, iż wkrótce całkowicie wyeliminuje przeciwników, których liczba stopniuje do zera. Jest to fakt, który musi przemawiać do ich przywódców wojskowych i religijnych. Po drugie, grupa taka zapewni sobie trwałość swoich podstawowych jednostek społecznych, czyli rodzin.

Para małżeńska stanowi nie tylko jedność seksualną, lecz także jedność rodzicielską, a im lepiej spełnia ona swe funkcje rodzicielskie, tym bardziej się stabilizuje..

Są to silne racje, ale równie silne są racje przeciwne. Zwolennicy skutecznej antykoncepcji mają do dyspozycji argument, że nie jest to już sprawa zdobywania przewagi jednej grupy nad drugą. Przeludnienie stało się problemem ogólnoswiatowym i tak należy je traktować. Pod tym względem jesteśmy jedną wielką kolonią lemingów i ewentualna eksplozja dotknie nas wszystkich. A właściwie już nas dotyka.

Jeśli chodzi o rodzinę, trzeba przypomnieć, że antykoncepcja nie stwarza sytuacji nienaturalnej, lecz jedynie odtwarza sytuację naturalną. Przed wprowadzeniem nowoczesnej opieki medycznej, higienicznej i innych środków ochronnych, rodzina produkowała wielką liczbę potomstwa, ale też spora jego część ginęła. Umiarkowana stosowana antykoncepcja przesuwają jedynie te straty w czasie, do momentu poprzedzającego zapłodnienie ludzkiego jaja.

Jeżeli nie będzie się stosować polityki antykoncepcji w skali światowej, nieuchronnie zacznie działać jakiś inny czynnik ograniczający populację. Jako gatunek w szybkim tempie zbliżamy się do stanu przerostu i jeżeli z własnej woli nie ograniczymy naszej płodności, ucierpią na tym już żyjące populacje. Jeśli lepiej zapobiegać niż leczyć, trzeba oczywiście wybrać antykoncepcję. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś twierdził, iż zapobieganie życiu jest gorsze aniżeli pozbawienie kogoś życia traktowane jako środek leczniczy. Istota ludzka nie jest prostym organizmem, którym można niefrasobliwie szafować. Jest to produkt najwyższej jakości, który wymaga lat wzrostu i rozwoju, i produkt ten należy chronić wszelkimi możliwymi sposobami. A jednak przeciwnicy antykoncepcji upierają się przy swoim. Jeżeli wygrają w tym sporze, ogromne masy zaproszonych przez nich na świat istot ludzkich, poczętych w wyniku niestosowania antykoncepcji, być może doczekają całkowitej zagłady ludzkości.

b. Seks kształtujący związek pary

Ze swej natury biologicznej zwierzę ludzkie należy do gatunku tworzącego pary. Stosunki uczuciowe między potencjalnymi małżonkami ożywia i wspomaga wspólne uprawianie seksu. Ta parotwórcza funkcja zachowań seksualnych ma tak wielkie znaczenie dla naszego gatunku, że regularna aktywność seksualna osiąga najwyższe natężenie właśnie w fazie dobierania się par.

Kolidując z różnymi niereprodukcyjnymi formami seksu, funkcja ta stwarza wiele trudności. Nawet jeśli partnerzy skutecznie unikają seksu prokreacyjnego i nie dochodzi do zapłodnienia, więź pary może się zacząć między nimi kształtować niezależnie od ich woli. Z tego właśnie powodu przypadkowe kontakty seksualne stwarzają tyle problemów.

Jeśli któryś z partnerów, mężczyzna lub kobieta, doznał w dzieciństwie urazu mechanizmu odpowiedzialnego za kształtowanie więzi pary i na skutek tego nie jest zdolny do "zakochania się" lub też jeżeli doszło u niej lub u niego do chwilowego świadomego stłumienia popędu do tworzenia pary, wówczas taka osoba może oddawać się przypadkowym kontaktom seksualnym bez żadnych dalszych następstw. Ale do aktu seksualnego trzeba dwóch osób, a drugi partner w takim układzie może mieć mniej szczęścia. Jeżeli on lub ona, na skutek silnego ładunku emocjonalnego, który towarzyszy życiu płciowemu, ma aktywniejszy mechanizm tworzenia par, może zacząć się tworzyć w obrębie pary więź jednostronna. Dlatego społeczeństwo obfituje w jednostki o "złamanym sercu", "zawiedzione" i "porzucone", które potem mają wielkie problemy ze znalezieniem nowego partnera do utworzenia nowego związku.

Tylko wtedy gdy mechanizm tworzenia par u obu partnerów działa jednak.. przypadkowy akt seksualny może dokonać się bez nadmiernego ryzyka. Nawet wówczas jednak istnieje niebezpieczeństwo, że jeden z partnerów reaguje seksualnie na tyle silnie, że zaczyna się u niego lub u niej odtwarzać zdolność albo odblokowywać popęd do tworzenia więzi pary.

c. Seks podtrzymujący związek pary

Gdy już szczęśliwie powstanie związek pary, aktywność seksualna służy do nieustannego podtrzymywania i umacniania tego związku. Chociaż aktywność ta może się stać bardziej wyszukana, bardziej ekstensywna, zazwyczaj jednak staje się mniej intensywna niż na etapie tworzenia pary, gdyż nie działa już wtedy funkcja samego tworzenia związku pary.

To rozróżnienie między funkcją kształtowania związku pary i funkcją podtrzymywania aktywności seksualnej pary jest wyraźnie widoczne wtedy, gdy partnerzy pozostający w długoletnim związku małżeńskim są na pewien czas rozłączeni przez wojnę, sprawy służbowe lub z jakichś innych względów. Gdy znów znajdą się razem, w ciągu kilku pierwszych nocy następuje zwykle wznowienie intensywnej aktywności seksualnej, gdyż przeżywają oni wówczas coś w rodzaju procesu ponownego kształtowania związku pary.

Istnieje tu pewna pozorna sprzeczność, którą należy wyjaśnić. W niektórych kulturach, gdzie naturalny proces biologiczny zwany "zakochaniem się" zakłócony jest przez małżeństwa z rozsądku lub przez propagandę przeciwną seksowi pozamałżeńskiemu, młodzi mogą zostać małżeństwem, jeszcze zanim zaczną się u nich tworzyć związki lub też mając ogromne zahamowania wobec czynności płciowych. W takich sytuacjach może się okazać, że ich zachowania płciowe (jeśli mają szczęście) przybierają na sile nieco później. Na pierwszy rzut oka u takich małżeństw faza podtrzymywania związku pary zdaje się bardziej intensywna niż faza jego tworzenia, co jest pozornie sprzeczne z opisaną przeze mnie korelacją. Jest to jednak tylko pozorna sprzeczność, gdyż zachodzi tu przypadek sztucznego opóźnienia rzeczywistej fazy tworzenia pary.

Stadła takie nie zawsze jednak mają tyle szczęścia. Często zdarza się, że jedność rodziny zasada się raczej na zewnętrznej presji społecznej niż na istotniejszym i dającym większą rękojmię trwałości procesie spajającym rodzinę od wewnątrz. Jeżeli partner w małżeństwie pozostaje "niezwiązany" biologicznie, istnieje poważne niebezpieczeństwo, że nieoczekiwanie stworzy silny związek pozamałżeński. Autentyczna zdolność do tworzenia pary będzie niejako uśpiona i może się w każdej chwili uaktywnić, czyniąc spustoszenie w oficjalnym, formalnym pseudozwiązku.

Młode stadło, któremu udaje się zbudować małżeństwo na fundamencie autentycznego związku, narażone jest na jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Jego źródłem nie jest propaganda antyseksualna, lecz raczej nadmiar propagandy proseksualnej, która może wytworzyć w nich przeświadczenie, że wysokie natężenie aktywności seksualnej, właściwe fazie tworzenia pary, powinno się utrzymywać także po ukształtowaniu więzi pary. Jeżeli, co oczywiste, to wysokie natężenie nie utrzymuje się, wówczas uważają oni, że w ich związku coś się psuje, podczas gdy w rzeczywistości po prostu osiągnęli naturalną fazę seksu podtrzymującego związek pary. Tak więc źródłem trudności może być zarówno przecenianie, jak i niedocenianie prokreacyjnej funkcji seksu.

Omówione dotąd trzy kategorie seksu -prokreacyjny, kształtujący związek pary i podtrzymujący związek pary -składają się na podstawowe funkcje rozrodcze zachowań seksualnych człowieka. Zanim zajmiemy się funkcjami nierozrodczymi, trzeba jeszcze sformułować pewną ważną uwagę natury ogólnej. Osoby o zakłóconym działaniu mechanizmu kształtowania związków pary są czasem skłonne twierdzić, że u ludzi nie istnieje nic takiego jak biologiczny popęd do łączenia się w pary. Określając ten popęd raczej jako "miłość romantyczną", postrzegają go jako całkowicie sztuczny wynalazek współczesności. Dowodzą oni, że zachowania seksualne człowieka, podobnie jak pokrewnych mu małp, w

zasadzie cechuje promiskuityzm. Jednakże fakty przeczą temu. Co prawda w wielu kulturach względy ekonomiczne spowodowały poważne zakłócenia wzorca charakteryzującego tworzenie się związków pary, ale nawet tam, gdzie za pomocą kar i sankcji bezlitośnie represjonowano takie związki jako niezgodne z oficjalnie uznawanymi pseudozwiązkami, zawsze jakoś się one broniły. Ten podstawowy mechanizm biologiczny działa tak silnie, że od najdawniejszych czasów młodzi kochankowie podejmowali ryzyko ze świadomością, iż działają wbrew prawu i w razie wykrycia ich związku mogą zapłacić życiem.

d. Seks fizjologiczny

Każdy dorosły człowiek, zarówno mężczyzna jak kobieta, od czasu do czasu odczuwa potrzebę zaspokojenia seksualnego. Brak tego zaspokojenia stwarza w organizmie domagające się rozładowania napięcia fizjologiczne. Takie rozładowanie daje każdy akt połączony z orgazmem. Jeżeli nawet akt płciowy nie spełnia żadnej z pozostałych dziewięciu funkcji zachowania seksualnego, to przynajmniej zaspokaja on tę podstawową potrzebę fizjologiczną. U mężczyzny nieżonatego i nie mającego innych możliwości zaspokojenia seksualnego funkcję tę może spełnić wizyta u prostytutki. Rozwiązaniem powszechniejszym, stosowanym przez osoby obu płci, jest masturbacja.

Niedawne badania amerykańskie wykazały, że aż 58 procent kobiet i 92 procent mężczyzn w jakimś okresie życia uprawia masturbację zakończoną orgazmem. W różnych epokach podejmowano purytańskie próby stłumienia tego rodzaju zachowania, używając argumentu, że nie wymagając partnera, nie prowadzi ono do zapłodnienia. Dlatego też powstało wiele dziwacznych przesądów na tym tle. Na liście nieszczęść, które rzekomo zagrażają masturbującym się osobnikom, znalazły się takie przypadłości jak: utrata sił żywotnych, bezpłodność, wycieńczenie, oziębłość, konwulsje, bladość cery, histeria, zawroty głowy, żółtaczka, zniekształcenie ciała, obłąd, bezsenność, wyczerpanie, krosty, bóle, śmierć, rak, wrzody żołądka, rak narządów rodnych, niestrawność, bóle głowy, zapalenie wyrostka robaczkowego, choroby serca, choroby nerek, zaburzenia hormonalne i ślepotą. Ta niebываła kolekcja plag byłaby śmieszna, gdyby nie to, że w ciągu wielu setek lat owe ponure prognozy były powodem niewypowiedzianych cierpień i lęków. Na szczęście te całkowicie fałszywe przesady zaczynają nareszcie zanikać, a wraz z nimi znika wiele zbędnego niepokoju.

Przy braku aktywnego ujścia seksualnego sytuację reguluje sam organizm. Żyjący w celibacie mężczyźni i kobiety mogą doświadczać spontanicznych orgazmów w czasie snu. U

osób obu płci występują sny erotyczne, którym mogą towarzyszyć pełne orgazmy z towarzyszącymi im reakcjami mięśniowymi i wydzielinami z narządów rodnych u kobiet oraz "zmazami' nocnymi" u mężczyzn.

Jak się zdaje, orgazmy spontaniczne występują nawet u osób najbardziej wstrzemięźliwych i głęboko religijnych, które opisują je przy użyciu raczej takich określeń jak uniesienie religijne, ekstaza czy trans. Na przykład święta Teresa w następujący sposób opisała wizję nawiedzającego ją anioła:

W rękach jego ujrzałam długą, złotą włócznię, a na jej stalowym końcu coś jakby ognisty szpic. Czułam, jak kilka razy przeszył nią me serce aż do głębi wnętrza. Czułam, jak wyrывa mi je wraz z włócznią, pozostawiając mnie całkowicie przepelnioną wielką miłością Boga. Ból był tak dojmujący, że byłam zmuszona kilkakrotnie wydać z siebie głośny jęk. A tak niezmierna była słodycz, jaką przejmujący ten ból sprawił, że pragnę, by trwał on wiecznie.

Niestety stanowczo zbyt mało wiemy o spontanicznych rozładowaniach seksualnych osób żyjących w bezwzględnej celibacie, aby móc formułować jakieś kategoryczne wnioski odnośnie do zakresu i częstotliwości występowania takich orgazmów. Wiemy jednak, że u osób bardzo aktywnych seksualnie, które zamknięto w więzieniu, występuje znaczne nasilenie snów prowadzących do orgazmu. Jak wykazały badania z udziałem 208 więźniarek, miało to miejsce aż u 60 procent badanych.

Falszywy byłby jednak wniosek, że sny prowadzące do orgazmu służą *jedynie* jako sposób rozładowania napięć seksualnych w braku innych, bardziej aktywnych środków. Chodzi tu o coś więcej, podobnie zresztą jak w prostytucji i masturbacji, które także spełniają inne funkcje seksualne. Na przykład u niektórych osób częstotliwość snów prowadzących do orgazmu wzrasta w okresach wyjątkowo nasilonej aktywności seksualnej na zasadzie wzmożonego pobudzenia, którego istotę oddaje wyrażenie: "Im więcej masz, tym więcej chcesz". Nie podważa to jednak pewności, że orgazm spontaniczny może pojawiać się i pojawia jako reakcja na niezaspokojenie seksualne. Znaczy to jedynie tyle, że mamy do czynienia ze zjawiskiem bardziej złożonym. Tu zajmujemy się jednak tylko zwyczajnym "uwolnieniem się od napięcia fizjologicznego" jako funkcją zachowania seksualnego, którą należy oczywiście uwzględnić wśród dziesięciu podstawowych kategorii funkcjonalnych zachowania seksualnego ludzi.

Ponieważ seks fizjologiczny można też zaobserwować u innych gatunków zwierząt, warto przyjrzeć się kilku takim przykładom. Zgodnie z oczekiwaniami łatwiej je znaleźć u zwierząt żyjących w ogrodzie zoologicznym aniżeli u zwierząt na wolności. Zauważono, że

wiele zwierząt żyjących w zoo uprawia masturbację, gdy znajdują się w odosobnieniu. Najczęściej obserwuje się to u żyjących w niewoli małp. Osobniki męskie najczęściej drażnią penis łapą lub stopą, niekiedy pyskiem, a czasami także chwytym końcem ogona. Słonie drażnią penis trąbą, a słonice trzymane w stadach pozbawionych osobników męskich wzajemnie drażnią swe genitalia, także używając trąb. Zaobserwowano nawet, jak lew trzymany w klatce w zoo rzuca się tyłem na ścianę i masturbuje się łapami. Widziano też, jak jeżozwierz chodzą na trzech łapach, trzymając jedną z przednich łap na genitaliach. U pewnego delfina wytworzył się zwyczaj podstawiania wzwiedzonego członka pod silny strumień wody wpływającej do basenu. Wydaje się też, że u różnych zwierząt, nie wyłączając kotów domowych, występują sny o charakterze seksualnym, gdyż zaobserwowano, że podczas snu doznają one wzwodu członka i pełnej ejakulacji.

e. Seks poszukiwawczy

Jedną z najważniejszych cech człowieka jest wynalazczość. Według wszelkiego prawdopodobieństwa już nasi małpi praprzodkowie wykazywali dość wysoki poziom dociekliwości, jest to bowiem cecha charakterystyczna dla całego rzędu naczelnych. Kiedy jednak nasi wczesni przodkowie zaczęli uprawiać myślistwo, niewątpliwie postawiło ich to przed koniecznością rozwinięcia i udoskonalenia tej cechy jak też i podstawowego popędu do szczegółowej eksploracji środowiska. Z pewnością wynalazczość stała się celem samym w sobie, skłaniając człowieka do poszukiwania nowych terenów łowieckich, do ciągłych badań, do zadawania wciąż nowych pytań i do niezadowolania się uzyskanymi odpowiedziami. Popęd ten stał się tak silny, że wkrótce objął wszystkie inne dziedziny. Z nadejściem warunków superplemiennych, nawet tak proste czynności jak przemieszczanie się stały się przedmiotem poszukiwania nowych rozwiązań. Nie zadowalając się chodzeniem i bieganiem, człowiek zaczął skakać, podskakiwać, przeskakiwać, maszerować, tańczyć, stawać na rękach, robić salta, nurkować i pływać. Częściową nagrodą była czysta satysfakcja płynąca z samego eksperymentowania, z odkrycia czegoś nowego. (Druga część to przyjemność wynikająca ze stałego wykorzystywania nowo odkrytych możliwości, ale to inny temat).

W dziedzinie seksu wynalazcza inklinacja człowieka stała się źródłem wielkiego urozmaicenia zachowań seksualnych. Partnerzy seksualni zaczęli eksperymentować z nowymi sposobami wzajemnego pobudzania się. W starożytnych źródłach można znaleźć szczegółowy opis ogromnie zróżnicowanych i nowatorskich ruchów, sposobów dotykania,

dźwięków, kontaktów cielesnych, zapachów i pozycji kopulacyjnych, które stanowiły przedmiot erotycznych eksperymentów.

Człowiek nieustannie i nieuchronnie dążył do wzbogacania doznań zmysłowych w tej sferze, podobnie zresztą jak w innych, na przykład związanych z jedzeniem, mimo iż w różnych kulturach wielokrotnie próbowano stłumić te dążenia. Oficjalnie jako powód podawano często wzgląd, o którym już tu mówiliśmy, a mianowicie, że takie zachowania seksualne wykraczają poza ramy wyznaczone przez konieczność prokreacji. Pomijano rolę, jaką seksualna eksploracja odgrywa w cementowaniu więzi pary i wynikającym z tego umocnieniu jedności rodziny. Były to działania wysoce szkodliwe. Jak już wspomniałem, intensywność stosunków seksualnych charakterystyczna dla fazy tworzenia się pary maleje nieco po ustaniu tej fazy. Gdy rodzina jest w pełni udana i nie podlega niekorzystnemu działaniu sił zewnętrznych, teoretycznie wszystko powinno przebiegać prawidłowo. Jest to system samo dostosowujący się, gdyby bowiem młodzi przedłużali w nieskończoność wyczerpującą fazę intensywnych stosunków płciowych towarzyszących tworzeniu się pary, obniżyłoby to ich sprawność działania w innych dziedzinach. Jednakże stresy i napięcia życia w warunkach superplemiennych niekorzystnie oddziałują na rodzinę. Ciśnienie zewnętrzne wciąż istnieje. Zastąpienie intensywności towarzyszącej tworzeniu się pary eksploracyjną ekstensywnością późniejszej aktywności płciowej jest idealnym rozwiązaniem i dlatego, mimo ciągłych prób jej stłumienia, eksploracja seksualna ciągle istniała i istnieje także w naszych czasach.

Ma ona jednak pewien rys ujemny. Podniecenie towarzyszące poszukiwaniu nowych form stymulacji seksualnej dobrze służy rodzinie, jeśli znajduje ono praktyczny wyraz w obrębie pary małżeńskiej. Może też jednak przybrać inną formę. Pęd do nowości można zaspokoić nie tylko próbując nowych wzorców ze znajomym partnerem, ale też próbując nowego partnera przy zastosowaniu znajomych wzorców, a jeszcze skuteczniej - stosując nowe wzorce z nowym partnerem.

Dlatego też seks poszukiwawczy staje się mieczem obosiecznym. Ponieważ kultury superplemienne coraz bardziej akcentują korzyści płynące z zachowań eksploratorskich, na których opiera się cały nasz system edukacji, wraz z wywodzącą się z niego wspaniałą sztuką, nauką i techniką, wzmagają się nasze popędy eksploratorskie we wszystkich dziedzinach. W dziedzinie seksu prowadzi to często do poważnych komplikacji. Sama myśl, że zamężna kobieta może uczęszczać na zajęcia praktyczne z technik kopulacyjnych albo że żonaty mężczyzna może uprawiać ćwiczenia w seksualnej sali gimnastycznej, głęboko obraża uczucia stałych i długoletnich partnerów seksualnych, gdyż jest niezgodna z wyłącznością,

jaka ma być nieodzownym składnikiem więzi pary. Dlatego też eksperymenty seksualne bez udziału małżonka muszą odbywać się prywatnie i w tajemnicy, w związku z czym pojawia się nowe niebezpieczeństwo, jakim jest zdrada małżeńska. Rodzina, pradawne i fundamentalne społeczne jądro rodzaju ludzkiego, jest z tego powodu narażona na szwank, a mimo to, dziwną koleją rzeczy, udaje się jej przetrwać.

Problemy te nie zaistniałyby, gdyby ludzie byli innym rodzajem zwierząt i gdyby, tak jak żółwie, składali w piasku jaja, z których samodzielnie wylęgałyby się młode. Jednakże dla nas, mających poważne obowiązki rodzicielskie, seksualne eksperymenty pozamałżeńskie niosą z sobą dwojakie niebezpieczeństwo. Nie tylko wyzwalają one silną zazdrość na tle seksualnym, ale też sprzyjają przypadkowemu tworzeniu się nowych związków, z wielką i długotrwałą szkodą dla istniejącego już potomstwa i związków rodzinnych. Próbowano czasami tworzyć jakieś skomplikowane układy seksualne i różne komuny, ale w pełni udawało to się rzadko i chyba tylko nielicznym, zupełnie wyjątkowym ludziom, obdarzonym niezwykłą osobowością. Bezkonfliktowy charakter takich związków jest możliwy jedynie przy jak najściślejszej dyscyplinie intelektualnej wszystkich uczestników eksperymentu.

Nawet dość rozpowszechniona instytucja haremu nie sprawdza się najlepiej, jeśli rozpatrywać ją na szerszym tle, jakim jest superplemię. Niektórzy badacze formułowali też oskarżenie, że system haremowy ma istotny wpływ na upadek życia społecznego w kulturach, w których występuje.

Rola seksu poszukiwawczego, podobnie jak pozostałych dziewięciu kategorii zachowań seksualnych, jest tak istotna, że można ją zaobserwować także u innych gatunków zwierząt. Wymaga on wysokiego stopnia wynalazczości, nic więc dziwnego, że ogranicza się w zasadzie do wyższych naczelnych. W szczególności, żyjące w niewoli małpy człekokształtne demonstrują szeroki zakres eksperymentów seksualnych, w tym wiele pozycji kopulacyjnych nie spotykanych u takich samych małp żyjących na wolności.

f. Czysty seks, czyli seks dla przyjemności

Przegląd funkcji, jakie spełnia seks, nie byłby pełny, gdyby nie uwzględnić kategorii związanej z poglądem, że istnieje "seks dla samego seksu". Jest to zachowanie seksualne, które -niezależnie od wszystkich innych ról -stanowi nagrodę samo dla siebie (funkcja bliska ostatniej z omawianych, jednak od niej odrębna).

Relacja między seksem poszukiwawczym a czystym seksem przypomina relację między badaniem możliwości, jakie daje nowa gra, a graniem w nią, lub też między zabawą

dzieci, która przebiega w sposób chaotyczny, a zabawą o ustalonej strukturze. Gdy dzieci wybiegają na nowy teren zabaw, zaczynają zwykle od bezładnej bieżaniny, badając nowe otoczenie. Po pewnym czasie to niemal przypadkowe zachowanie zaczyna układać się w jakiś określony wzorzec. Pojawia się jakaś struktura zabawy i powstaje nowa "gra". W zależności od otoczenia mogą to być gry polegające na wspinaniu się, chowaniu się czy też polowaniu, i gdy jakaś gra już się ukształtuje, dzieci chętnie powtarzają ją potem bez żadnych dodatkowych urozmaiceń. Jeśli taka właśnie gra przynosi zadowolenie jej uczestnikom, wciąż do niej wracają, nawet wtedy, gdy przestała już być nowością. Początkowe, bezładne zachowanie się było pasjonujące, bo było zabawą poszukiwawczą. Późniejszy, powtarzający się wzór zachowania dostarcza emocji jako określona gra przynosząca przyjemność.

Analogia między dwiema ostatnimi kategoriami seksu jest dość oczywista. Małżonkowie doświadczają wielu satysfakcjonujących aktów płciowych, które w zamierzeniu nie mają na celu prokreacji, znacznie przekraczają potrzeby wynikające z podtrzymywania więzi pary i nie są też eksperymentowaniem z nowymi formami seksu. Są one właśnie przykładem omawianej kategorii funkcjonalnej. Jest to seks dla samego seksu, dla przyjemności, albo, jak kto woli, czysty erotyzm. Jest on dla obojga partnerów tym, czym sztuka kulinarna dla konsumenta posiłku czy też estetyka dla artysty. Opiewanie rozkoszy podniebienia czy wzniosłych doznań estetycznych i równoczesne spychanie w cień pięknych przeżyć erotycznych jest dowodem niekonsekwencji. A jednak często się to zdarza. Prawdą jest, że nadmiar bywa szkodliwy, ale szkodliwy jest też nadmiar w dziedzinie gastronomii i estetyki. Skrajna wyczynowość seksualna może być tak wyczerpująca, że nie starcza już energii na nic innego i zakłócona zostaje równowaga życiowa, ale podobnie zbytne uleganie łakomstwu może doprowadzić do otyłości i utraty zdrowia, a obsesja estetyczna może spowodować zaniedbanie innych aspektów życia w społeczeństwie. Wszędzie tu działają te same zasady.

Oddawanie się działaniu dla samego działania wymaga po siadania jakiejś ilości wolnego czasu i energii. To z kolei wymaga zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych. U ludzi wynika to z życia w społeczności miejskiej. U zwierząt z życia w zoo, gdzie człowiek zapewnia im pożywienie i eliminuje nieprzyjaciół. Nic więc dziwnego, że właśnie tam spotyka się najwięcej objawów zwierzęcej hiperseksualności.

g. Seks dla zabicia czasu

Jest to seks funkcjonujący na zasadzie terapii zajęciowej lub, jak kto woli, jako środek na nudę. Jest on ściśle związany z poprzednią kategorią, daje się jednak od niej odróżnić. Posiadanie wolnego czasu to nie to samo co nuda. Czysty seks może być jednym z wielu sposobów konstruktywnego spędzania wolnego czasu, bez najmniejszego przejawu zjawiska nudy. Jego funkcją jest pozytywnie nacechowane poszukiwanie zadowolenia zmysłowego. Natomiast seks dla zabicia czasu funkcjonuje jako środek terapeutyczny przeciwko negatywnie nacechowanemu stanowi spowodowanemu przebywaniem w jałowym i monotonnym środowisku. W swej łagodnej postaci znudzenie powoduje apatię i poczucie braku celu lub motywacji. Silne znudzenie, które powstaje w ponurym i wypełnionym pustką środowisku, ma zupełnie inny efekt. Wywołuje niepokój, podniecenie, rozdrażnienie, a wreszcie złość.

Przeprowadzono badania z udziałem studentów, których umieszczono w pojedynczych, pustych kabinach, zakładając im na oczy matowe gogle, a na ręce ciężkie rękawice, uniemożliwiające jakiegokolwiek precyzyjne ruchy. Doświadczenia te dały zaskakujące wyniki. Z upływem godzin uczestnicy eksperymentu stopniowo tracili zdolność do odprężenia się. Robili wszystko, aby znaleźć sobie jakiegokolwiek, choćby najprostsze zajęcie, które mogliby wykonywać w tak ograniczonych warunkach. Zaczynali więc gwizdać, mówić do siebie, wystukiwać jakieś rytmy i wykonywać różne inne najbardziej absurdalne czynności, aby tylko przerwać monotonię. Po kilku dniach zaczęli odczuwać objawy silnego stresu i uznali, że nie mogą kontynuować eksperymentu.

Tak więc beczynne leżenie nie wynika z nudy, lecz wręcz odwrotnie. Osiąga się stan, w którym zadowala jakąkolwiek czynność, jeśli tylko związane z nią zachowanie przyniesie jakiś skutek. Stan taki jest na tyle groźny, że nie pozwala cieszyć się doznaniem zmysłowymi, płynącymi z działania dla samego działania. Chodzi tu raczej o pozbycie się cierpienia wynikającego z całkowitej beczynności. Niedostatek aktywności uszkadza system nerwowy i dlatego mózg robi wszystko, aby się przed tym uchronić.

Nudy doświadczamy zazwyczaj w pustce -nie w znaczeniu pustego otoczenia, sztucznie stworzonego dla celów opisanego wyżej doświadczenia. W tych warunkach własne ciało stanowi najłatwiej dostępny obiekt, który może być wykorzystany do przerywania monotonii. Mamy je zawsze pod ręką, nawet wtedy, gdy nie ma nic innego. Można więc obgryzać paznokcie, dłubać w nosie, drapać się po głowie lub drażnić ciało celem wywołania reakcji seksualnej. Ponieważ celem jest w tej sytuacji maksymalne pobudzenie, aktywność seksualna często staje się wówczas brutalna i bolesna, a nierzadko prowadzi do uszkodzeń lub okaleczeń genitaliów. Wynikający stąd ból staje się kuriozalnym elementem terapii, nie zaś

ubocznym jej efektem. Typowym przejawem tego zachowania jest niepoohamowana i długotrwała masturbacja, która polegać może na wprowadzaniu do otworów genitalnych ostrych przedmiotów i kaleczeniu się.

Skrajne formy seksu dla zabicia czasu obserwuje się u więźniów, którzy zostali wyrwani ze swoich normalnych, stymulujących ich środowisk. Nie jest to seks fizjologiczny, który zaspokaja określone potrzeby fizjologiczne za pomocą dużo mniejszych dawek.

Zjawisko to obserwuje się także u patologicznych introwertyków. Tu może ono występować w warunkach, które poziomie zapewniają wystarczającą stymulację. Po bliższym zbadaniu okazuje się jednak, że chociaż ludzie tacy zdają się żyć wśród wielkiej liczby podnieć, od podnieć tych odgradza ich nienormalna osobowość, która wywołuje psychologiczny głód wśród dostatku. Jeżeli z jakichś powodów ludzie tacy stali się jednostkami z gruntu antyspołecznymi i wyizolowanymi psychicznie, stracili umiejętność nawiązywania kontaktów z otaczającym ich normalnym światem -mogą cierpieć na skutek braku stymulacji równie dotkliwie jak fizycznie odizolowani w celach więźniowie. Dla osób skrajnie wyizolowanych, czy to psychicznie czy fizycznie, bolesne ekscesy seksu dla zabicia czasu stają się mniejszym złem niż całkowita zabójcza beczyność.

Podobnie reagują zwierzęta trzymane w sterylnych klatkach ogrodu zoologicznego. Gdy odizoluje się je od partnerów, mogą uprawiać seks fizjologiczny. Uwolnione od napięć związanych z szukaniem pożywienia i unikaniem wrogów, mając wiele wolnego czasu, mogą też zażywać przyjemności czystego seksu. Doprowadzone jednak do stanu skrajnej nudy, mogą także uciekać się do najbardziej drastycznych form seksu dla zabicia czasu. Wśród małp niektóre samce obsesyjnie uprawiają masturbację. Zdarza się, że samce kopytne trzymane z samicami, nie mając żadnych innych zajęć, zadreczają je dosłownie na śmierć, goniąc je i nekając ponad wszelką miarę. Wiadomo, że małpy człekokształtne mogą zachowywać się tak samo. Gdy pewnemu orangutanowi żyjącemu w pustej klatce dano dla towarzystwa samicę, parzył się z nią i obejmował ją tak uporczywie, że utraciła ona chwilowo władzę w przednich kończynach i musiano ją usunąć z klatki. Małpy wychowane z dala od swych pobratymców, gdy już jako dorosłe -zostaną przeniesione do grupy przedstawicieli własnego gatunku, nie potrafią przystosować się do życia społecznego. Podobnie jak człowiek cierpiący na zaburzenia psychiczne, który "żyje we własnym świecie", mogą one siedzieć wciśnięte w kąt i dalej samotnie oddawać się seksowi w odległości zaledwie metra lub dwóch od ochoczej partnerki. Jest to bardzo częste u żyjących w zoo szympansów, które nader często wychowywane są samotnie jako zwierzątka domowe, a następnie, gdy dorosną, dołączane do innych dorosłych osobników. Pewna para małp, które w dzieciństwie żyły w nienormalnych

warunkach, umieszczona w klatce jako "małżeństwo" i pozbawiona innego towarzystwa, systematycznie wykazywała wielką aktywność seksualną, która jednak nigdy nie była skierowana na partnera. Mimo że zwierzęta były zamknięte w tym samym pomieszczeniu, pozostawały psychicznie rozdzielone od siebie. Siedząc osobno, systematycznie oddawały się różnym formom masturbacji. Samica posługiwała się gałązkami i odgryzionymi od ściany kawałkami drewna, które wprowadzała sobie do pochwy, podczas gdy samiec onanizował się w drugim rogu klatki.

h. Seks jako środek uspokajający

System nerwowy nie znosi całkowitej beczynności, ale też buntuje się przeciwko napięciom nadmiernej aktywności. Seks jako środek uspokajający jest odwrotnością seksu dla zabicia czasu. Jest on więc środkiem przeciw nadszereźności, nie zaś środkiem przeciw nudzie. W obliczu nadmiaru niezwykley, sprzecznych, nieznanych lub przerażających bodźców człowiek szuka ratunku w wykonywaniu dobrze znanych czynności, co pomaga uspokoić stargane nerwy. Przy ogromnym natłoku spraw, jakie niesie życie, zestresowany może znaleźć ukojenie w czynnościach, które same z siebie przynoszą mu zadowolenie. Stres jako skutek nadmiernej aktywności nie pozwala mu doprowadzić niczego do końca. Miotany we wszystkie strony -nie potrafi rozwiązać żadnego problemu z powodu przeszkód i powikłań, które nieustannie pojawiają mu się na drodze. Coraz większa frustracja doprowadza go do tego, że jakakolwiek dobrze znana czynność, choćby nie miała żadnego związku z jego głównymi zajęciami, może mu przynieść tak upragnioną ulgę, jeśli tylko da się ją wykonać bez zakłóceń.

Najprostsze czynności, takie jak zapalenie papierosa, żucie gumy czy wypicie drinka, pozwalają uśmierzyć niepokój. Tak samo działa seks jako środek uspokajający. Żołnierz przed bitwą lub biznesmen borykający się z kryzysem firmy mogą znaleźć chwilowy spokój w ramionach czulej kobiety. Osobiste zaangażowanie emocjonalne może być wówczas minimalne, a sam akt najzupełniej stereotypowy. W pewnym sensie im większy automatyzm, tym lepiej, gdyż umysł jest tak pochłonięty innymi problemami, że łaknie jedynie prostoty.

Jest to podobne do formy aktywności zwierzęcej znanej pod nazwą przemieszczenia czynności. Gdy spotykają się dwa rywalizujące ze sobą zwierzęta i popadają we wzajemny konflikt, każde z nich pragnie zaatakować przeciwnika, ale się boi. Ich zachowanie ulega wówczas zablokowaniu, a z powodu udaremnienia zamiarów oraz wynikającej z tego frustracji zajmują się one czymś innym, wykonują proste, nieważne czynności, jak

czyszczenie się, skubanie jedzenia czy grzebanie w materiale do budowy gniazda. Takie przemieszczenie czynności nie rozwiązuje, rzecz jasna, pierwotnego konfliktu, ale dostarcza chwilowego wytchnienia od stanu napięcia. Jeżeli w pobliżu przypadkiem znajdzie się samica, może dojść do krótkiej kopulacji, tak jak u ludzi -o nieskomplikowanym i stereotypowym przebiegu.

i. Seks sprzedajny

O prostytutce wspomnieliśmy już, ale tylko z punktu widzenia klienta. Dla samej prostytutki akt płciowy spełnia inną funkcję. Jakkolwiek w grę mogą wchodzić dodatkowe czynniki, jest to przede wszystkim po prostu głównie transakcja handlowa. Pewien rodzaj seksu sprzedajnego istnieje i pełni ważną rolę w wielu małżeństwach, a mianowicie tam, gdzie istnieje więź jednostronna i gdzie jeden z partnerów świadczy drugiej stronie usługi seksualne w zamian za środki materialne i dach nad głową. Strona, która płaci za te usługi i u której istnieje autentyczna więź, musi w zamian zadowolić się jej imitacją. Kobieta (czy mężczyzna), wchodząc w związek małżeński za pieniądze, uprawia, rzecz jasna, prostytutkę. Jedyna różnica polega na tym, że on lub ona otrzymuje wynagrodzenie nie bezpośrednio, podczas gdy zwykła prostytutka działa na zasadzie "bierz i płac". Jednak bez względu na to, czy układ działa jak kontrakt długo- czy krótkoterminowy, występujące w tym systemie zachowanie seksualne spełnia zasadniczo tę samą rolę.

Łagodniejszą postać seksu dla korzyści materialnych praktykują striptizerki, fordanserki, królowe piękności, panienki z klubów towarzyskich, tancerki, modelki i wiele aktorek. Za odpowiednim wynagrodzeniem demonstrują one wcześniejsze etapy gry miłosnej, nie doprowadzając jej jednak do fazy aktu płciowego (przynajmniej nie oficjalnie). Aby zrekompensować tę niekompletność aktu, często wyolbrzymiają one i wzbogacają fazy wstępne. Pozycje i ruchy, a także nasycona seksualizmem prezencja i sylwetka nacechowane są ogromną przesadą, która ma zrównoważyć braki wynikające z poważnie ograniczonego zakresu świadczonych usług.

Seks sprzedajny raczej rzadko występuje u innych gatunków, nawet w zoo, pewną formę "prostitucji" zaobserwowano jednak u niektórych naczelnych. Zanotowano przypadki, gdy żyjące w niewoli samice małp prowokowały seksualnie samców, traktując to jako sposób na zdobycie kawałków jedzenia porzucanych na ziemi. Czynności płciowe odciągały samców od współzawodnictwa o jedzenie.

j. Seks jako znamię statusu

Mówiąc o tej ostatniej już kategorii funkcjonalnej zachowania seksualnego, wkraczamy w dziwny świat, pełen nieoczekiwanych wydarzeń i wątków. Seks jako znamię statusu przenika nasze życie na wiele ukrytych i słabo rozpoznanych jeszcze sposobów. Ze względu na złożoność zjawiska nie uwzględniłem go w rozdziale, poświęconym problemom statusu, by móc dokładniej omówić je teraz. Aby ułatwić sobie zadanie, spróbujemy, zanim przyjrzymy się tej funkcji seksu u człowieka, zbadać różne formy, jakie przybiera ona u innych gatunków.

Seks jako znamię statusu nie jest związany z reprodukcją, lecz z dominacją, i aby zrozumieć, w jaki sposób tworzy się ten związek, musimy uwzględnić różnice między rolami męskimi i żeńskimi w zakresie seksu. Mimo że pełna realizacja seksualizmu wymaga aktywnego uczestnictwa obu płci, należy zgodnie ze stanem rzeczywistym stwierdzić, że u ssaków rola żeńska jest zasadniczo "submisywna", czyli jest postawą podległości, natomiast rola męska jest zasadniczo agresywna, czyli napastnicza. (Nie przypadkiem gdy mężczyzna dotyka kobietę w niedwuznacznym celu, w żargonie prawniczym działanie takie nosi miano "napastowania" seksualnego). Nie wynika to tylko z faktu, że mężczyzna jest fizycznie silniejszy od kobiety, lecz jest integralnym czynnikiem samej istoty kopulacji. U ssaków to właśnie samiec musi wejść na samicę. To właśnie on musi dokonać penetracji i wdrzeć się w jej ciało. Nazbyt podległa partnerka i nazbyt agresywny partner jedynie wyolbrzymiają swoje przyrodzone role, ale agresywna partnerka i podległy partner całkowicie te role odwracają.

U małych seksualne czynności samicy polegają na tym, że "prezentuje się" ona samcowi, zwracając się ku niemu uniesionymi do góry pośladkami i pochylając jednocześnie przednią część ciała. Seksualne czynności samca polegają na wejściu na samicę od tyłu, wprowadzeniu członka do jej pochwy i wykonywaniu ruchów biodrami. Ponieważ podczas stosunku samica się poddaje, samiec zaś się narzuca, czynności te zostały "zapożyczone" i wykorzystywane w innych sytuacjach, które nie mają charakteru seksualnego, ale które wymagają bardziej ogólnych oznak uległości i agresji. Jeśli "prezentowanie się", stosowane przez samicę w sytuacjach seksualnych, oznacza uległość, może ono być stosowane w tym samym znaczeniu w sytuacjach konfliktowych. Samica małpy prezentuje na przykład swoje pośladki samcowi po prostu na znak nieagresji. Jest to gest pokoju i funkcjonuje jako *wskaźnik jej statusu podległości*. W odpowiedzi samiec może na nią wejść i wykonać kilka pośpiesznych ruchów biodrami *jedynie w celu zademonstrowania swojego dominującego statusu*.

Stosowany w ten sposób seks jako znamię statusu jest ważnym mechanizmem w życiu społecznym małp. Jako rytuał podległości i dominacji pozwala uniknąć przelewu krwi. Zamierzając wszcząć bójkę, samiec agresywnie zbliża się do samicy. Tymczasem ona, zamiast podnieść wrzask lub próbować ucieczki, co tylko wzmogłoby jego agresję, "prezentuje mu" się jako partnerka seksualna, a wtedy samiec odpowiednio reaguje, i rozstają się potwierdziwszy w ten sposób właściwą sobie pozycję w układzie dominacji.

Jest to tylko początek. Seks jako znamię statusu ma tak wielką wartość, że rozszerzył się na wszelkie formy wewnątrz-grupowych kontaktów nacechowanych agresją. Gdy silny samiec zagraża słabemu, wówczas ten może zastosować obronę polegającą na tym, że na znak uległości zachowuje się jak pseudosamica.. Sygnalizuje swoje poddaństwo, przybierając pozycję seksualną samicy i oferując zad dominującemu samcowi, który może wejść na owego słabszego samca, podobnie jak by to zrobił, mając do czynienia z uległą samicą.

Taką samą interakcję można zaobserwować między dwiema samicami. Podległa samica, której zagraża samica stojąca wyżej, "prezentuje się" jej i zostaje przez nią "pokryta". Nawet młodociane małpy, mimo swej niedojrzałości seksualnej, stosują ten sam rytuał. Pokazuje to, do jakiego stopnia seks jako znamię statusu oddalił się od swojej pierwotnej funkcji seksualnej. Czynności wciąż jeszcze są czynnościami seksualnymi, ale nie są już umotywowane seksualnie. Przejęte zostały przez sferę dominacji.

Fakt, że czynności seksualne tak często i tak regularnie występują w nieseksualnym kontekście, wyjaśnia pozornie orgiastyczne zachowania w niektórych koloniach małp. Ludzie zwiedzający ogrody zoologiczne często nabierają przekonania, że małpy są wciąż nienasyconymi wyczynowcami seksualnymi, reagującymi na każde poruszenie zadem gotowością do parzenia się -zarówno z samcem jak z samicą, z osobnikiem dorosłym lub niedojrzałym. W jakimś sensie jest to oczywiście prawda i jest to spostrzeżenie dość trafne. Fałszywa jest natomiast jego interpretacja. Obraz seksu jako znamienia statusu nabiera właściwych proporcji, gdy zrozumie się, na czym polega jego nieseksualna motywacja.

Pomocny może tu być przykład zaczerpnięty z życia domowego. Prawie każdy spotkał się z przyjaznym, pełnym uległości powitaniem kota domowego, który ociera się o ludzką nogę ze sztywno sterczącym ogonem i wysoko uniesioną tylną częścią ciała. Robią to zarówno kocury jak kotki i jeżeli i w odpowiedzi pogłaszczemy je po grzbiecie, czujemy, i jak przyciskają one owe uniesione tylne części ciała do i naszej ręki. Większość ludzi traktuje to po prostu jako koci gest powitania i nie zastanawia się nad jego pochodzeniem czy znaczeniem. W rzeczywistości jest to jeszcze jeden przejaw seksu jako znamienia statusu. Zachowanie to wywodzi się z prezentacji seksualnej, która przeniosła się z kotek także na

kocury, a swoje źródła ma w przedkopulacyjnym ukazaniu sromu. Ale podobnie jak u małp zachowanie to uniezależniło się obecnie od swych funkcji czysto seksualnych i stosowane jest przez obie płcie w celu zasygnalizowania przyjaźni i uległości. Z powodu swoich rozmiarów i siły człowiek, jako właściciel kota, jest zawsze i niewątpliwie stroną dominującą w stosunku do zwierzęcia. Gdy po chwilowej nieobecności następuje wznowienie kontaktu, kot odczuwa potrzebę potwierdzenia swojej podległości, co staje się powodem ceremonii powitalnej z zastosowaniem seksu jako znamienia statusu uległości.

Koci wzorzec zachowania się jest dość prosty, ale wracając do małp, należy zauważyć istnienie pewnych cech anatomicznych, dzięki którym zakres seksu jako znamienia statusu rozszerza się. Nim zajmiemy się tymi problemami u ludzi, powinniśmy się im przyjrzeć. Samice niektórych gatunków małp mają na siedzeniu jaskrawe, czerwone plamy obrzmiałej, nieowłosionej skóry, tzw. modzele siedzeniowe. Podczas seksualnej czynności prezentowania pośladków ukazują je ostentacyjnie samcowi. Rzecz jasna, wystawiają je także na pokaz, gdy samica chce zasygnalizować swój niższy „podległy” status. Ostatnio stwierdzono, że u niektórych gatunków na siedzeniach samców wytwarzają się podobne modzele, wzbogacając ich repertuar środków służących do stosowania seksu jako znamienia statusu podległości. U samic owe czerwone plamy spełniają dwojaką funkcję, podczas gdy u samców służą one tylko posługiwaniu się seksem jako znamieniem statusu.

Przechodząc od używania seksu jako znamienia statusu podległości do używania go jako znamienia statusu dominacji, można zauważyć analogiczne zjawiska. Główną czynnością seksualną samca jest wzwód członka. Ona także uległa wzbogaceniu za sprawą rzucających się w oczy kolorów. U wielu gatunków samców penisy mają kolor jaskrawoczerwony, a w okolicy moszny często otacza je fałda skóry w żywym kolorze niebieskim. Dlatego męskie genitalia są bardzo dobrze widoczne. Częsty jest widok samca, który siedzi z rozkraczonymi nogami, by w maksymalnym stopniu ukazać te jaskrawe kolory. W ten sposób sygnalizuje on swój wysoki status, nie ruszając się nawet z miejsca. U niektórych gatunków samce popisujące się w ten sposób siedzą na skraju stada i gdy zbliża się jakieś inne stado, czerwony członek ulega wzwodowi i wielokrotnie podnosi się, bijąc właściciela po brzuchu. W starożytnym Egipcie pawian, uważany za uosobienie męskiej seksualności, był czczony jako zwierzę święte. Nie tylko tworzone jego rzeźby i obrazy ukazujące go w pozycji właściwej dla seksu jako znamienia statusu, lecz także balsamowano go i grzebano w tej właśnie pozycji, przy czym na balsamowanie poświęcano siedemdziesiąt dni, a ceremonie pogrzebowe trwały dwa dni. Jest rzeczą oczywistą, że popisywanie się przez ten gatunek seksem dla zasygnalizowania własnego statusu dominującego wywierało wielkie

wrażenie nie tylko na innych pawianach, lecz także na starożytnych Egipcjanach. Jak się za chwilę przekonamy, nie było to dziełem przypadku.

Podobnie jak u niektórych gatunków samce naśladują sygnał uległości samic, wytwarzając własne modzele siedzeniowe, tak też samice imitują niekiedy popisy dominacji samców. U niektórych samic małp południowoamerykańskich łechtaczki wydłużyły się tak, że stały się niemal pseudo członkami. Czasami są one z wyglądu tak podobno do prawdziwych członków męskich, że rozróżnienie płci może nastęrczyć trudności. Na tym tle na terenach zamieszkałych przez te gatunki powstało wiele legend. Ponieważ wszystkie zwierzęta mają wygląd samców, miejscowa ludność żywi przekonanie, że są one wyłącznie homoseksualne. (Ciekawe, że u samicy hieny także rozwinął się podobny pseudo członek, ale mit, który powstał w Afryce, głosi, że gatunek ten jest hermafrodytyczny i każdy osobnik uprawia seks występując zarówno w roli męskiej jak żeńskiej).

U samic kilku gatunków małp utworzył się nie tylko pseudo członek, ale i pseudo moszna. Jak dotąd mamy za mało danych, by ocenić, jakie zastosowanie znajdują te fałszywe męskie genitalia u żyjących dziko zwierząt. Wiemy jednak, że niektóre samce małp południowoamerykańskich wykorzystują wzwód penisa jako bezpośrednią groźbę skierowaną do małpy podporządkowanej. U małpki saimiri w całym repertuarze środków sygnalizowania dominacji erekcja stała się sygnałem najważniejszym. Obserwujemy tu coś więcej niż zwykłe siedzenie z rozkraczonymi nogami. By wyrazić groźbę, stojący wyżej w hierarchii samiec tego gatunku zbliża się do osobnika podległego i natrętnie podtyka mu pod pysk swój członek w stanie wzwodu. Jednakże pseudo członek u samic nie ulega, jak się wydaje, erekcji. Być może wystarczy skierowanie go ku podległej małpie.

Taka jest więc funkcja seksu jako znamienia statusu u naszych najbliższych krewniaków, czyli u małp. Zająłem się tą sprawą dość szczegółowo, gdyż stanowi ona tło ewolucyjne, użyteczne przy badaniu problemu seksu jako znamienia statusu u ludzi. Ułatwia to nieco zrozumienie, dlaczego ludzkie zwierzę posunęło się tak daleko w tym kierunku. Już poznając niektóre szczegóły zachowania się małp, można było, wzorem starożytnych Egipcjan, zauważyć pewne podobieństwa do sytuacji u ludzi. Podobnie jak u małp, seksualne wzorce podległości kobiet i dominacji mężczyzn zaczęły oznaczać podległość i dominację także w kontekstach pozaseksualnych.

Dawny wzorzec prezentowania samcowi siedzenia przetrwał jako gest wyrażający podległość. Dzieci bywają często zmuszane do przybrania podobnej pochylonej pozycji, gdy wymierza im się karę. Pośladki są też powszechnie uważane za najbardziej "komiczną" część ciała, która stanowi przedmiot żartów i śmiechów i w którą wbija się szpilki. Bezradne ofiary

pornografii sadomasochistycznej, nie mówiąc już o bohaterach popularnych komedii rysunkowych i karykatur, często ukazywane są z poślądkami uniesionymi ku górze. Naprawdę jednak człowiek popuścił wodze fantazji głównie w dziedzinie wzorców zachowania się dominującego mężczyzny. Od najdawniejszych czasów sztuka i literatura, jako produkty cywilizacji, obfitują w najrozmaitsze symbole falliczne. Ostatnio bywają one dość zakamuflowane i odległe od swego oryginału, czyli męskiego członka w stanie wzwodu, ale w większości zachowanych kultur prymitywnych wciąż jeszcze można napotkać bardziej bezpośrednie i niedwuznaczne demonstracje fallusa. Na przykład wśród szczepów w Nowej Gwinei mężczyźni prowadzą wojny, mając długie rury przytwierdzone do członków. Stanowią one przedłużenie członka, często o ponad 30 centymetrów, i utrzymuje się je w pozycji niemal pionowej za pomocą linek przywiązanych do ciała wojownika. Także w innych kulturach stosuje się rozmaite sposoby ozdabiania i powiększania członka.

Jeśli wzwód członka ma służyć jako groźny symbol męskiej dominacji, jest rzeczą jasną, że im pokazniejszy jest wzwód, tym większa groźba. Sygnały wizualne przekazujące nasilenie groźby są czworakiego rodzaju: podczas wzwodu członek zmienia kąt, twardnieje, zwiększa szerokość i zwiększa długość. Jeżeli wszystkie te cztery właściwości uda się sztucznie wyolbrzymić, to wówczas maksymalnie zwiększy się też efekt. Istnieje pewna granica tego, czego można dokonać na rzeczywistym ciele (do której doszły już chyba szczepy w Nowej Gwinei), ale gdy chodzi o ludzkie podobizny, nie istnieją żadne granice. Na rysunkach, obrazach i rzeźbach przedstawiających ciało ludzkie członek może być ukazany w dowolnym powiększeniu. Przeciętna długość członka w stanie wzwodu wynosi około 16 centymetrów, co odpowiada niespełna jednej dziesiątej wzrostu dorosłego mężczyzny. Na rzeźbach fallicznych długość członka często przekracza wzrost przedstawionej figury. Dalsze wyolbrzymianie fallusa prowadzi do całkowitego pominięcia reszty ciała i wtedy rysunek lub rzeźba ukazują po prostu ogromny, pionowy, odcieleśniony penis. Tego rodzaju starożytne rzeźby, nierzadko wznoszące się na wiele metrów w górę, znajdowano w różnych częściach świata. Gigantyczne rzeźby fallusa o wysokości około 60 metrów strzegły świątyni Wenus w Hierapolis, ale nawet one ustępowały rozmiarem innemu starożytnemu fallusowi, który, jak mówiono, wznosił się na wysokość około 120 metrów, siedmiuset krotnie przekraczając długość przedstawianego organu. Podobno był on cały pokryty szczerem złotem.

Od dosłownych reprezentacji tego typu już tylko krok do świata symbolizmu fallicznego, w którym niemal każdy długi, sztywny i prosty przedmiot może odgrywać rolę fallusa. Dzięki psychoanalitycznym studiom nad marzeniami sennymi dowiadujemy się, jak bardzo zróżnicowane mogą być te symbole. Nie występują one jednak tylko w snach.

Wykorzystują je często twórcy reklam, artyści i pisarze. Pojawiają się w filmach, sztukach i niemal w każdej innej formie rozrywki. Nawet jeśli nie odbieramy ich świadomie, mogą one wywierać określony wpływ przez podstawowy sygnał, jaki przekazują. Wśród tych symboli znajduje się wszystko - od świec, bananów, krawatów, kijów do szczotek, węgorzy, lasek, węży, marchewek, strzał, węży gumowych i fajerwerków, aż po obeliski, drzewa, wieloryby, słupy latarni, drapacze chmur, maszty, armaty, kominy fabryczne, rakiety kosmiczne, latarnie morskie i wieże. Wszystkie te obiekty mają znaczenie symboliczne z powodu swego ogólnego kształtu, ale niekiedy w grę wchodzi jakaś cecha szczególna. Ryby stały się symbolem fallicznym zarówno ze względu na swój kształt i budowę, ale również dlatego, że pływają, przebijając się przez wodę. Słonie stały się takim symbolem ze względu na wyprężające się trąby, nosorożce ze względu na róg, ptaki, ponieważ unoszą się w górę, nie bacząc na przyciąganie ziemskie, czarodziejskie różdżki, gdyż dają specjalną moc czarnoksiężnikom, miecze, włócznie i lance, ponieważ przenikają w głąb ciała ludzkiego, butelki szampana, ponieważ po ich otwarciu następuje wytrysk, klucze, ponieważ wkłada się je do dziurki, i cygara, ponieważ wyglądają jak nabrzmiałe papierosy. Lista jest prawie nieskończona i ogromny jest też zasięg porównań symbolicznych, które możemy sobie wyobrazić.

Wszystkie te symbole mogą być używane i często są używane jako wyrażające męskość. Twardy, dominujący mężczyzna (albo ktoś pragnący za takiego uchodzić), który ssie grube cygaro, a potem ciska je kumpłowi w twarz, stosuje w zasadzie taką samą demonstrację seksu jako znamienia dominacji jak samiec małpki saimiri, który rozkraczywszy nogi podtyka swojemu podwładnemu pod pysk członek w sta nie wzvodu. Z powodu kulturowych tabu zostaliśmy zmuszeni do kamuflowania agresywnych popisów seksu za pomocą środków zastępczych, ale ponieważ wyobraźnia ludzka funkcjonuje tak, a nie inaczej, nie zmniejszyło to skali zjawiska, spowodowało tylko, że przybrało ono bardziej zróżnicowane i wyszukane formy. Jak wyjaśniałem w poprzednim rozdziale, w charakterystycznej dla superplemienia sytuacji istnieją wszelkie podstawy, by symbole statusu stawały się przedmiotem wspianiałej zabawy. To samo można powiedzieć o seksie jako znamieniu statusu.

Nietrudno zauważyć różnego rodzaju udoskonalenia rozmaitych symboli fallicznych, które dokonują się niemal na naszych oczach. Dobrą ilustracją są tu modele samochodów sportowych. Zawsze emanuje z nich brawurowa, agresywna męskość, w dużej mierze za sprawą ich właściwości fallicznych. Przypominają one członek pawiana; bo mają sterczące przody, są długie, błyszczące, często jaskrawoczerwone, i z wielką energią prą przed siebie.

Mężczyzna siedzący w otwartym samochodzie sportowym wygląda jak mocno stylizowana rzeźba falliczna. Ciało uległo zanikowi, widoczna jest tylko mała głowa i ręce obejmujące długi, lśniący członek. (Można by dowodzić, że kształt samochodów sportowych jest ściśle zdeterminowany technicznymi wymogami aerodynamiki, tyle że tłok na współczesnych drogach i coraz surowsze ograniczenia szybkości czynią to twierdzenie absurdalnym). Nawet zwyczajne samochody mają cechy falliczne i w pewnym stopniu tłumaczy to, dlaczego mężczyźni za kierownicą stają się tak agresywni i za wszelką cenę usiłują się wzajemnie wyprzedzić, nie bacząc na spore ryzyko i na to, że i tak wszyscy się spotkają pod kolejnymi światłami, a w najlepszym razie uda im się zaoszczędzić kilka sekund.

Kolejny przykład dotyczy świata muzyki popularnej, w którym gitara przeszła ostatnio zmianę płci. Gitara w starym stylu, o zaokrąglonym i wciętym kształcie, była zasadniczo symbolem kobiecości. Przyciskano ją do piersi, delikatnie pieszcząc jej struny. Ale czasy się zmieniły i jej kobiecość odeszła w niebyt. Gdy grupy męskich "idoli seksu" wzięły się za granie na gitarach elektrycznych, konstruktorzy tych instrumentów trudzą się, by przydać im coraz więcej cech męskich i fallicznych. Zmniejszenie pudła rezonansowego gitary (obecnie ma ono symboliczny kształt jąder) i pozbawienie go wcięć, a przydanie jaskrawych kolorów, pozwoliło na wydłużenie gryfu (symbolizującego obecnie członek). Gitarzyści wnoszą do tego swój wkład, opuszczając gitary coraz niżej, tak iż obecnie trzyma się je w okolicy genitaliów. Zmienił się też kąt, pod którym trzyma się gitary podczas gry, gdyż gryf przyjmuje coraz wyraźniej pozycję wzvodu. Dzięki wszystkim tym modyfikacjom współczesne grupy muzyki pop wykonują na estradzie ruchy masturbacyjne przy użyciu potężnych elektrycznych fallusów, dominując nad oddanymi "niewolnikami" zapelniającymi widownię. (Wokalista musi zadowolić się pieszczaniem fallicznego mikrofonu).

Na drugim biegunie tych fallicznych "udoskonaleń" są liczne przejawy zaniku lub ubożenia symboli fallicznych. Wraz z wymieraniem wczesnych cywilizacji (które, jak już mówiłem, znacznie chętniej posługiwały się symbolami fallicznymi) niedwuznaczna obrazowość rekwizytów fallicznych ulegała zatarciu i zniekształceniu. Chyba najbardziej uderzającym tego przykładem jest chrześcijański krzyż. W dawnych czasach był to oczywisty symbol falliczny, w którym część pionowa przedstawiała członek, a poprzeczna jądra. Można go znaleźć czasem w bardziej dosadnej formie na starodawnych wizerunkach przedchrześcijańskich -u szczytu jego części pionowej widnieje głowa człowieka, a stylizacja narządów płciowych w kształcie krzyża zastępuje ciało. Według jednego z autorów symbol ten był dawniej oznaką "siły witalnej", co zapewne ułatwiło przejście go w jego nowej roli przez chrześcijaństwo.

Innym krzyżem, który dawno utracił swoje pierwotne znaczenie, jest słynny krzyż maltański. Starożytne, prehistoryczne ruiny na Malcie obfitowały w fallusy, z których większość zaginęła, została rozkradziona lub zniszczona. Znajdował się wśród nich krzyż składający się z czterech ogromnych kamiennych fallusów, które według jednego z autorów "uległy potem metamorfozie za sprawą cnotliwych rycerzy świętego Jana", by służyć im jako herb.

Zanikły też dawne jawnie falliczne elementy obchodów uroczystości wielkanocnych. W wielu kulturach starożytnych był to okres przygotowywania fallicznych ciastek. Wypiekano je w kształcie męskich i żeńskich genitaliów, ale do dziś symbole te przetrwały w niektórych krajach jedynie jako cukierki w kształcie ryby (odpowiednik ciastka męskiego) i w kształcie lalki (odpowiednik ciastka żeńskiego). Falliczny charakter symbolu ryby przejawiał się pierwotnie również w rytualnym spożywaniu ryby w piątce, ale obyczaj ten dawno utracił znaczenie seksualne.

Można by przytoczyć jeszcze wiele innych przykładów. Jednym z nich jest ognisko, które, zachowując jeszcze w pewnych okolicznościach niemal magiczny i rytualny charakter, straciło już swoje znaczenie seksualne. Pierwotnie rozpalano je w specjalny sposób, pocierając "męskim" patykiem o patyk "żeński" w akcie symbolicznej kopulacji i tym sposobem rozniecano iskrę, dzięki której wybuchały płomienie ognia o symbolice seksualnej. Na zewnętrznych ścianach wielu pomieszczeń mieszkalnych wywieszano rzeźbione fallusy jako ochronę przed "złym okiem" i innymi urojonymi niebezpieczeństwami. Będąc wyrazem groźby skierowanej do świata zewnętrznego za pośrednictwem symbolu seksu jako znamienia statusu dominacji, strzegły one domostw i ich mieszkańców. Jeszcze dzisiaj w niektórych krajach śródziemnomorskich można zobaczyć podobne symbole, chociaż nie mają już one tak wyraźnie seksualnego charakteru. Obecnie są to zwykle rogi jakiegoś dużego samca, solidnie przymocowane do wyższych partii zewnętrznej ściany domu lub do narożnej części dachu. Jednakże mimo tych zabiegów kastracyjnych i cenzorskich, dzięki którym drzewo poznania cielesnego zamieniło się w zwykłe drzewo wiadomości, a niedwuznaczny woreczek na genitalia ustąpił miejsca mniej jednoznaczemu krawatowi, istnieją jeszcze dziedziny, w których agresywne symbole seksualne zachowały swoje pierwotne i wyraziste cechy. Do dziś występuje to bardzo wyraźnie w sferze przekleństw i obelg.

Obelgi słowne często mają formę falliczną. Niemal wszystkie prawdziwie nienawistne przekleństwa zawierają słowa z domeny seksu. Ich dosłowne znaczenia odnoszą się do kopulacji lub do rozmaitych szczegółów anatomii płci. Używa się ich głównie w momentach

skrajnej agresji, co także jest charakterystyczne dla seksu jako znamienia statusu i wyraźnie wskazuje, jak seks przenosi się do sfery dominacji.

Tę samą tendencję wykazują obelgi wizualne, które jako sposób wyrażania wrogości również miały różne formy falliczne. Tak powstał zwyczaj pokazywania języka. Wysunięty do przodu język jest symbolem członka w stanie erekcji. Wrogie gesty, z użyciem tzw. "ręki fallicznej", w różnych formach istnieją od co najmniej dwóch tysięcy lat. Jeden z najstarszych takich gestów polega na skierowaniu środkowego palca, sztywno wyprostowanego z zaciśniętej dłoni, ku osobie, która jest przedmiotem wzgardy. Środkowy palec jest symbolem członka, a zaciśnięty kciuk i palec wskazujący z jednej strony i pozostałe dwa palce z drugiej symbolizują jądra. Gest ten był powszechnie stosowany w czasach rzymskich, a palec środkowy określano jako *digitus impudicus* lub *digitus infamis*. W ciągu wieków gest ten ulegał różnym modyfikacjom, ale wciąż występuje on w różnych częściach świata. Zamiast środkowego bywa używany palec wskazujący, może dlatego, że łatwiej jest go utrzymać w tej pozycji. Czasami wyciąga się dwa palce: wskazujący i środkowy, co ma podkreślać rozmiar symbolicznego członka. Tak ułożoną "rękę falliczną" szybkimi ruchami unosi się zwykle kilkakrotnie w kierunku osoby, którą się chce obrazić, co symbolizuje ruchy kopulacyjne. Dwa wyciągnięte palce mogą być złączone lub też rozdzielone na kształt litery V.

W ostatnich czasach ta właśnie forma uległa interesującej modyfikacji: palce ułożone w literę V stały się znakiem zwycięstwa. Zmiana ta nie da się sprowadzić do prostego zapożyczenia pierwszej litery wyrazu "victoria" oznaczającego zwycięstwo. Nie bez znaczenia były tu również właściwości falliczne znaku. V zwycięskie różni się jednak od V o intencji obraźliwej pozycją ręki. Osoba pokazująca znak V w intencji obraźliwej zwraca wewnętrzną stronę dłoni ku własnej twarzy, podczas gdy pokazując V zwycięskie, zwraca ją w kierunku tłumu podziwiających ją widzów. Z ich punktu widzenia oznacza to w efekcie, że osoba dominująca, wykonując znak V nacechowany triumfalnie, w istocie wykonuje znak nacechowany obraźliwie w ich imieniu -za nich, a nie przeciwko nim. Gdy patrzą oni na swego przywódcę, widzą wówczas rękę w tej samej pozycji, w jakiej widzieliby ją, gdyby sami wykonywali znak nacechowany obraźliwie. Za sprawą zwyczajnego obrotu ręki falliczny znak obrzydliwie staje się fallicznym znakiem ochrony. Jak już zauważyliśmy, grożenie i ochranianie należą do najważniejszych aspektów dominacji. Jeżeli osobnik dominujący wykonuje gest grożenia skierowany do osoby z własnej grupy, obraża ją, ale jeśli adresuje ten sam gest do rzeczywistego lub domniemanego wroga, wówczas jego podwładni będą go chwalić za to, że ich broni. Myśl, że przywódca może całkowicie zmienić swój wizerunek za

sprawą zwykłego obrotu dłoni o 180 stopni, musi napawać zdumieniem, ale na tym właśnie polegają dzisiejsze subtelności sygnałów seksu jako znamienia statusu.

Inna pradawna figura "fallicznej ręki", również sięgająca co najmniej dwóch tysięcy lat wstecz, to tak zwana "figa". Polega ona na zaciśnięciu dłoni w pięść z kciukiem wciśniętym między palec wskazujący i środkowy. Koniuszek kciuka, niby żołądź członka, lekko wystaje, wskazując poddanego lub wroga. Wyciągnięcie tak ułożonej dłoni jest znane niemal na całym świecie i prawie wszędzie nosi nazwę "pokazywanie figi". W języku angielskim powiedzenie "nie dam za niego nawet figi" oznacza, że dana osoba nie zasługuje nawet na to, by ją obrazić.

Wiele przykładów takich "fallicznych rąk" znaleziono na starożytnych amuletach i innych ozdobach. Noszono je jako zabezpieczenie przed "złym spojrzeniem". W dzisiejszych czasach uznano by pewnie takie emblematy za niewłaściwe lub sprośne, ale dawniej, gdy je noszono, nie miały takiego charakteru. Służyły za najzupełniej przyzwoite ochronne symbole seksu jako znamienia statusu. W szczególnych sytuacjach symboliczny fallus był postrzegany jako coś godnego uznania, a nawet czci, jako magiczny stróż gotów do niszczenia, ale nie swoich, lecz tych, co zagrażali z zewnątrz. Podczas rzymskich Liberaliów ogromny fallus umieszczony na wspaniałym rydwaniu przejeżdżał przez miasto w uroczystym pochodzie, a na środku głównego placu kobiety, nie wyłączając najbardziej szacownych matron, uroczyście ozdabiały go girlandami, "aby wyzwolić kraj od złych uroków". W średniowieczu na zewnętrznych ścianach wielu kościołów widniały fallusy mające chronić przed złymi siłami, ale prawie wszystkie zostały później zniszczone jako "niemoralne".

Celom fallicznym służyły nawet rośliny. Mandragora, roślina o korzeniach w kształcie fallusa, była szeroko używana jako amulet ochronny. Aby wzmocnić jej symboliczne działanie, osadzano w korzeniu ziarnka prosa lub jęczmienia, po czym wkopywano go na powrót w ziemię na około dwadzieścia dni, czekając, aż ziarna wypuszczą pędy. Potem wykopywano go i przycinając pędy, modelowano korzeń na kształt owłosienia łonowego. W takiej postaci roślina ta podobno tak skutecznie chroniła właściciela przed niekorzystnym działaniem sił zewnętrznych, że jego dochody z każdym rokiem podwajały się.

Przykładami symbolizmu fallicznego można by wypełnić całą książkę, ale jak mniemam, te, które przytoczyłem, wystarczą, aby wykazać wielką powszechność i zróżnicowanie tego zjawiska. Omawiając jeden z elementów agresywnego męskiego popisu seksu jako znamienia statusu, erekcję członka, dotknęliśmy zaledwie tematu. Poza tym istniały różne inne ważne zjawiska, których nie można pominąć. Jak już podkreślałem, dla osobnika męskiego pierwotnym i najprostszym wzorcem kopulacyjnym jest zdecydowany i

agresywny w swojej istocie akt penetracji. W pewnych warunkach może on więc pełnić funkcję seksu jako znamienia statusu. Mężczyzna może mieć stosunek z kobietą bardziej po to, by dowartościować swoje męskie ego niż po to, by osiągnąć którykolwiek z dziewięciu omówionych wyżej celów uprawiania seksu. Wówczas może on mówić o dokonaniu "podboju", jakby chodziło o bitwę, a nie o akt płciowy. Używając słowa "mówić", mam na myśli jego znaczenie dosłowne, ponieważ chwalenie się przed innymi mężczyznami jest istotnym elementem zwycięskiego seksu jako znamienia statusu. Gdy mężczyzna zachowuje milczenie, sukcesem karmi się tylko jego własne ego, ale jego status zyska znacznie więcej, jeśli pochwali się znajomym. Każda kobieta, która się o tym dowie, będzie dobrze wiedziała, z jakiego rodzaju seksem miała do czynienia. Natomiast szczegóły aktów płciowych, których funkcją jest tworzenie więzi pary, są sprawą czysto osobistą.

Mężczyźnie wykorzystującemu kobiety dla celów seksu jako znamienia statusu najbardziej zależy na popisaniu się. Może się on nawet zadowolić pokazaniem podległych mu kobiet swojej grupie, nie zadając sobie wcale trudu spółkowania z nimi. Taki popis jest często zupełnie wystarczający, jeśli tylko wszyscy dokładnie widzą, że kobiety te są mu podporządkowane.

Ogromne haremy władców w niektórych kulturach służyły również głównie do demonstracji seksu jako znamienia statusu. Nie świadczyły bynajmniej o istnieniu zwielokrotnionych więzi pary. Zdarzało się często, że któraś z żon stawała się ulubienicą i wówczas powstawał z jej udziałem jakiś rodzaj więzi pary, ale rychło górę brał interes seksu jako znamienia statusu. Sytuację wyrażało proste równanie: potęga władzy = liczba kobiet w haremie. Czasami kobiet było tak wiele, że władcy nie starczało ani czasu, ani sił, aby uprawiać seks ze wszystkimi, ale by wykazać swą jurność, starał się spłodzić jak najwięcej potomstwa. Współczesny następcą pana na haremie musi zwykle zadowolić się długim szeregiem kobiet, nad którymi kolejno obejmuje panowanie, zamiast zgromadzić je wszystkie naraz wokół siebie. Jego reputacja opiera się na słowach, a nie na efektownych, widocznych popisach potencji seksualnej.

Należy też wspomnieć o specjalnym nastawieniu, jakie mają zwolennicy seksu heteroseksualnego jako znamienia statusu do mężczyzn homoseksualnych. Jest to stosunek szczególnej wrogości i pogardy, spowodowany podświadomym przekonaniem, że "jeśli nie uczestniczą oni w grze, nie można ich pokonać". Innymi słowy, brak seksualnego zainteresowania kobietami ze strony homoseksualnych mężczyzn daje im nieuczciwe fory w seksualnej walce o status, gdyż bez względu na to, ile kobiet zniewoli heteroseksualny rekordzista, na homoseksualiście nie zrobi to żadnego wrażenia. Dlatego należy go pokonać,

ośmieszając. Rzecz jasna w świecie homoseksualistów, podobnie jak wśród heteroseksualistów, trwa ostre współzawodnictwo seksualne w walce o status, ale nie wpływa to w najmniejszym stopniu na lepsze wzajemne zrozumienie między tymi dwiema grupami, jako że obiekty, o które toczy się walka w tych dwóch grupach, tak bardzo różnią się od siebie.

Gdy współczesnemu mężczyźnie uprawiającemu seks jako znamię statusu nie uda się dokonać rzeczywistych podbojów, ma on jeszcze wiele innych możliwości. Niezbyt pewny siebie osobnik może się wypowiedzieć opowiadając sprośne dowcipy. Implikują one, że ten, kto je opowiada, jest wyczynowcem seksualnym, ale obsesyjne i uporczywe opowiadanie sprośnych dowcipów może wzbudzić u słuchających pewne podejrzenia. Mogą oni dostrzec w tym mechanizm kompensacyjny.

Mężczyźni o silnym poczuciu niższości bywają klientami prostytutek. Wspominałem już o innych funkcjach tego rodzaju aktywności seksualnej, ale najważniejszą jest chyba podniesienie statusu. Najistotniejszą cechą tej formy seksu jako znamienia statusu jest to, że kobieta ulega tu upodleniu. Mężczyzna, jeśli tylko dysponuje pewną ilością gotówki, może żądać seksualnej uległości. Świadomość, że dziewczyna nie aprobuje jego awansów, ale mimo to poddaje mu się, może tylko wzmacniać jego poczucie siły i przewagi nad nią. Inną możliwością jest pokaz striptizu. Tu także, za niewielką sumę pieniędzy, kobieta rozbiera się do naga, poniżając się przy tym i tym samym podnosząc status oglądających ją mężczyzn. Istnieje okrutny rysunek satyryczny na temat striptizu, podpisany po prostu "tripes-tease", czyli drażnienie flaków. Pokazuje on nagą dziewczynę, która już zdjęła z siebie wszystko, ale wciąż słyszy okrzyki "jeszcze", więc nacina sobie brzuch i z uwodzicielskim uśmiechem, w takt muzyki; zaczyna wyrywać sobie wnętrzności. Ten okrutny komentarz pokazuje, że mówiąc o striptizie, wkraczamy w domenę skrajnej formy seksu jako znamienia statusu, czyli w domenę sadyzmu.

Równie niesmaczne jak oczywiste jest to, że im drastyczniejsza jest męska potrzeba dowartościowania ego, tym bardziej desperackich środków wymaga jej zaspokojenie. Im bardziej poniżające i gwałtowne jest działanie, tym skuteczniejsze dowartościowanie. Większość mężczyzn nie potrzebuje uciekać się do tak skrajnych sposobów, gdyż życie w normalnym społeczeństwie zapewnia im wystarczającą pewność siebie.

Jednakże w warunkach superplemiennych, w których żyje niewielka liczba osób dominujących i masa uległych im poddanych i gdzie istnieje silna presja na podnoszenie statusu, można dostrzec wzrost tendencji do mnożenia zachowań sadystycznych. U większości mężczyzn ograniczają się one do sfery wyobraźni, ich sadystyczne fantazje nigdy

się nie urzeczywistniają. Niektórzy posuwają się dalej, z upodobaniem studiując sceny bicia, chłost i tortur widniejące w sadystycznych książkach, filmach i na obrazkach. Niektórzy uczęszczają na pseudo sadystyczne pokazy, a tylko bardzo, bardzo nieliczni zostają czynnymi sadystami. Prawdą jest, że wielu mężczyzn stosuje w grze erotycznej umiarkowany stopień brutalności i że niektórzy odbywają ze swoimi partnerkami jakieś niby-sadystyczne seanse, ale sadysta z krwi i kości jest na szczęście istotą rzadko spotykaną.

Jedną z najczęstszych form sadyzmu jest gwałt. Być może wynika to z faktu, że gwałt to wyłącznie męska czynność, która lepiej wyraża męską agresywność niż jakikolwiek inny akt sadyzmu. (Mężczyźni mogą zadawać ból kobietom, a kobiety mogą zadawać ból mężczyznom. Mężczyźni mogą gwałcić kobiety, ale kobiety nie mogą gwałcić mężczyzn). Poza całkowitym zdominowaniem i poniżeniem kobiety, jedną z najbardziej dziwacznych przyjemności, jakich doświadcza gwałcący sadysta, jest wywołany przez niego wyraz bólu na twarzy i konwulsyjne ruchy ciała, które na swój sposób przypominają ruchy ciała i grymasy twarzy kobiety przeżywającej intensywny orgazm. Co więcej, jeśli gwałciciel zabija następnie swoją ofiarę, staje się ona natychmiast bezsilna i bierna, co stanowi makabryczną parodię osłabienia i odprężenia, które przychodzą po orgazmie.

Pewną odmianą gwałtu, której dopuszczają się mężczyźni o łagodniejszym usposobieniu, jest coś, co można by nazwać "gwałtem na wzroku". Zwykle określa się to jako ekshibicjonizm, który polega na tym, że mężczyzna nagle obnaża swoje genitalia i pokazuje je obcej kobiecie lub kobietom, nie dążąc do żadnego kontaktu fizycznego. Ma to na celu wywołanie wstydu i zażenowania u patrzących niechętnych mu kobiet, i cel ten osiąga on przez posłużenie się najbardziej elementarną formą seksu jako znamię statusu, czyli wyrażając pogroźkę. Przypomina to pogroźki wyrażane za pomocą członka przez małpki *saimiri*.

Chyba najbardziej skrajną postacią sadyzmu jest znęcanie się, gwałt i morderstwo popełnione przez dorosłego mężczyznę na dziecku. U takich sadystów występować musi, nie spotykany u innych ludzi, niezwykle silny kompleks niższości na tle statusu. Pragnąc dowartościować swoje ego, muszą oni wybierać najsłabszych i najbardziej bezbronnych, aby narzucić im najostrzejszą formę dominacji, na jaką ich stać. Na szczęście do tych skrajności dochodzi stosunkowo rzadko. Choć ze względu na rozgłos, jaki im towarzyszy, wydawać się może, że są to przypadki częste, w rzeczywistości stanowią one zaledwie niewielki ułamek zbrodni przy użyciu przemocy. Jednakże superplemie, w którym znajdzie się choćby kilku osobników zdolnych do takich ekscesów na tle dążenia do dominacji, jest zapewne społeczeństwem o niezwykle wysokim natężeniu presji na podnoszenie statusu.

I ostatnia sprawa wiążąca się z seksem jako znamieniem statusu. Jest rzeczą godną zastanowienia, że u niektórych osobników o niezwykle silnej żądzy władzy występowały nieprawidłowości w budowie organów płciowych. Na przykład sekcja zwłok Hitlera ujawniła, że miał on tylko jedno jądro. Podczas sekcji zwłok Napoleona stwierdzono nieproporcjonalnie małe genitalia. U obu życie płciowe przybierało niecodzienne formy i można tylko zgadywać, czy i do jakiego stopnia dzieje Europy wyglądałyby inaczej, gdyby byli oni normalni pod względem seksualnym. Możliwe, że jako osobnicy o upośledzonej anatomii seksualnej byli zmuszeni cofnąć się do bardziej bezpośrednich form wyrażania agresji. Choćby jednak osiągnęli najwyższy poziom dominacji, nigdy nie mogli zaspokoić swojego popędu superstatusu, żadne bowiem zdobycze nie mogły ich wyposażać w prawidłowe genitalia typowego dominującego mężczyzny. I tu dochodzimy do punktu wyjścia naszych rozważań o seksie jako znamieniu dominacji: Najpierw seksualizm dominującego mężczyzny zaczyna służyć jako wyraz agresji właściwej dominacji. Potem staje się w tej roli tak ważny, że wszelkie jego niedostatki domagają się kompensacji we wzroście poziomu agresji jako takiej.

Może jednak da się powiedzieć coś pozytywnego o seksie jako znamieniu statusu (w jego najłagodniejszych przejawach). W swoich rytualizowanych i symbolicznych formach daje on względnie niewinne ujście dla skądinąd potencjalnie szkodliwych agresji. Gdy dominujący samiec małpy wchodzi na podległą mu samicę, utwierdza się w swojej dominującej roli, nie uciekając się do zatapiania zębów w ciele słabszego od siebie zwierzęcia. Wzajemne opowiadanie sobie dowcipów erotycznych w barze wyrządza mniej szkody niż bijatyka czy burda. Pięść ułożona w nieprzyzwoitą figurę nie podbija nikomu oka. W gruncie rzeczy seks jako znamień statusu rozwinął się jako bezkrwawy substytut krwawej przemocy właściwej bezpośredniej agresji i dominacji. Tyle tylko, że w naszych przerośniętych superplemionach, gdzie drabina statusu sięga aż do nieba, a presje związane z utrzymaniem lub poprawieniem pozycji w hierarchii społecznej stały się już nieznośne, seks jako znamień statusu wymknął się spod kontroli i przybrał równie krwawe formy jak sama agresja. Jest to jeszcze jedna cena, którą przyszło zapłacić człowiekowi superplemienia za wielkie osiągnięcia będące udziałem superplemiennego świata i za ekscytacje, jakie przynosi życie w tym świecie.

Przegląd dziesięciu podstawowych funkcji zachowania seksualnego uzmysłowił nam, w jaki sposób seks współczesnego ludzkiego zwierzęcia żyjącego w mieście zamienił się w super-seks. Choćby funkcje te są wspólne dla człowieka i innych stworzeń, człowiek rozwinął je w dużo wyższym stopniu niż inne gatunki. Nawet w najbardziej purytańskich

kulturach seks odgrywał i odgrywa ważną rolę, choćby dlatego, że wciąż jest obecny w umysłach ludzi jako coś, co należy tłumaczyć. To chyba prawda, że nikt nie jest tak opętany seksem jak fanatyczny purytanin.

Różne czynniki wpływające na kształtowanie się superseksu są ze sobą wzajemnie powiązane. Główny z nich to wykształcenie się ogromnego mózgu. Doprowadziło ono do przedłużenia dzieciństwa, co z kolei oznacza długotrwałość rodziny. Należało więc tworzyć i utrzymywać związki par. Dlatego seks służący kształtowaniu się więzi pary i seks podtrzymujący więź pary powstał jako uzupełnienie seksu prokreacyjnego. Gdy sposoby aktywnego zaspokojenia popędu seksualnego okazały się trudno osiągalne, pomysłowość człowieka z ogromnym mózgiem stworzyła możliwości zastosowania różnych technik służących do rozładowania fizjologicznych napięć seksualnych. Charakterystyczny dla człowieka wzmożony popęd do szukania nowości, a także jego wzmożona ciekawość i wynalazczość spowodowały znaczny przyrost seksu eksploratorskiego. Wysoka efektywność ogromnego mózgu pozwoliła człowiekowi tak zorganizować sobie życie, że ma on coraz więcej wolnego czasu, a przy tym stał się bardziej wymagający, jeśli idzie o sposób jego wypełnienia. Dlatego powstały warunki, w których może rozkwitać czysty seks - seks dla przyjemności. Nadmiar wolnego czasu zrodził seks dla zabicia czasu. Gdy natomiast napięcia i stresy życia w superplemieniu stały się zbyt silne, człowiek sięgnął po seks jako środek uspokajający. Pogłębiająca się złożoność życia superplemienia przyniosła postępujący podział pracy i specjalizację, w którą to orbitę została wciągnięta także sfera seksu w postaci seksu sprzedajnego. Wreszcie, w związku z rosnącym znaczeniem problemów dominacji i statusu w rozległej strukturze superplemienia, seks coraz szerzej przenosił się do innych nieseksualnych dziedzin, przybierając wszechobecną postać seksu jako znamienia statusu.

Największe zamieszanie w dziedzinie seksu powstało w związku ze sprzecznością, jaką zachodzi między kategoriami, których zasadniczą funkcją jest reprodukcja (seks prokreacyjny, seks kształtujący więzi pary i podtrzymujący więzi pary), a kategoriami zasadniczo nierprodukcyjnymi. W czasach poprzedzających erę pigułek antykoncepcyjnych, gdy wszelkie środki antykoncepcyjne były zakazane, trudno dostępne lub nieskuteczne, seks prokreacyjny stanowił główne zagrożenie dla seksu poszukiwawczego i wszystkich pozostałych jego kategorii. Nawet w tak zwanym "raju ery pigułkowej", postrzeganym przez niektórych jako epoka niepohamowanej rozwiązłości, problem jest jeszcze daleki od rozwiązania, bowiem podstawowa funkcja stosunków seksualnych u ludzi, jaką jest tworzenie więzi pary, pozostaje wciąż niezmienna. Szeroko rozpowszechniona bez troska rozwiązłość jest i pozostanie mitem. Jest to mit zrodzony z myślenia życzeniowego, przynależnego do

seksu jako znamienia statusu, który na zawsze pozostanie w sferze życzeń. Występujący u człowieka silny popęd do łączenia się w pary, który -ujmowany w kategoriach ewolucyjnych -ma swe źródło w zwiększeniu obowiązków rodzicielskich, będzie dalej istniał, bez względu na przyszły postęp w dziedzinie antykoncepcji. Nie znaczy to, że postęp ten nie będzie miał wpływu na naszą aktywność seksualną. Wprost przeciwnie, zmieni on radykalnie nasze zachowanie. Udoskonalone, pozbawione skutków ubocznych środki antykoncepcyjne, zanik chorób wenerycznych i wciąż rosnące zaludnienie spowodują spektakularny wzrost nieprokreacyjnej aktywności seksualnej. Nie ma co do tego wątpliwości. Podobnie nie ma wątpliwości, że nasili to sprzeczność między takimi formami uprawiania seksu a wymaganiami stawianymi przez więzi pary. Niestety ucierpią na tym dzieci, a nie tylko ich żyjący w seksualnym bezładzie rodzice.

Byłoby nam dużo łatwiej, gdyby nasze rodzicielstwo -jak pokrewnych nam małp -stawiało nam mniej wymagań i gdybyśmy w naturalny sposób byli bardziej swobodni w sferze seksualizmu. Wówczas moglibyśmy wzbogacać i wzmacniać naszą aktywność seksualną równie łatwo, jak wzbogacamy zakres naszych działań związanych z utrzymaniem ciała w czystości. Jeśli bezkarnie spędzamy całe godziny w łazience, chodzimy do masażyści i fryzjerów, odwiedzamy salony piękności, łaźnie tureckie i orientalne, baseny kąpielowe czy sauny -w ten sam sposób moglibyśmy, bez żadnych konsekwencji, brać udział w dłuższych eskapadach erotycznych w dowolnym czasie i z dowolną osobą. Tymczasem w istocie wydaje się, że nasza podstawowa natura zwierzęca zawsze będzie stała temu na przeszkodzie, a przynajmniej powstrzyma taki bieg zdarzeń. dopóki nie dokona się w nas jakaś podstawowa zmiana genetyczna.

Jedyna nadzieja, że stojąc przed koniecznością sprostania coraz większym wymaganiom stawianym przez sprzeczności tkwiące w superseksie, nauczymy się zręczniejsz prowadzić tę grę. Można przecież, mimo wszystko, oddawać się przyjemnościom jedzenia, nie narażając się na otyłość czy chorobę. Z seksem sztuka ta jest trudniejsza, czego dowodem jest ogromna w każdym społeczeństwie liczba nienawistnych zazdrośników, złamanych serc, nieszczęśliwych rozbitych rodzin i nie chcianego potomstwa.

Nic dziwnego, że superseks stał się tak wielkim problemem dla miejskiej super małpy. Nic dziwnego, że tak często się go nadużywa. Może on dostarczyć człowiekowi najwyższej satysfakcji fizycznej i emocjonalnej. Ale gdy coś źle się układa, seks może być dla człowieka przyczyną największych cierpień. Poszerzając jego zakres, wzbogacając go i manipulując nim, człowiek zwiększył możliwości seksu jako źródła satysfakcji, ale też jako źródła udręki. Niestety, nie ma w tym nic dziwnego. W wielu innych sferach zachowania ludzkiego spotyka-

my się z tym samym zjawiskiem. Na przykład opieka medyczna, przynosząca tak oczywiste korzyści, nie jest pozbawiona skutków negatywnych. Rozwój tej opieki łatwo może wpłynąć na wzrost przeludnienia, co z kolei prowadzi do zwiększenia liczby chorób mających swoje źródła w stresie. Innym skutkiem może być zwiększona wrażliwość na ból. Członek plemienia z Nowej Gwinei lepiej znosi wyrwanie włóczni z uda niż członek superplemienia usunięcie drzazgi z palca. Ale nie jest to sygnał do odwrotu. Jeżeli nasza zwiększona wrażliwość może działać w dwóch kierunkach, musimy skierować ją we właściwym. Obecnie trzymamy sprawy w swoich rękach, lub raczej w mózgach, i na tym polega ogromna zmiana. Napięta lina, po której stąpa nasz gatunek i usiłując przetrwać, wykonuje różne niebezpieczne sztuczki, podnosi się coraz wyżej i wyżej. Coraz większe są niebezpieczeństwa, ale też silniejszy dreszczyk emocji. Jedyne kruczki tkwi w tym, że przemianie plemion w superplemiona towarzyszyło usunięcie naturalnej, i biologicznej siatki ubezpieczającej. Teraz już tylko od nas j zależy, czy nie spadniemy z liny i nie zabijemy się. Przejęliśmy we władanie ewolucję i nikogo prócz siebie samych nie możemy już winić. Wciąż nosimy w sobie siłę naszych właściwości zwierzęcych, ale też i zwierzęce słabości. Im lepiej je zrozumiemy, im lepiej pojmiemy, jak ogromne wyzwania rzuca nam sztuczny świat ludzkiego zoo -tym większą mamy szansę na sukces.

4. GRUPY SWOICH I GRUPY OBCYCH

Pytanie: Jaka jest różnica między czarnymi tubylcami, którzy ćwiartują białego misjonarza, a zgrają białych linczujących bezbronno Murzyna? Odpowiedź: Niewielka, a dla ofiar -żadna. Bez względu na przyczyny, wyjaśnienia czy motywy -podstawowy mechanizm zachowania jest ten sam: członkowie grupy swoich atakują członka z grupy obcych.

Zagłębiając się w ten temat, wchodzimy w dziedzinę, w której trudno nam będzie zachować obiektywizm. Przyczyna jest oczywista: każdy z nas jest członkiem jakiejś grupy swoich trudno badać problem konfliktów między grupowych, nie stając -nawet nieświadomie -po którejś stronie. Jednak zarówno ja, dopóki nie skończę pisać tego rozdziału, jak i czytelnik, póki nie skończy go czytać, musimy wyjść poza nasze grupy i spojrzeć z góry na ludzkie pole bitewne nieuprzedzonym okiem wznoszącego się nad nim Marsjanina. Nie będzie o łatwe i muszę od razu jasno stwierdzić, że nic z tego, co tu napiszę, nie powinno być odczytane jako faworyzowanie jakiejś grupy kosztem innej albo jako próba uznania, że jedna grupa jest w jakiś niewątpliwy sposób lepsza od innej.

Używając dość prymitywnego argumentu z dziedziny ewolucji, można by powiedzieć, że jeśli dwie grupy ludzi wchodzą we wzajemny konflikt i jedna z nich niszczy drugą, to zwycięzca odnosi biologiczny sukces nad pokonanym. Ale jest to spojrzenie ograniczone i argumentu tego nie można użyć, jeśli potraktuje się gatunek jako całość. Spojrzenie szersze pozwala j sobie uzmysłwić, że gatunek jako całość odniósłby jeszcze większy sukces, gdyby ci sami ludzie potrafili współzawodniczyć ze sobą, żyjąc obok siebie w pokoju.

Nam potrzebne jest właśnie to szersze spojrzenie. Jeżeli wydaje się nam ono oczywiste, to jest tu sporo do wyjaśnienia. Nie należymy do gatunków rozmnażających się na skalę masową przez tarło, jak niektóre rodzaje ryb, które jednorazowo produkują tysiące małych, z których większość jest skazana na zagładę, a jedynie kilka przeżywa. U ludzi w procesie rozmnażania nie liczy się ilość, lecz jakość, co oznacza mniejszą liczbę potomstwa, ale za to dłuższy niż u innych stworzeń okres pielęgnacji, dbałości i starań o nie. Blisko dwadzieścia lat poświęcania sił rodzicielskich potomkowi, a następnie narażenie go na zasztyletowanie, zastrzelenie, spalenie czy zbombardowanie przez cudze potomstwo, trzeba uznać, zupełnie niezależnie od innych względów, za całkowicie nieracjonalne z punktu widzenia skuteczności działania. A jednak w okresie nieco dłuższym niż jedno stulecie (od roku 1820 do 1945) nie mniej niż 59 milionów istot ludzkich zostało zabitych w takich czy

innych konfliktach między grupowych. To jest właśnie rzecz trudna do wyjaśnienia, skoro umysł ludzki uważa za oczywistą myśl, że lepiej byłoby żyć w pokoju. Opisujemy te zabójstwa, mówiąc, że ludzie zachowują się "jak zwierzęta", ale gdyby się nam udało znaleźć dzikie zwierzę, które wykazywałoby oznaki takiego działania, byłoby stosowniej powiedzieć, że zachowuje się ono jak ludzie. W rzeczywistości jednak takiego stworzenia nie można znaleźć. Mamy tu do czynienia z jeszcze jedną wątpliwą wartością cechą, która czyni z człowieka gatunek unikatowy.

Z biologicznego punktu widzenia człowiek ma wrodzone poczucie konieczności obrony samego siebie, swojej rodziny i swojego plemienia. Człowiek zmuszony jest do tego, i to w sposób bezwzględny, jako tworzący pary, terytorialnie ograniczony i żyjący w grupie ssak naczelny. Jeżeli jemu samemu, jego rodzinie lub jego plemieniu zagraża jakaś przemoc, w naturalny sposób zareaguje on kontr przemocą. Jak długo istnieje szansa odparcia ataku, biologicznym obowiązkiem człowieka jest próba uczynienia tego za pomocą wszystkich dostępnych mu środków. Wiele innych stworzeń znajduje się w identycznej sytuacji, ale w warunkach naturalnych ilość rzeczywistej przemocy fizycznej jest ograniczona. Zwykle jest to niewiele więcej niż groźba użycia przemocy, na którą odpowiedzią jest podobna kontr groźba. Jak się wydaje, gatunki stosujące rzeczywistą przemoc wyniszczyły się wzajemnie, co jest dla nas lekcją, której nie powinniśmy zignorować.

Wydaje się to dość proste, ale ostatnie kilka tysięcy lat historii człowieka nadmiernie obciążało nasz bagaż ewolucyjny. Człowiek jest wciąż człowiekiem, a rodzina rodziną, ale plemię nie jest już plemieniem. Jest ono superplemieniem. Jeśli mamy w ogóle zrozumieć brutalność naszych konfliktów narodowych, ideowych i rasowych, musimy jeszcze raz przeanalizować istotę sytuacji superplemiennej. Widzieliśmy już niektóre rodzaje się w niej napięcia, a więc agresje związane z walką o status. Obecnie musimy przyjrzeć się temu, w jaki sposób stworzyła ona i wzmocniła napięcia zewnętrzne, a więc między jedną grupą a drugą.

Jest to historia pełna bolesnych szczegółów. Pierwszy krok stanowiło osiedlenie się w stałych miejscach zamieszkania. W ten sposób uzyskaliśmy coś, czego należało bronić. Nasi najbliżsi krewni, małpy, żyją zwykle w wędrownych stadach. Każde stado zajmuje pewne własne terytorium, w obrębie którego ciągle jednak zmienia miejsce pobytu. Jeżeli dwie grupy spotkają się ze sobą, grożąc sobie nawzajem, nie dochodzi do jakichś poważniejszych incydentów. Po prostu oddalają się od siebie i każda grupa zajmuje się swoimi sprawami. Gdy pradawni ludzie ograniczyli swoje terytoria, należało uszczelnić system obronny. Ale w dawnych czasach obszary były tak ogromne, a ludzi tak mało, że wystarczało miejsca dla

wszystkich. Nawet późniejsze, liczniejsze już plemiona wciąż posługiwały się prostą i prymitywną bronią. Przywódcy w większej mierze osobiście uczestniczyli w konfliktach. (Gdyby dzisiejsi przywódcy sami musieli służyć na pierwszej linii frontu, o ileż ostrożniejsze i bardziej "humanitarne" byłyby ich wcześniejsze decyzje. Chyba nie będzie to nadmierny cynizm, jeśli stwierdzę, że to właśnie dlatego są oni tak chętni do wzniesienia "drobnych" wojen, a tak bardzo lękają się wielkich wojen nuklearnych. Zasięg broni jądrowej spowodował, że znów znaleźli się oni na pierwszej linii frontu. Może więc zamiast likwidacji broni jądrowej powinniśmy żądać zniszczenia betonowych schronów, które sobie już zbudowali dla własnej ochrony).

Następny wielki krok w kierunku jeszcze brutalniejszych konfliktów uczyniono, gdy z rolnika człowiek stał się mieszkańcem miasta. Dzięki podziałowi pracy i specjalizacji, które wówczas powstały, jedna kategoria ludzi mogła zostać przeznaczona wyłącznie do zabijania, co dało początek wojsku. Rozwój superplemion miejskich przyspieszył tempo wydarzeń. Rozrost struktury społecznej stał się tak gwałtowny, że postęp w jednej dziedzinie łatwo wyprzedzał rozwój w innej dziedzinie. Bardziej zrównoważony układ sił w obrębie plemienia ustąpił wyraźnej niestabilności, charakterystycznej dla nierówności społecznych w superplemieniu. Wraz z rozkwitem i ekspansją różnych cywilizacji grupy musiały się konfrontować nie z równorzędnymi rywalami, z którymi musieliby postępować rozważnie, posługując się zrytualizowanymi formami gróźb stosowanych w ubijaniu targu, ale ze słabszymi i bardziej zacofanymi grupami, które można było z łatwością zaatakować. Przerzucając atlas historyczny, bez trudu można odczytać smutne dzieje marnotrawstwa i rozrzutności -budowania i niszczenia, ponownego budowania i ponownego niszczenia. Miało to oczywiście pewne niezamierzone dobre strony, takie jak mieszanie się ludności, które sprzyjało gromadzeniu wiedzy i rozprzestrzenianiu się nowych idei. Co prawda lemieszem przekuto na miecze, ale dzięki intensywnej pracy nad nowymi rodzajami broni udoskonalano wszelkie inne urządzenia. Koszty były jednak ogromne.

Rozwój superplemion sprawił, że rządzenie rozprzestrzeniającą się, a przy tym coraz liczniejszą ludnością stawało się coraz trudniejsze. Rosły napięcia związane z przeludnieniem, a frustracje wyścigu o superstatus nasilały się. Gromadziło się przy tym coraz więcej powstrzymanej agresji, która szukała ujścia. Potężnego ujścia dostarczały konflikty międzygrupowe.

Tak więc dla współczesnego przywódcy wojna ma wiele dobrych stron, których nie miała dla przywódcy z epoki kamiennej. Przede wszystkim nie musi on ryzykować unurzania się we krwi. Dalej, ludzie, których wysyła na wojnę, nie są jego osobistymi znajomymi. Na

wojnę idą specjaliści, a pozostała ludność może prowadzić normalne życie codzienne. Prowodrzy, spragnieni walki z powodu napięć płynących z warunków życia w superplemieniu, mogą sobie prowadzić swoją wojnę nie ukierunkowując jej przeciwko superplemieniu. Posiadanie zaś wroga zewnętrznego czyni z przywódcy bohatera, jednoczy naród i pozwala zapomnieć o niepokojach wewnętrznych przysparzających tyle kłopotów każdemu przywódcy.

Byłoby naiwnością sądzić, że przywódcy są na tyle superludźmi, iż nie ulegają takim czynnikom. A jednak głównym czynnikiem jest tu ciągle żądza utrzymania statusu wodza i podniesienia go na jeszcze wyższy poziom. Niewątpliwie największym problemem jest nienadążanie niektórych superplemion za rozwojem, o czym wyżej wspomniałem. Jeśli jedno superplemie, dzięki lepszym zasobom naturalnym lub większej przemyślności wyprzedzi inne o długość skoku, musi dojść do konfliktu. Grupa wyżej rozwinięta tak czy inaczej będzie się starała zapanować nad grupą mniej zaawansowaną, ta zaś tak czy inaczej będzie się przed tym bronić. Grupa lepiej rozwinięta jest ekspansywna z samej swej natury i po prostu nie potrafi pozostawić spraw swojemu biegowi i zająć się tylko własnymi problemami. Próbuje ona wyrzucić wpływ na inne grupy, obejmując nad nimi dominację bądź "pomagając" im, Jeżeli nie uda jej się na tyle zdominować rywali, aby utracili swoją tożsamość i zostali całkowicie wchłonięci przez wyżej rozwinięte superplemie (co jest często niemożliwe ze względu na warunki geograficzne), powstanie sytuacja niestabilna. Jeżeli wyżej rozwinięte superplemie pomaga innym grupom i wzmacnia je, ale robi to według ich własnych wzorów, to w końcu nadejdzie dzień, kiedy staną się one na tyle silne, aby się zbuntować i zrzucić z siebie dominację superplemienia, stosując własną broń i własne metody.

Przywódcy innych potężnych i wysoko rozwiniętych superplemion pilnie obserwują scenę, pragnąc się upewnić, czy ekspansja nie okaże się zbyt udana. Mogłoby to bowiem zachwiać *ich* pozycję międzyplemienną.

Wszystko to odbywa się pod niedostrzegalnym, ale zawsze obecnym płaszczykiem ideologii. Czytając oficjalne dokumenty, nikt nie wpadłby na to, że chodzi tu zawsze o kwestię ambicji i statusu przywódców. Z pozoru zawsze jest to kwestia ideałów, zasad moralnych, różnych filozofii społecznych czy wierzeń religijnych. Ale dla żołnierza, przyglądającego się swojej uciętej nodze albo trzymającego w rękach własne wnętrze, oznacza to zawsze to samo: zmarnowane życie. A poszło to tak łatwo nie tylko dlatego, że jest on zwierzęciem potencjalnie agresywnym, ale też w wysokim stopniu gotowym do współpracy. Cała ta mowa o obronie zasad superplemienia dotarła do niego tylko dlatego, że chodziło o udzielenie pomocy przyjaciom. W napięciu wojennym, w obliczu

bezpośredniego widomego zagrożenia ze strony grupy obcych, znacznie umocniła się więź między nim a jego towarzyszami broni. Zabijał więc raczej po to, aby ich nie zawieść, a nie z jakiejś innej przyczyny. Pradawna lojalność plemienna była w nim tak silna, że w decydującym momencie nie miał innego wyjścia.

Przy naciskach panujących w obrębie superplemienia, przy przeludnieniu całego świata i przy nierównomiernym postępie różnych superplemion nie ma wielkiej nadziei na to, aby nasze dzieci dorosły, nie wiedząc, czym jest wojna. Skóra ssaka naczelnego stała się już dla ludzkiego zwierzęcia zbyt ciasna. Jego naturalne wyposażenie nie wystarcza już do zmagania się z nienaturalnym środowiskiem, które sam stworzył. Tylko niezwykły wysiłek umysłowy pozwoli mu teraz uratować sytuację. Pewne oznaki można już czasem tu i ówdzie zauważyć, ale ich pojawianiu się w jednym miejscu towarzyszy zanik w innym. Co więcej, jesteśmy na tyle elastyczni jako gatunek, że zawsze udaje nam się jakoś zneutralizować wstrząsy i wyrównać straty, tak by nie wyciągnąć wniosków z brutalnych lekcji. Największe i najbardziej krwawe wojny, jakie znamy, na dłuższą metę spowodowały jedynie niewielkie i nieregularne załamania na krzywej obrazującej nieustanny wzrost zaludnienia świata. Po każdej wojnie następuje szybki przyrost liczby urodzeń i ludzkość szybko nadrabia straty. Ten olbrzym regeneruje się niczym pokrojona glista i żwawo posuwa się do przodu.

Co sprawia, że dany człowiek, uznany za jednego z "nich", musi zginąć, zabity jak szkodliwy robak, innego zaś trzeba bronić jak ukochanego brata? Co sprawia, że jednego uznaje się za członka grupy obcych, a drugiego za członka grupy swoich? Jak rozpoznajemy "ich"? Najłatwiej jest oczywiście, jeśli należą oni do zupełnie innego superplemienia, o innych obyczajach, odmiennym wyglądzie, posługującego się obcym językiem. Wszystko jest u nich tak odmienne od tego, co jest u "nas", że bardzo łatwo dokonać wielkiego uproszczenia, uznając ich wszystkich za złowrogich łajdaków. Siły spajające, które pozwoliły utrzymać grupę w całości jako osobne i dobrze zorganizowane społeczeństwo, służą też do oddzielenia "ich" od "nas" i wzbudzają lęk, że "ich" nie znamy, niczym Szekspirowski smok, "który dokoła szerzy postrach, wszakże / Bardziej w podaniach niż w rzeczy istnieje".

Takie grupy stanowią najbardziej oczywisty obiekt wrogości. Ale przypuśćmy, żeśmy ich zaatakowali i pokonali. Co wtedy? Albo przypuśćmy, że nie ośmielamy się zaatakować. Przypuśćmy, że, z jakichś powodów, utrzymujemy pokój w stosunkach z innymi superplemionami. Co wówczas dzieje się w grupie swoich? Przy dużej dozie szczęścia możemy utrzymywać pokój i dalej skutecznie i konstruktywnie współpracować w obrębie własnej grupy. Wewnętrzne siły spajające, nawet w braku wsparcia w postaci zagrożeń ze strony grupy obcych, mogą być wystarczające, by zapewnić nam jedność. Ale właściwe

superplemieniu napięcia i stresy będą na nas oddziaływać i jeśli walka o wewnętrzną dominację przybierze zbyt ostry charakter, a poddani na najniższym szczeblu doświadczą zbyt wielkiego ucisku lub nędzy, wkrótce zaczną pojawiać się rysy. Gdy istnieją duże nierówności między poszczególnymi podgrupami, co jest nieuchronne w każdym superplemieniu, zdrowe dotąd współzawodnictwo nagle przybiera formę przemocy. Powstrzymana agresja podgrup, która nie łączy się z powstrzywaną agresją innych podgrup przeciwko wspólnemu obcemu wrogowi, wyładowuje się w formie zamieszek, prześladowań i buntów.

Historia dostarcza wiele takich przykładów. Gdy Imperium Rzymskie podbiło świat (w granicach, jakie wówczas znano), jego pokój wewnętrzny legł w gruzach z powodu całej serii wojen domowych i innych zaburzeń. Nie inaczej działo się w Hiszpanii, gdy utraciła ona zdolność dokonywania podbojów i przestała wysyłać ekspedycje kolonialne. Istnieje niestety stosunek odwrotnie proporcjonalnej zależności między wojnami zewnętrznymi a niesnaskami wewnętrznymi. Implikacja jest tu dość wyraźna i polega na tym, że w obu przypadkach znajduje ujęcie ten sam rodzaj niewyżytej energii, która przejawia się w agresji. Jedynie znakomicie funkcjonująca struktura superplemienna może zapobiec jednocześnie obu tym zjawiskom.

Łatwo rozpoznać "ich", gdy należą do zupełnie innej kultury, ale jak to uczynić, jeśli "oni" należą do naszej własnej kultury? Ani język, ani obyczaje, ani wygląd wewnętrznych "ich" nie są nam obce czy nie znane, i dlatego zwykle etykietowanie i klasyfikowanie staje się trudne. Ale jest możliwe. Dana podgrupa może nie wydawać się obca czy nie znana innej podgrupie, ale często zupełnie wystarczy, że wygląda *inaczej*.

Różne klasy społeczne, różne grupy zawodowe, różne grupy wiekowe mają własne, charakterystyczne sposoby mówienia, ubierania się i zachowania. Każda podgrupa tworzy własne obyczaje językowe czy własny slang. Styl ubierania się również podlega wyraźnemu zróżnicowaniu i gdy między podgrupami dochodzi do działań wojennych albo gdy sytuacja do tego zmierza (co stanowi ważną wskazówkę), sposób ubierania staje się jeszcze bardziej ostentacyjny i agresywny, stanowiąc znak rozpoznawczy. W pewnym sensie strój zaczyna przypominać mundur: Oczywiście w razie rzeczywistej wojny domowej strój istotnie staje się mundurem, ale nawet w konfliktach na mniejszą skalę charakterystyczne jest pojawianie się atrybutów paramilitarnych, takich jak opaski, odznaki, a nawet herby i emblematy. Używają ich chętnie zwłaszcza tajne organizacje o agresywnym nastawieniu.

Te i inne podobne atrybuty skutecznie służą utrwalaniu tożsamości wewnątrz podgrupy, ułatwiając jednocześnie innym grupom tego samego superplemienia rozpoznanie i

sklasyfikowanie określonych osób jako "ich". Ale są to jedynie środki doraźne. Po zakończeniu konfliktu odznaki można pozdejmować. Osoby, które je nosiły, mogą szybko wtopić się z powrotem w tłum. Nawet najsilniejsze urazy szybko mogą ulec wyciszeniu i zapomnieniu. Zupełnie inaczej wygląda jednak sytuacja, gdy podgrupa ma wyraźnie odmienne cechy *fizyczne*, jeżeli jej członkowie mają, dajmy na to, czarną lub żółtą skórę, kędzierzawe włosy czy skośne oczy, których to odznak nie można zdjąć z siebie, choćby ich właściciele byli nastawieni najbardziej pokojowo. Jeśli w danym superplemieniu znajdują się oni w mniejszości, automatycznie patrzy się na nich z góry, jako na "onych". Bez znaczenia wydaje się fakt, że są to bierni "oni". Żadne zabiegi mające na celu wyprostowanie włosów czy korektę rysów twarzy nie są w stanie przekazać podstawowego komunikatu: "Nie izolujemy się w sposób rozmyślny i agresywny". Pozostaje jeszcze zbyt wiele innych, rzucających się w oczy cech charakterystycznych.

Racjonalnie patrząc, pozostała część superplemienia doskonale wie, że te fizyczne "odznaki" nie są zamierzone, ale sposób reagowania na nie jest racjonalny. Reakcja ta jest głęboko zakorzeniona w grupie swoich i gdy powstrzymana agresja gwałtownie szuka jakiegoś celu, znajdujący się w pobliżu nosiciele tych fizycznych odznak muszą naturalnie odegrać rolę kozłów ofiarnych.

Wkrótce powstaje błędne koło. Jeżeli nie popełniających żadnego wykroczenia osobników o wyróżniających ich cechach fizycznych traktuje się jako wrogą podgrupę, to wkrótce zaczynają się oni zachowywać tak, jakby właśnie taką grupę stanowili. Socjologowie nazywają to "samo spełniającym się proroctwem". Posługując się fikcyjnym przykładem, zilustruję, jak działa taka przepowiednia. Oto jej etapy:

1. Zobacz, jak ten zielonowłosy mężczyzna bije dziecko.
2. Ten zielonowłosy mężczyzna jest okropny.
3. Wszyscy zielonowłosy mężczyźni są okropni.
4. Zielonowłosy mężczyzna atakuje każdego.
5. Jest tu jeszcze jeden zielonowłosy mężczyzna -przyłóż mu, zanim on przyłoży tobie. (Zielonowłosy mężczyzna, który nie zrobił nic, żeby sprowokować agresję, broniąc się, oddaje ciosy).
6. Proszę -oto dowód: zielonowłosy mężczyźni naprawdę są okropni.
7. Bić wszystkich zielonowłosych mężczyzn.

Ta eskalacja przemocy jest zabawna, jeśli manifestuje się ją w tak uproszczony sposób. Owszem, to jest zabawne, ale pokazuje, jak ludzie naprawdę myślą. Nawet półgłówki dojrzy fałszywość rozumowania występującą w wymienionych siedmiu -jak grzechy główne - etapach eskalacji uprzedzeń grupowych, a jednak proces ten tak przebiega.

Jeśli przez odpowiednio długi okres, bez żadnej przyczyny atakuje się zielonowłosych mężczyzn, stają się oni rzeczywiście okropni. Pierwotne fałszywe proroctwo samo spełnia się i w ten sposób staje się prawdziwe.

Jest to prosta historyjka o tym, jak grupa obcych staje się zniechęconym wrogiem. Opowiadanie to ma dwa morały: nie powinno się mieć zielonych włosów, ale jeśli już się je ma, trzeba dać się osobiście poznać ludziom nie mającym zielonych włosów, żeby przekonali się, że naprawdę nie jest się okropnym. Sedno sprawy tkwi w tym, że gdyby mężczyzna, który bił dziecko, nie miał żadnych szczególnych cech wyróżniających go od innych mężczyzn, byłby oceniany *jako jednostka*, bez żadnych szkodliwych uogólnień. Gdy jednak „już się stało”, dalsze szerzenie się wrogości grupowej można powstrzymać jedynie, opierając się na indywidualnym traktowaniu ludzi o zielonych włosach w osobistych kontaktach i znajomościach. Inaczej -wrogość między grupami utrwali się, a osobnicy o zielonych włosach, nawet ci najbardziej pokojowo usposobieni, będą odczuwali potrzebę zespalania sił, a nawet wspólnego zamieszkania, aby móc się razem bronić. Stąd już tylko krok do rzeczywistej przemocy. Kontakty między członkami obu grup staną się coraz rzadsze i wkrótce zaczną się oni zachowywać tak, jakby należeli do dwóch różnych plemion. Zielonowłosi zaczną głosić, że są dumni ze swoich zielonych włosów, podczas gdy w rzeczywistości, zanim stały się one ich wyróżnikiem, nie przypisywali im nigdy najmniejszego znaczenia.

Cechą, dzięki której zielone włosy jako sygnał działają tak silnie, jest ich widoczność. Nie mają one nic wspólnego z prawdziwą osobowością i stanowią tylko przypadkową etykietkę. Nigdy nie powstała przecież żadna grupa "swoich", która składałaby się z ludzi mających grupę krwi O, mimo że podobnie jak kolor skóry czy rodzaj włosów jest to czynnik wyróżniający i zdeterminowany genetycznie. Wyjaśnienie jest proste: patrząc na kogoś, nie jesteśmy w stanie stwierdzić, że ma on grupę krwi O. Dlatego niechęć do jakiegoś znanego nam osobnika mającego grupę krwi O i bijącego dziecko trudno przenieść na innych ludzi o grupie krwi O.

Wydaje się to zupełnie oczywiste, a mimo to leży u podstaw owej nieracjonalnej nienawiści między grupami swoich i obcych, która zwykle określana jest jako "nietolerancja rasowa" niektórym ludziom trudno. zrozumieć, że w rzeczywistości zjawisko to ma

zupełnie nic wspólnego z istotnymi różnicami rasowymi w sferze osobowości, inteligencji czy emocji J (na istnienie których nie ma, jak dotąd, żadnych dowodów), lecz jest to jedynie kwestia nieistotnych i nie mających dziś żadnego znaczenia, powierzchownych "odznak" związanych z rasą. Wychowane w superplemieniu czarnych białe czy żółte dziecko; otrzymując równe szanse, będzie sobie radziło tak samo dobrze jak dzieci czarnoskóre i tak samo jak one będzie się zachowywało. Prawdziwa jest też sytuacja odwrotna. Jeżeli wydaje się, że tak nie jest, to tylko dlatego, że prawdopodobnie nie mają one równych szans. Aby to zrozumieć, musimy wiedzieć coś niecoś o tym, jak powstały rasy.

Trzeba zacząć od tego, że sam wyraz "rasa" nie jest najszcześliwszy. Zbyt często jest on nadużywany. Mówi się o "rasie" ludzkiej, białej "rasie", a nawet o "rasie" brytyjskiej, mając na myśli, odpowiednio, gatunek ludzki, podgatunek białych i superplemię brytyjskie. W zoologii nazwa gatunek odnosi się do populacji zwierząt, które mogą się swobodnie rozmnażać między sobą, ale nie mogą tego robić lub nie robią tego z innymi populacjami. W miarę obejmowania swoim i zasięgiem coraz szerszych obszarów geograficznych gatunek 1. wykazuje tendencję do rozpadania się na pewną liczbę rozpoznawalnych podgatunków. Gdy sztucznie zmiesza się te podgatunki, wciąż swobodnie rozmnażają się one między sobą i mogą znów zlać się w jeden typ, choć normalnie się to nie zdarza. Różnice klimatyczne i inne wpływają na kolor, kształt i rozmiary rozmaitych podgatunków żyjących w różnych rejonach naturalnych. Na przykład, grupa żyjąca w rejonie chłodnym może składać się z osobników cięższych i bardziej krępych. U innej grupy, zamieszkującej rejony leśne, mogą pojawić się cętkowane futra, które dobrze ją maskują w pstrobarwnym świetle. Różnice fizyczne ułatwiają podgatunkowi wtopienie się w środowisko, dzięki czemu każdy podgatunek najlepiej czuje się na jakimś własnym terenie. W miejscach, gdzie poszczególne zasięgi podgatunków przylegają do siebie, nie powstają żadne sztywne granice między podgatunkami, które stopniowo stapiają się ze sobą. Jeżeli jednak z upływem czasu podgatunki zaczynają się coraz bardziej różnić od siebie, może ostatecznie dojść do tego, że w pobliżu granic swych zasięgów przestają się one krzyżować między sobą i wówczas tworzy się wyraźna linia podziału. Ewentualne późniejsze rozszerzenie zasięgów, prowadzące do częściowego ich zachodzenia na siebie, nie doprowadzi już do mieszania się tych podgatunków, ponieważ wyodrębniły się One tymczasem w prawdziwe gatunki. Rozprzestrzeniając się po całej kuli ziemskiej, gatunek ludzki, jak inne zwierzęta, zaczął wykształcać wyraźne podgatunki. Trzy spośród nich, grupa biała (europeidzi), czarna (negroidzi) i żółta (mongoloidzi), osiągnęły przewagę liczebną nad innymi. Z dwóch innych pozostały tylko resztki, jako cienie dawnych grup. Są to australoidzi, czyli aborygeni

australijscy, oraz kapoidzi, czyli Buszmeni południowoafrykańscy. Te dwa ostatnie podgatunki występowały dawniej na dużo większych obszarach (Buszmeni zajmowali niegdyś większą część Afryki), ale poza ich bardzo ograniczonymi obecnymi terytoriami zostały całkowicie wytepione. Według niedawno przeprowadzonych badań nad względną liczebnością tych podgatunków ich obecna populacja w skali światowej przedstawia się następująco:

europoidzi: 1757 milionów

mongoloidzi: 1171 milionów

negroidzi: 216 milionów

australoidzi: 13 milionów

kapoidzi: 126 tysięcy

Ponieważ cała ludność kuli ziemskiej wynosi nieco ponad 3 miliardy istot ludzkich, podgatunek białych uzyskał przewagę, stanowiąc ponad 55 procent tej całości. Tuż za nimi, na drugim miejscu, znajduje się podgatunek mongoloidów, stanowiący 37 procent, a na trzecim - podgatunek negroidów, stanowiący 7 procent całej ludności.

Z konieczności są to liczby przybliżone, ale dają pewien obraz ogólny. Nie mogą one być dokładne, gdyż, jak już wyjaśniałem, cechą charakterystyczną podgatunku jest to, że stapia się on ze swymi sąsiadami tam, gdzie zasięgi podgatunków stykają się. Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej z powodu coraz lepiej funkcjonujących środków transportu. Nastąpił ogromny wzrost migracji i przemieszczania się poszczególnych populacji podgatunkowych i w ten sposób w wielu rejonach wystąpiły bogate mieszaniny i następują dalsze procesy stapiania się. Dzieje się tak mimo antagonizmów między grupami swoich i grupami obcych i mimo krwawych konfliktów, a jest to możliwe, ponieważ poszczególne podgatunki mogą wciąż swobodnie i skutecznie kojarzyć się między sobą.

Gdyby rozmaite podgatunki ludzkie przez dłuższy czas pozostawały w geograficznej izolacji, mogłoby dojść do podziału na odrębne gatunki, z których każdy, zgodnie ze zwykłym biegiem rzeczy byłby przystosowany pod względem fizycznym do swych lokalnych warunków klimatycznych i środowiskowych. Jednakże coraz sprawniejsze pod względem technicznym panowanie ludzi nad środowiskiem w połączeniu z coraz większą ich mobilnością sprawiły, że ów ewolucyjny kierunek rozwoju stracił rację bytu. Z zimnym klimatem uporano się różnymi sposobami, poczynając od ubrań i kominków, a kończąc na centralnym ogrzewaniu. Upały pokonano przy użyciu lodówek i klimatyzacji. I tak na

przykład fakt, że Murzyn ma więcej od europeida chłodzących go gruczołów potowych, szybko przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie przystosowawcze.

Z czasem nieuchronnie dojdzie do tego, że różnice między podgatunkami, czyli charakterystyczne "cechy rasowe", ulegną wymieszaniu i całkowicie zanikną. Nasi następcy w odległej jeszcze przyszłości będą ze zdumieniem oglądać stare fotografie swych dziwnie wyglądających przodków. Niestety będzie to rzeczywiście trwało bardzo długo, a to z powodu irracjonalnego nadużywania tych cech wyróżniających jako odznak wzajemnej wrogości. Jedynym sposobem na przyspieszenie tego wartościowego i w końcu nieuchronnego procesu ponownego mieszania się podgatunków byłoby ustanowienie i przestrzeganie zakazu kojarzenia się par w obrębie własnego podgatunku, w skali światowej. Ponieważ jest to czysta fantazja, rozwiązanie tego problemu musi polegać na racjonalnym podejściu do tego, co wciąż jest obciążone wielkim ładunkiem emocjonalności. Że jest to problem łatwy do rozwiązania, przekonamy się, dokonując krótkiego przeglądu skrajnych przejawów irracjonalizmu, z którymi można się spotkać przy tak wielu okazjach. Wystarczy posłużyć się tylko jednym przykładem, a mianowicie następstwami sprowadzenia niewolników murzyńskich do Ameryki.

Między wiekiem szesnastym a dziewiętnastym niemal 15 milionów Murzynów zostało schwytych i przewiezionych do Ameryki jako niewolnicy. Niewolnictwo nie było niczym nowym, ale skala tej operacji i fakt, że została ona przeprowadzona przez superplemiona wyznające wiarę chrześcijańską, nadały jej zupełnie wyjątkowy charakter. Wymagało to szczególnego nastawienia umysłowego, które mogło powstać jedynie jako reakcja na różnice fizyczne między biorącymi w tym udział podgatunkami. Było to możliwe pod warunkiem postrzegania Murzynów afrykańskich jako, dosłownie, jakiegoś nowego gatunku zwierząt domowych.

Jednak początki wcale takie nie były. Pierwsi podróżnicy dokonujący penetracji czarnej Afryki byli zdumieni wspaniałością i doskonałością organizacji murzyńskiego imperium. Istniały tam wielkie miasta, nauka i szkolnictwo, dobrze rozwinięta administracja i panował znaczny dobrobyt. Dzisiaj niejednemu trudno w to uwierzyć, pozostało bowiem już niewiele dowodów i wciąż utrzymuje się propagandowy wizerunek nagich, leniwych i krwiożerczych dzikusów. Łatwo natomiast zapomina się o pięknie sztuki Beninu. Wygodniej było ukryć i skazać na zapomnienie dawne opisy cywilizacji murzyńskiej.

Rzućmy tylko przelotne spojrzenie na starożytne miasto murzyńskie w Afryce Zachodniej zwiedzane ponad trzysta pięćdziesiąt lat temu przez dawnego podróżnika holenderskiego. Pisał on:

Miasto jawi się ogromne: Wchodząc doń, idziemy wielką, szeroką ulicą... siedem lub osiem razy szerszą od ulicy Warmoes w Amsterdamie... widać tam wiele bocznych ulic, które także biegną prosto.

...Porządne domostwa w tym mieście stoją równo obok siebie, tak jak domy w Holandii.

Dwór królewski jest ogromny, a wewnątrz jest tam wiele dziedzińców otoczonych krużgankami...

...Zapuściłem się tak daleko w głąb dworu, że zostawiłem za sobą aż cztery takie wielkie dziedzińce i gdziekolwiek spojrzełam, widziałem długi szereg bram prowadzących do dalszych miejsc...

Z opisu tego nie wyłania się wioska lepianek. Nie można też uznać twórców tych starożytnych cywilizacji zachodnioafrykańskich za nieokrzesanych, wymachujących włóczniami dzikusów. Już w połowie czternastego wieku pewien bywał w świecie podróżnik pozostawił wzmiankę o tym, jak łatwo się tam podróżuje, bez trudu otrzymując wyżywienie i wygodny nocleg. Napisał on że: "Ich kraj jest zupełnie bezpieczny. Ani podróżny, ani tubylec nie muszą obawiać się niczego ze strony rozbójników czy też innych napastników".

Kontakty, które nastąpiły po tych dawnych podróżach, rychło przybrały postać eksploatacji ekonomicznej. Na skutek napaści, rabunków, ucisku i wywózek "dzikusów" ich cywilizacja legła w gruzach. To, co pozostało z ich obróconego w proch świata, istotnie odpowiadało wyobrażeniom o rasie barbarzyńskiej i nie zorganizowanej. Opisy stały się teraz liczniejsze i nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że kultura negroidów była późniejszej natury. Wygodnie było pomijać milczeniem to, że owa późniejsza kultura była właśnie skutkiem brutalności i zachłanności białych. Chrześcijańskie sumienie nie miało natomiast większych trudności z zaakceptowaniem poglądu, że czarna skóra (i inne różnice fizyczne) są zewnętrznymi znakami niższości umysłowej. Wtedy bezpiecznie już można było dowodzić, że niższość murzyńskiej kultury była wyłącznie skutkiem ich umysłowej niższości. A jeśli tak, to eksploatacja nie może poniżyć, gdyż stworzenia tej "rasy" już ze swojej natury stoją niżej. Sumienie chrześcijańskie mogło spać spokojnie dzięki "dowodowi", że Murzyni są niewiele lepsi od zwierząt.

Teoria ewolucji Darwina jeszcze wówczas nie istniała. Wyznawcy religii chrześcijańskiej zajmowali wobec istnienia negroidalnej odmiany ludzi jedną z dwóch postaw: monogenetyczną albo poligenetyczną. Monogenetycy uważali, że wszystkie typy

człowieka miały jedno źródło, ale dawno, dawno temu Murzynów dotknął jakiś kataklizm fizyczny i moralny i dlatego najważniejsza jest dla nich rola niewolników. Pewien amerykański ksiądz piszący w połowie ubiegłego wieku wyraził to bardzo jasno:

Murzyn jest zastanawiającym rodzajem stworzenia, obecnie nie podlegającego zmianom, podobnie jak liczne rodzaje zwierząt domowych. Murzyn pozostanie tym, czym jest, chyba że jego kształt zmieni się na skutek domieszki innych ras, na samą myśl o czym robi się niedobrze. Jego inteligencja stoi znacznie niżej od inteligencji białych, o ile wiemy, jest on też całkowicie niezdolny do kierowania sobą. Został powierzony naszej opiece. Niewolnictwo znajduje swoje uzasadnienie w Piśmie Świętym... Określa ono obowiązki panów i niewolników... możemy skutecznie bronić naszych instytucji słowem pochodzącym od Boga.

Tymi słowami urągał on wczesnym reformatorom chrześcijaństwa. Jakim prawem ośmielali się przeczyć Biblii?

Stwierdzenie to, sformułowane po kilku wiekach eksploatacji, dowodzi, że dawna wiedza o starożytnej cywilizacji Murzynów afrykańskich uległa kompletnemu utajnieniu. Gdyby jej nie utajniono, kłamstwo, że są oni "całkowicie niezdolni do kierowania sobą", wyszłoby na jaw, a cała argumentacja i wszelkie uzasadnienia stałyby się bezzasadne.

Monogenetykom przeciwstawiali się poligenetycy. Uważali oni, że każda "rasa" została stworzona osobno i posiada własne cechy, własne zalety i własne wady. Niektórzy poligenetycy uważali, że świat zamieszkuje aż piętnaście różnych gatunków człowieka. Mieli też coś dobrego do powiedzenia o Murzynach:

Doktryna poligenetyczna przypisuje późniejszym rasom ludzkim bardziej zaszczytne miejsce niż doktryna przeciwna. Być z natury późniejszym od innego człowieka pod względem inteligencji, siły czy też urody to nic upokarzającego. Można natomiast czuć wstyd z powodu doznania fizycznego lub moralnego upadku, zejścia na niższy poziom w hierarchii stworzeń.

To także napisano w połowie dziewiętnastego wieku. Mimo różnicy postaw, podejście poligenetyczne także oczywiście akceptuje ideę niższości rasowych. Tak czy owak, Murzyni byli przegrani.

Stare postawy zachowały się w różnych formach nawet wtedy, gdy amerykańscy niewolnicy oficjalnie uzyskali wolność. Gdyby Murzyni nie byli obarczeni swymi fizycznymi "odznakami" przynależności do grupy obcych, łatwo zostaliby zasymilowani w swym nowym superplemieniu. Jednak wyglądem odróżniają się od reszty, co pozwoliło zachować dawne uprzedzenia. Pierwotne kłamstwo o trwałej niższości kultury murzyńskiej, która miała być

dowodem niższości samych Murzynów, wciąż tkwiło w umysłach ludzi białych. Dlatego zachowywali się stronnico, stale zaogniając wzajemne stosunki. Takie zachowanie cechowało nawet ludzi najbardziej inteligentnych i skądinąd oświeconych. Tak więc ciągła niechęć do czarnych trwała, a urzędowo przyznana im wolność jeszcze ją wzmogła. Musiało to mieć określone następstwa. Ponieważ niższość Murzynów amerykańskich była tylko mitem, wymyślonym za sprawą fałszowania historii, gdy tylko opadły z nich kajdany niewoli, przestali oni zachowywać się jak istoty niższe. Zaczęli się więc buntować, żądając prawdziwej, a nie tylko urzędowej równości.

Te próby spotkały się z irracjonalnymi gwałtownymi sprzeciwami. Rzeczywiste kajdany zastąpiono kajdanami niewidzialnymi. Stali się ofiarami segregacji, dyskryminacji i wszelkich upokorzeń. Przewidzieli to dawni reformatorzy. W ubiegłym wieku, całkiem serio, zgłoszono propozycję, aby wszystkich Murzynów amerykańskich "sowiec wynagrodzić" za to, co przeszli, i wysłać z powrotem do rodzimej Afryki. Ale na skutek takiej repatriacji nie wróciliby oni już przecież do swej dawnej cywilizacji, która dawno została zniszczona. Nie było możliwości powrotu w przeszłość i naprawienia zaistniałych szkód. Pozostali więc, usiłując zdobyć to, co im się należy. Po wielokrotnych niepowodzeniach zaczęli tracić cierpliwość i dlatego w okresie ostatniego półwiecza ich bunty nie tylko nie wygasły, lecz jeszcze przybrały na sile. Liczba czarnych Amerykanów wzrosła do około dwudziestu milionów. Stanowią zatem siłę, z którą należy się liczyć, a murzyńscy ekstremiści zostali zepchnięci na polityczne pozycje już nie zwykłej równości, lecz wręcz czarnej dominacji. Wydaje się, że nad Ameryką zawisła groźba drugiej wojny domowej.

Myślący biali Amerykanie rozpaczliwie walczą ze swoimi uprzedzeniami, ale trudno jest zapomnieć okrutną indoktrynację z lat dzieciństwa. Podstępnie wkrada się teraz nowy rodzaj uprzedzenia, jakim jest nadkompensacja. Poczucie winy rodzi przesadną życzliwość i przesadną chęć pomagania, co prowadzi do stosunków równie fałszywych jak poprzednie. Murzyni wciąż nie są traktowani jako odrębne osoby ludzkie. Wciąż postrzegani są jak członkowie grupy obcych. Fałsz ten znakomicie uchwycił pewien amerykański piosenkarz murzyński, który po przesadnie entuzjastycznej owacji białej widowni w ostrych słowach zwrócił na to uwagę mówiąc, że czuliby się głupio, gdyby się okazało, że jest on białym człowiekiem z pomalowaną na czarno twarzą.

Dopóki podgatunki ludzkie nie przestaną traktować innych podgatunków ludzkich tak, jakby z cech fizycznych wynikać miały jakieś cechy umysłowe, i dopóki na kolor skóry nie przestanie się reagować jak na celowo noszoną odznakę wrogiej grupy obcych, nie ustaną bezsensowne, wyniszczające i krwawe konflikty. Nie staram się dowieść, że możliwe jest

panowanie światowego braterstwa wszystkich ludzi. Jest to marzenie naiwne i utopijne. Człowiek jest stworzeniem plemiennym i dlatego wielkie superplemiona zawsze będą ze sobą współzawodniczyły. W dobrze zorganizowanych społeczeństwach przybierze to kształt zdrowej i ożywczej konkurencji, ostrego współzawodnictwa w handlu czy w sporcie, co uchroni różne społeczności od zastoju i monotonii. Przyrodzona ludziom agresywność nie przekroczy miary i będzie istniała jako dopuszczalna forma samo potwierdzania się. Do wybuchu przemocy będzie mogło dojść jedynie wtedy, gdy ciśnienie stanie się zbyt silne.

Zarówno na poziomie ambicjonalnym, jak na poziomie przemocy, zwykłe (nie oparte na różnicach rasowych) grupy swoich i grupy obcych będą się ze sobą konfrontować na swoich własnych warunkach. Uczestniczący w tym ludzie nie pojawią się tam przypadkowo. Zupełnie inna jest natomiast sytuacja człowieka, który jedynie z powodu koloru skóry, przypadkowo, choć z konieczności, został uwikłany w przynależność do jakiejś grupy. Nie może on sam decydować o tym, czy chce czy nie chce należeć do danego podgatunku. A jednak traktuje się go tak, jakby został członkiem jakiegoś klubu lub też wstąpił do wojska. Jak już powiedziałem, można tylko mieć nadzieję, że w przyszłości mieszanie się odrębnych niegdyś pod względem geograficznym podgatunków, dokonujące się coraz częściej na całym świecie, doprowadzi do coraz większego stapiania się ich cech charakterystycznych, aż w końcu uderzające i widzialne różnice całkowicie znikną. Tymczasem odwieczna potrzeba kierowania agresji nagromadzonej w grupach swoich na grupy obcych będzie zaciemniać sytuację i sprawiać, że w dalszym ciągu podgatunki obcych będą odgrywać narzucone im role. Nasze irracjonalne emocje nie pozwalają na dokonywanie właściwych rozróżnień. Niezbędny jest do tego racjonalny i logiczny rozum.

Posłużyłem się przykładem położenia Murzynów amerykańskich, gdyż problem ten ma obecnie wyjątkowe znaczenie. Nie jest on niestety niczym niezwykłym. Ten wzorzec powtarza się na całej kuli ziemskiej od czasu, gdy człowiek stał się rzeczywiście mobilny. Nawet przy braku jakichkolwiek różnic podgatunkowych, które mogłyby podtrzymywać i podsycać konflikt, szerzą się niezwykle wprost przejawy irracjonalizmu. Wciąż istnieje fałszywe przekonanie, że członek innej grupy musi posiadać jakieś szczególne *dziedziczne* cechy charakteru typowe dla tej grupy. Jeśli nosi on inny mundur, mówi innym językiem, czy wyznaje inną religię, w zupełnie nielogiczny sposób mniema się, że ma on również inną, *biologicznie* uwarunkowaną osobowość. Niemcom przypisuje się obsesyjną pracowitość i metodyczność, Włochom nadmierną emocjonalność, Amerykanom ekspansywność i ekstrawertyzm, Brytyjczykom sztywność i rezerwę, Chińczykom pokrętność i tajemniczość,

Hiszpanom wyniosłość i pychę, Szwedom uprzejmość i łagodność, Francuzom gderliwość i kłótniwość, i tak dalej.

Uogólnienia te są prostackimi uproszczeniami, nawet jeśli traktować je jako powierzchowną ocenę nabytych cech narodowych, ale niestety idą one jeszcze dalej, gdyż wielu ludzi uznaje je za wrodzone wyróżniki charakteryzujące odnośne grupy obcych. W gruncie rzeczy jest to rezultat przekonania, że jakimś cudem "rasy" zaczęły się od siebie różnić i że doszło przy tym do jakichś zmian genetycznych. Jest to jednak tylko absurdalne myślenie życzeniowe związane ze skłonnością do tworzenia grup swoich. Ponad dwa tysiące lat temu bardzo dobrze wyraził to Konfucjusz, mówiąc: "Ludzie mają podobną naturę; to ich zwyczaje oddalają ich od siebie". Ale zwyczaje, jako część tradycji kulturowej, można łatwo zmienić, gdy tymczasem popęd do tworzenia grup swoich bazuje na czymś bardziej trwałym i fundamentalnym, co skutecznie oddzielałoby "ich" od "nas". Jako gatunek pomysłowy, gdy nie potrafimy odkryć takich różnic, nie wahamy się je wynaleźć. Z niesłychaną pewnością siebie beztrąsko pomijamy fakt, że prawie wszystkie narody, które wymieniłem, powstały ze skomplikowanych kombinacji wcześniejszych przegrupowań, wielokrotnych krzyżówek i zrostów. Ale na logikę nie ma tu miejsca.

Cały gatunek ludzki ma wspólny zakres wzorców zachowania. Między poszczególnymi ludźmi istnieją wprost kolosalne podstawowe podobieństwa. Paradoksalnie, jednym z tych podobieństw jest tendencja do tworzenia odrębnych grup "swoich" i poczucie, że jest się w jakiś bardzo zasadniczy sposób innym od członków pozostałych grup. Poczucie to jest tak silne, że poglądy, jakie wyraziłem w tym rozdziale, wcale nie spotykają się z powszechną aprobatą. Jednak dowody dostarczone przez biologię są nie do odparcia i im prędzej trafią ludziom do przekonania, tym bardziej może staniemy się tolerancyjni w naszych stosunkach międzygrupowych.

Jedną z naszych cech biologicznych, na którą już zwracałem uwagę, jest wynalazczość. Nie ulega wątpliwości, że wciąż będziemy próbowali wyrażać siebie w jakiś nowy sposób i że te nowe sposoby będą się różnić w różnych grupach i w różnych epokach. Ale dotyczy to cech powierzchownych, które łatwo się pojawiają i równie łatwo znikają. Mogą one powstawać i znikać w okresie życia jednego pokolenia, podczas gdy wyłonienie się jednego gatunku, takiego jak nasz, i wytworzenie jego podstawowych cech biologicznych trwa setki tysięcy lat. Cywilizacja liczy sobie zaledwie dziesięć tysięcy lat. Zasadniczo wciąż jesteśmy tym samym rodzajem zwierzęcia, jakim byli nasi myśliwscy przodkowie. Wszyscy bez wyjątku, bez względu na narodowość, wyrosliśmy z tego samego pnia. Wszyscy mamy te same podstawowe cechy genetyczne. Pod fantastyczną różnaitością kostiumów, które

nosimy, wszyscy jesteśmy nagimi małpami. Lepiej o tym pamiętać, gdy przystępujemy do zabawy w te nasze grupowe gry w "swoich" i "obcych" i gdy ciśnienie życia w superplemieniu sprawia, że gry te wymykają się spod naszej kontroli, a my stwierdzamy, że jesteśmy o krok od przelewu krwi ludzi, którzy pod innym przybraniem są dokładnie tacy sami jak my.

To powiedziawszy, mimo wszystko czuję się nieswojo. Łatwo zgadnąć dlaczego. Z jednej strony stwierdziłem, że popęd do tworzenia grup swoich jest nielogiczny i irracjonalny, z drugiej zaś strony - że warunki na tyle dojrzały do walki międzygrupowej, że jedyną naszą nadzieją jest zastosowanie racjonalnej i inteligentnej kontroli. Zachęcanie do racjonalnego kontrolowania czegoś, co jest głęboko nieracjonalne, może być poczytane za przejaw nieuzasadnionego optymizmu z mojej strony. Być może postulat, by procesy racjonalnego myślenia wykorzystać chociaż jako pomoc w rozwiązaniu problemu, nie jest zbyt wygórowany, ale na razie nic nie wróży, że one same pozwolą tego dokonać. Wystarczy tylko spojrzeć, jak najzupełniej sprawni intelektualnie protestujący walą po głowach policjantów transparentami z napisem "Powstrzymać przemoc", albo posłuchać, jak najznakomitsi politycy popierają wojnę "dla zapewnienia pokoju" - aby sobie uświadomić, że racjonalna powściągliwość w takich sprawach jest czymś dość złudnym. Trzeba tu czegoś innego. Musimy znaleźć jakiś sposób, by u źródła rozprawić się z tymi czynnikami naszej ludzkiej kondycji, które tak skutecznie pchają nas do używania przemocy w stosunkach międzygrupowych.

Jakkolwiek mówiłem już, co to takiego, warto jeszcze przypomnieć, co mam na myśli.

1. Powstanie odrębnych terenów zamieszkałych przez poszczególne plemiona ludzi.
2. Rozrost plemion do wymiarów przeludnionych superplemion.
3. Wynalezienie broni, która zabija na odległość.
4. Odsunięcie przywódców od bitewnych linii frontu.
5. Utworzenie klasy specjalistów od zabijania.
6. Powiększające się różnice w rozwoju techniki w poszczególnych grupach.
7. Wzrost poziomu frustracji spowodowanej walką o status w obrębie grup.
8. Wymagania stawiane przywódcom w rywalizacji o status międzygrupowy.
9. Utrata tożsamości społecznej w obrębie superplemion.
10. Wykorzystanie popędu do współpracy w celu udzielenia pomocy atakowanym współtowarzyszom.

Jedynym czynnikiem, który celowo pomiąłem, jest rozwój różniących się między sobą ideologii. Jako zoologowi, opisującemu człowieka jako zwierzę, trudno mi, w omawianym kontekście, poważnie traktować takie różnice. Przy ocenie sytuacji międzygrupowej, w kategoriach rzeczywistego zachowania, nie zaś w kategoriach słownego teoretyzowania, różnice ideologiczne tracą ważność w porównaniu z czynnikami o charakterze bardziej podstawowym. Różnice te są po prostu gorączkowo poszukiwanymi, górnolotnymi wymówkami, usprawiedliwiającymi zabijanie tysięcy istnień ludzkich.

Przyglądając się tej liście, trudno ustalić, od czego należałoby zacząć poprawianie sytuacji. Czynniki te jako całość zdają się stanowić niewzruszoną gwarancję, że ludzie zawsze będą toczyli między sobą wojny.

Pamiętając, że obecny stan opisałem jako ludzkie zoo, można przypuszczać, iż spojrzenie do wnętrza klatek w zwierzęcym zoo zaowocuje jakimś pomysłem. Jak już mówiłem, dzikie zwierzęta żyjące w naturalnym środowisku nie zabijają zwykle masowo zwierząt tego samego gatunku. Ale co z tymi, które żyją w klatkach? Czy w małpiarniach zdarzają się masakry, czy w lwiarniach dokonuje się linczów, czy wreszcie w ptaszarniach odbywają się walne bitwy? Z pewnymi dość oczywistymi zastrzeżeniami, na pytania te trzeba odpowiedzieć twierdząco. Walki o status między stałymi członkami zbyt licznych grup zwierząt w zoo są krwiożercze, a jak dobrze wie każdy pracownik zoo, sytuacja staje się jeszcze gorsza, gdy do takiej grupy próbuje się wprowadzić nowe osobniki. Istnieje wielkie niebezpieczeństwo, że intruzi staną się przedmiotem zbiorowej wrogości i będą bezlitośnie prześladowani. Traktuje się ich jak najeźdźców, stanowiących nieprzyjacielską grupę obcych. Niewiele mogą one zrobić, aby powstrzymać wściekle napaści na siebie. Jeżeli zamiast paradować dumnie w środku klatki, przycupną dyskretnie w kącie, i tak zostaną stamtąd wypłoszone i zaatakowane.

Nie dzieje się tak zawsze i wszędzie. Zwykle zdarza się to wtedy, gdy mamy do czynienia z gatunkiem najbardziej narażonym na nienaturalne stłoczenie, wynikające z braku dostatecznej przestrzeni. Jeżeli dotychczasowi stali mieszkańcy klatki mają więcej miejsca, niż potrzebują, z początku mogą oni atakować nowo przybyłych i wypędzać ich ze swoich ulubionych miejsc, ale nie będą ich dalej prześladować w zbyt brutalny sposób. Obcym pozwala się zwykle w końcu zamieszkać w jakiejś innej części pomieszczenia. Jeśli jednak przestrzeń jest zbyt mała, tego rodzaju stabilizacja stosunków nigdy nie nastąpi i nieuchronnie dojdzie do rozlewu krwi.

Można to zademonstrować w doświadczeniu. Cierniki (*Gas-terosteus*) to rybki trzymające się swych terenów w okresach tarła. Samczyk buduje gniazdo w wodorostach i

broni swego obszaru przed innymi samcami tego samego gatunku. Pojedynczy samczyk -w tej sytuacji samotnik -reprezentuje "grupę swoich", a każdy z jego posiadających swój własny rewir rywali reprezentuje "grupę obcych". W naturalnych warunkach, w rzece lub w potoku, każdy samczyk ma dość miejsca i dlatego wrogie spotkania z rywalami ograniczają się na ogół do pogróżek i kontr pogróżek. Dłuższe walki zdarzają się rzadko. Jeżeli nakłoni się dwóch samczyków do zbudowania gniazd po dwóch przeciwnych stronach długiego akwarium, wówczas, podobnie jak w warunkach naturalnych, spotykają się one, grożąc sobie nawzajem, mniej więcej w połowie zbiornika. Nie dochodzi do żadnych gwałtownych akcji. Jeśli jednak wodorosty do budowania gniazd umieści się w małych ruchomych pojemnikach, prowadzący doświadczenie może te pojemniki przysuwać coraz bliżej do siebie i w ten sposób sztucznie zagęszczać terytoria. W miarę zbliżania się pojemników gospodarze terytoriów coraz wyraźniej demonstrują swoją wrogość. Wreszcie system zrytualizowanych pogróżek i kontr pogróżek puszcza i wywiązuje się ostra walka. Zapominając o budowaniu gniazd, samczyki nieustannie skubią i szarpią sobie wzajemnie płetwy, a ich światek staje się nagle sceną przemocy i brutalności. Gdy tylko jednak znów odsunie się od siebie pojemniki z gniazdami, powraca pokój, a pole bitwy ucisza się, by znów stać się areną nieszkodliwych, zrytualizowanych demonstracji pogróżek.

Lekcja ta jest dość pouczająca. Gdy małe, pierwotne plemiona ludzi rozrosły się do wymiarów superplemion, miało to w istocie niemal taki sam skutek, jakbyśmy na sobie samych przeprowadzali doświadczenie z ciernikami. Jeżeli ludzkie zoo ma się czegoś nauczyć od zwierzęcego zoo, musimy zwrócić szczególną uwagę na ten drugi etap tego doświadczenia.

Patrząc bezlitośnie obiektywnym okiem ekologa na pełne przemocy zachowanie się gatunków żyjących w warunkach przeludnienia, dostrzega się działanie samo ograniczającego się mechanizmu adaptacyjnego. Mechanizm ten można opisać jako okrucieństwo wobec jednostki, a dobrodziejstwo dla gatunku. Każdy bowiem gatunek ma swój własny "pułap" populacyjny. Jeżeli liczby przekroczą ten pułap, następuje jakieś śmiertelne działanie interwencyjne, w wyniku którego liczby znowu maleją. Warto w tym świetle przez chwilę zastanowić się nad przemocą w świecie u ludzi.

Być może zabrzmiało to bezdusznie, ale wydaje się, że od chwili gdy po raz pierwszy, jako gatunek, doświadczyliśmy przeludnienia, gorączkowo poszukujemy sposobów skorygowania tej sytuacji i zmniejszenia liczby nas samych tak, by była ona właściwsza z biologicznego punktu widzenia. Działanie to nie ogranicza się do masowych rzezi takich jak wojny, zamieszki, bunty i rewolucje. Pomysłowość nasza nie zna granic. W ciągu wieków

wprowadziliśmy całą gamę czynników samo ograniczających. Społeczeństwa pierwotne, gdy tylko po raz pierwszy doświadczyły przeludnienia, zaczęły stosować takie praktyki jak dzieciobójstwo, ofiary z ludzi, okaleczenia, polowanie na głowy, kanibalizm i wszelkiego rodzaju wymyślne tabu seksualne. Nie były to oczywiście świadomie wdrażane sposoby kontroli liczby ludności, a jednak tej kontroli służyły. Ich stosowanie nie doprowadziło wszakże do całkowitego zahamowania stałego wzrostu liczby ludności.

Wraz z postępem w dziedzinie techniki podnosił się poziom ochrony życia jednostki ludzkiej i te pierwotne praktyki stopniowo zarzucano. Jednocześnie przypuszczono zmasowany atak na choroby, susze i głód. Gdy tylko liczba ludności w poszczególnych rejonach znów zaczęła gwałtownie wzrastać, pojawiły się nowe czynniki samo ograniczające. Po zaniku dawnych tabu seksualnych pojawiły się nowe filozofie seksu, których skutkiem było zmniejszenie płodności w poszczególnych grupach. Szerzyły się nerwice i psychozy, negatywnie wpływając na rozrodczość. Zwiększyła się liczba niektórych praktyk seksualnych, takich jak antykoncepcja, masturbacja, stosunki oralne i analne, homoseksualizm, fetyszyzm i sodomia, które dostarczają zaspokojenia seksualnego bez ryzyka zapłodnienia. Niewolnictwo, więzienia, kastracja i dobrowolny celibat także odgrywały tu swoją rolę.

Na domiar wszystkiego jednostki traciły życie za sprawą szeroko stosowanej aborcji, morderstw, wyroków śmierci, zabójstw, samobójstw, pojedynków oraz dobrowolnego uprawiania niebezpiecznych lub groźących śmiercią sportów i innych rozrywek.

Wszystkie te praktyki służą wyeliminowaniu wielkiej liczby istnień ludzkich spośród naszych przeludnionych społeczności albo przez zapobieganie zapłodnieniom albo przez niszczenie życia. Zebrane razem, praktyki te tworzą listę przeraźliwą. A jednak ostatecznie okazało się, że nawet w połączeniu z licznymi wojnami i rewolucjami są one całkowicie nieskuteczne. Gatunek ludzki nie tylko przetrwał to wszystko, ale dalej rozmnaża się nadmiernie w coraz szybszym tempie.

Całe lata uparcie wzbraniano się przed uznaniem tych tendencji za przejaw jakiegoś biologicznego defektu w mechanizmach ustalania liczebności populacji. Wciąż nie chcemy uznać, że jest to sygnał ostrzegawczy przed wielką katastrofą ewolucyjną. Robi się wszystko, co możliwe, aby zdelegalizować owe praktyki i aby chronić prawo każdego człowieka do życia i do rozmnażania się. A następnie, gdy populacje ludzkie osiągają rozmiary coraz bardziej niemożliwe do opanowania, wykorzystujemy naszą pomysłowość i rozwijamy postęp techniczny, który pomaga jakoś znosić te nienaturalne warunki społeczne.

Z upływem każdego dnia, w którym pojawiają się na świecie kolejne setki tysięcy mieszkańców naszego globu, walka staje się coraz trudniejsza. Jeżeli nie zmienią się obecne

postawy, wkrótce stanie się ona zupełnie niemożliwa. Pojawi się coś, co zredukuje liczbę ludności bez względu na nasze działania. Może będzie to wzrost liczby zaburzeń umysłowych, który doprowadzi do szaleńczego i nie kontrolowanego stosowania broni o wielkiej sile rażenia. Może będą to rosnące zanieczyszczenia chemiczne albo błyskawicznie szerzące się choroby, przybierające rozmiary epidemii. Stoimy przed wyborem: albo pozostawić sprawy losowi, albo próbować wpłynąć na zmianę sytuacji. Jeżeli wybierzemy to pierwsze, istnieje realne niebezpieczeństwo, że potężny i gwałtowny wzrost demograficzny zniszczy w końcu nasze systemy obronne: jego skutki będą porównywalne do skutków pęknięcia tamy i będzie to całkowita zagłada naszej cywilizacji. Jeżeli zaś wybierzemy drugą z tych możliwości, potrafimy może zapobiec katastrofie. Jak przeto zabieramy się do wdrożenia właściwej metody kontrolowania sytuacji?

Pomysł narzucenia jakiegoś szczególnego sposobu powstrzymującego rozmnażanie się i skierowanego przeciw życiu jest sprzeczny z właściwym nam duchem współpracy. Jediną możliwością jest zachęcanie do dobrowolnej kontroli. Moglibyśmy oczywiście promować i nobilitować coraz bardziej niebezpieczne sporty i rozrywki. Moglibyśmy popularyzować samobójstwa ("Nie czekaj na chorobę -umieraj teraz, bezboleśnie!"), albo też wykreować nowy, wyrafinowany kult celibatu ("czystość to radość"). Można by zaangażować agencje reklamowe na całym świecie do szerzenia przekonywającej propagandy, która wychwalałaby zalety natychmiastowej śmierci.

Nawet gdybyśmy zastosowali takie nadzwyczajne (a z biologicznego punktu widzenia marnotrawne środki), należy wątpić, czy pozwoliłyby one w znaczący sposób ograniczyć przyrost ludności. Ogólnie preferowaną dziś metodą jest technicznie zaawansowana antykoncepcja, wraz z dodatkowym drugorzędym środkiem, jakim jest legalne usuwanie niechcianych ciąż. Jak zaznaczyłem w jednym z poprzednich rozdziałów, istnieje walny argument na rzecz antykoncepcji: zapobieganie życiu jest lepsze niż leczenie jego patologii. Jeżeli coś ma zginąć, to lepiej, jeśli jest to jajo i sperma aniżeli myślące i czujące istoty ludzkie, które kochają i są kochane i które już się stały integralną i współzależną częścią społeczeństwa. W odpowiedzi na argument, że stosując antykoncepcję w karygodny sposób marnuje się nie zapłodnione jaja i spermę, można zauważyć, że sama natura jest zdumiewająco rozrzutna, gdyż kobieta produkuje w ciągu swojego życia około czterystu jaj, a dojrzały mężczyzna -co dzień dosłownie miliony plemników zawartych w spermie.

Niemniej są tu też i strony ujemne. Podobnie jak niebezpieczne sporty stwarzają duże prawdopodobieństwo selektywnego eliminowania ze społeczeństwa najśmielszych jednostek, a samobójstwa eliminują jednostki najbardziej wrażliwe i pełne wyobraźni, tak też

antykoncepcja może najbardziej dotknąć najinteligentniejszych. Aby działać skutecznie, w obecnym stadium rozwoju środki antykoncepcyjne wymagają pewnego poziomu inteligencji, rozwagi i samokontroli. Osoby o niższym poziomie inteligencji mają więc większe szanse na dokonanie pomyłek. A jeśli ich poziom inteligencji jest w jakiejś mierze zależny od czynników genetycznych, czynniki te zostaną przekazane ich potomstwu. Powoli, lecz nieuchronnie te cechy genetyczne będą się szerzyć i rozpowszechniać w skali społeczeństwa jako całości. Aby więc współczesna antykoncepcja mogła funkcjonować skutecznie i równomiernie, należy dokonać szybkiego postępu w kierunku wynalezienia jak najmniej skomplikowanych technik, wymagających minimum starań i uwagi. Wraz z tym trzeba przpuścić atak na postawy społeczne wobec praktykowania antykoncepcji. Jedynie zmniejszenie zapłodnień o 150 tysięcy dziennie w stosunku do stanu obecnego zapewniłoby utrzymanie ludności kuli ziemskiej na obecnym, i tak już nadmiernie wysokim poziomie.

Co więcej, jakkolwiek samo to zmniejszenie już jest wystarczająco trudnym celem, należałoby jeszcze doprowadzić do tego, aby kontrola urodzeń była równomierna na całym świecie, a nie skupiała się jedynie w kilku najbardziej oświeconych regionach. Jeżeli postęp w dziedzinie antykoncepcji będzie nierównomierny pod względem geograficznym, doprowadzi on nieuchronnie do destabilizacji i tak już bardzo napiętych stosunków między poszczególnymi regionami.

Rozważając te problemy, trudno być optymistą, ale przypuśćmy na chwilę, że udało się je w jakiś cudowny sposób rozwiązać i że ludzka populacja utrzymuje się mniej więcej na obecnym poziomie. Oznacza to, że jeśli uwzględnimy całą lądową powierzchnię kuli ziemskiej i wyobrazimy sobie, że jest ona równomiernie zaludniona, to i tak okaże się, że gęstość zaludnienia jest 600 razy większa niż w czasach człowieka pierwotnego. Nawet gdyby nam się udało zatrzymać przyrost ludności i w jakiś sposób rozgęścić ludzi na całym obszarze kuli ziemskiej, nie wolno się łudzić, że osiągniemy stan, który chociaż w przybliżeniu będzie przypominał warunki, w jakich rozwijali się nasi pradawni przodkowie. Gdybyśmy chcieli zapobiec wybuchom przemocy i wszelkim konfliktom, będziemy wciąż musieli podejmować olbrzymie wysiłki na rzecz samodyscypliny. Byłaby to jednak przynajmniej jakaś szansa. Jeżeli jednak beztrąsko dopuścimy do dalszego wzrostu zaludnienia, już wkrótce szansę tę zaprzepaścimy.

Na domiar złego, musimy też pamiętać, że owo sześćsetkrotne przekroczenie pierwotnego poziomu naturalnego jest tylko jednym z dziesięciu czynników usposabiających nas do wojen. Jest to perspektywa przerażająca, gdyż z dnia na dzień coraz bardziej realne staje się niebezpieczeństwo całkowitego zniszczenia obecnej cywilizacji.

Intrygujące jest rozważanie, co by się stało, gdybyśmy już naprawdę przestali istnieć. Czynimy tak wielkie postępy w rozwijaniu coraz skuteczniejszych technik wojny biologicznej i chemicznej, że broń jądrowa może już wkrótce stać się osobliwym zabytkiem. Gdy do tego dojdzie, urządzenia nuklearne zajmą miejsce właściwe broni konwencjonalnej i będą używane do wzajemnej nierozważnej wymiany ciosów między głównymi superplemionami. (W miarę powiększania się liczby państw nuklearnych "gorąca linia" stanie się niesłychanie skomplikowaną "gorącą siecią"). Powstała w ten sposób chmura radioaktywna okrywająca ziemię będzie roznosić śmierć wśród wszystkich form życia, na które spadnie deszcz lub śnieg. Jedynie Buszmeni afrykańscy i inne odległe grupy żyjące na jałowych terenach pustynnych będą miały szansę przetrwania. Jak na ironię, Buszmeni, wciąż żyjąc w prymitywnych warunkach właściwych wczesnym ludom myśliwskim, są dziś najbardziej upośledzoną grupą ludzką. Wydaje się, że oznacza to zacytowanie wszystkiego od nowa lub też jest znakomitym przykładem sprawdzenia się proroctwa, że cisi posiadają ziemię.

5. WPOJENIE I FAŁSZYWE WPOJENIE

Żyjąc w ludzkim zoo musimy wiele się uczyć i wiele pamiętać, ale wśród biologicznych maszyn do uczenia się umysł człowieka jest pod tym względem niezrównany. Mając do dyspozycji 14 miliardów ściśle ze sobą powiązanych i aktywnych komórek, jesteśmy w stanie przyswoić sobie i zmagazynować ogromną liczbę wrażeń.

Na co dzień maszyneria ta funkcjonuje bez żadnych zakłóceń, ale gdy na zewnątrz dzieje się coś niezwykłego, włącza się specjalny system do sytuacji nagłych. W warunkach superplemiennych wtedy właśnie sprawy przybierają niewłaściwy obrót. Są po temu dwie przyczyny. Z jednej strony ludzkie zoo, w którym żyjemy, jest dla nas osłoną przed niektórymi doświadczeniami. Zwykle nie zabijamy zwierzyny, lecz jedynie kupujemy mięso. Nie oglądamy trupów, bowiem przykrywa się je kocem lub chowa w jakiejś skrzyni. Oznacza to, że gdy bariery ochronne zostaną sforsowane przemocą, wywiera to na nasz mózg niezwykle silny wpływ. Z drugiej strony -przejawy przemocy występującej w superplemionach i forsującej te bariery przybierają często tak ogromne rozmiary, że nasze mózgi nie są przygotowane do zmagania się z nimi. Właśnie ten typ uczenia się w sytuacjach nagłych wart jest tego, aby przyjrzeć mu się dokładniej.

Każdy, kto kiedykolwiek brał udział w poważnym wypadku drogowym, łatwo zrozumie, o co mi chodzi. Najmniejszy i najbardziej przykry szczegół w ułamku sekundy zapada nam głęboko w pamięć i pozostaje tam do końca życia. Wszyscy marny osobiste doświadczenia tego typu. Na przykład, gdy miałem siedem lat, omal nie utopiłem się i do dziś pamiętam wszystko tak wyraziście, jakby to zdarzyło się dopiero wczoraj. Skutek tego doświadczenia z lat dzieciństwa był taki, że dopiero po trzydziestu latach byłem zdolny zmusić się do opanowania irracjonalnego lęku przed pływaniem. Jak wszystkie dzieci w okresie dojrzewania miałem później wiele różnych innych nieprzyjemnych doświadczeń, ale znakomita ich większość nie pozostawiła we mnie żadnych trwałych śladów.

Wydaje się więc, że idąc przez życie, marny do czynienia z dwoma rodzajami doświadczeń. Pierwszy to taki, w którym krótki kontakt z jakąś sytuacją wywiera niezatarty i niezapomniany wpływ, w drugim zaś powstaje jedynie ulotne wrażenie, które łatwo ulega zapomnieniu. Posługując się tymi terminami dość swobodnie, możemy określić ten pierwszy rodzaj jako uczenie się metodą traumatyczną, a ten drugi jako uczenie się metodą zwykłą. W uczeniu się metodą traumatyczną skutek jest zupełnie nieproporcjonalny do poprzedzającego doświadczenia. W uczeniu się metodą zwykłą doświadczenie musi się wielokrotnie

powtórzyć, aby jego wpływ był trwały. Brak wzmocnienia w zwykłym uczeniu się powoduje zanik reakcji, co nie zachodzi w uczeniu się metodą traumatyczną.

Próby zmodyfikowania uczenia się metodą traumatyczną napotykają wielkie trudności i łatwo mogą jeszcze pogorszyć sytuację, co nie grozi w uczeniu się metodą zwykłą. Dobrze ilustruje to mój własny przykład tonięcia. Im bardziej mi zachwalano rozkosze pływania, tym bardziej byłem mu niechętny. Gdyby ten pierwszy wypadek nie był dla mnie tak traumatyczny, zamiast reagować coraz bardziej negatywnie, reagowałbym coraz bardziej pozytywnie.

Chociaż tematem tego rozdziału nie są przeżycia traumatyczne, stanowią one pożyteczne dla nas wprowadzenie. Pokazują wyraźnie, że istota ludzka jest zdolna do specjalnego rodzaju uczenia się -niewiarygodnie szybkiego, trudnego do zmodyfikowania, niesłychanie trwałego, a przy tym nie wymagającego ćwiczenia celem uzyskania doskonałych wyników. Aż korci, aby sobie życzyć nabycia umiejętności takiego czytania książek, co pozwoliłoby na zawsze zapamiętać całą treść po zaledwie jednorazowym pobieżnym przejrzeniu. Jednakże! gdyby całe nasze uczenie się miało przebiegać w ten sposób, całkowicie stracilibyśmy poczucie wartości. Wszystko miałoby dla nas jednakowe znaczenie i cierpielibyśmy na nieumiejętność rozróżniania tego, co ważne, od tego, co nieważne. Szybkie i trwałe uczenie się jest możliwe jedynie w ważniejszych chwilach życia. Przeżycia traumatyczne, czyli urazy, są tylko jedną stroną medalu. Teraz pragnę go odwrócić i zbadać jego drugą stronę, którą można określić mianem "wpojenie" (*imprinting*).

Podczas gdy urazy są związane z bolesnymi doświadczeniami negatywnymi, wpojenie jest procesem pozytywnym. Zwierzę doświadczające wpojenia rozwija w sobie pozytywne przywiązanie do czegoś. Podobnie jak w urazach -proces szybko dobiega końca, jest nieodwracalny i nie wymaga dalszych wzmocnień. U ludzi zachodzi to między matką i dzieckiem.

Ponownie może się zdarzyć, gdy dziecko dorośnie i zakocha się. Przywiązanie się do matki, do dziecka lub do towarzysza życia są to trzy spośród najbardziej istotnych przejawów uczenia się, jakie są naszym udziałem w ciągu całego życia i one właśnie wyróżniają się tym, że otrzymują specjalne wsparcie ze strony mechanizmu wpojenia. W gruncie rzeczy słowo "miłość" określa powszechne emocje towarzyszące procesowi wpojenia. Zanim jednak wnikniemy głębiej w istotę tej sytuacji u ludzi, przyda nam się krótkie spojrzenie na inne gatunki.

Wiele młodych ptaków natychmiast po wykluciu się z jaja musi wyrobić w sobie przywiązanie do matki i nauczyć się ją rozpoznawać. Wtedy mogą one już podążać za nią i

bezpiecznie trzymać się blisko niej. Gdyby świeżo wyklute kurczątko lub kaczuśki nie miały tego, łatwo mogłyby się zgubić i zginąć. Są one zbyt aktywne i ruchliwe, by bez pomocy wpojenia matka mogła je utrzymać razem i chronić. Proces ten może się dokonać dosłownie w ciągu paru minut. Pierwszy duży ruchomy przedmiot dostrzeżony przez kurczaczki lub kaczuśki automatycznie staje się "matką". Oczywiście w normalnych warunkach jest to naprawdę ich matka, ale w warunkach doświadczalnych może to być niemal wszystko. Jeżeli pierwszym dużym ruchomym przedmiotem, który dojrzą kurczątko w inkubatorze, jest pociągany za sznurek pomarańczowy balon, będą one za nim podążały. Balon wkrótce staje się "matką". Proces wpojenia postępuje tak szybko, że jeśli po kilku dniach kurczątko otrzymają możliwość wyboru między owym pomarańczowym balonem a prawdziwą matką (która poprzednio była trzymana poza zasięgiem ich wzroku), wybiorą balon. Nie można znaleźć bardziej efektownego dowodu istnienia zjawiska wpojenia aniżeli widok stadka kurcząt doświadczalnych gorliwie drepających w ślad za pomarańczowym balonem i zupełnie nie zwracających uwagi na prawdziwą matkę, która znajduje się w pobliżu.

Gdyby nie tego rodzaju eksperymenty, można by dowodzić, że młode ptaki przywiązują się do swych naturalnych matek, ponieważ w ich obecności znajdują jakąś korzyść. Trzymanie się blisko matki daje ciepło, pożywienie, wodę i tak dalej. Ale pomarańczowe balony nie dają takich korzyści, a mimo to z łatwością, wyraziście uosabiają matkę.. Wpojenie nie jest więc kwestią reakcji na korzyści, jak w zwykłym uczeniu się, lecz jest to po prostu kwestia oglądu czegoś. Można by to nazwać "uczeniem się przez ogląd". Ponadto, inaczej niż w zwykłym uczeniu się, ma ono też okres krytyczny. Młode kurczaki i kaczuśki są podatne na wpojenie tylko przez krótki okres kilku dni po wykluciu się z jaja. Z upływem czasu zaczynają się bać dużych ruchomych przedmiotów i jeśli w tym okresie wpojenie nie nastąpi, później przychodzi im już ono z trudnością.

W miarę rozwoju młode ptaki uniezależniają się i przestają chodzić za matką. Ale wpływ wczesnego wpojenia nie zanika. Dzięki niemu nie tylko wiedzą, kto jest ich matką, ale też do jakiego należą gatunku. Już jako dorosłym ptakom pomaga im to dokonać wyboru partnera seksualnego spośród własnego, a nie jakiegoś obcego gatunku.

To także można udowodnić doświadczalnie. Jeżeli młode samczyki jakiegoś gatunku są wychowywane przez przybranych rodziców innego gatunku, to gdy dojrzeją, mogą próbować parzyć się z przedstawicielami przybranego, a nie z partnerami własnego gatunku. Nie jest to reguła, ale istnieje wiele takich przypadków. (Nie wiadomo jeszcze, dlaczego dzieje się tak tylko czasem).

Wśród zwierząt żyjących w niewoli ta podatność na związek z niewłaściwym gatunkiem może prowadzić do różnych dziwacznych sytuacji. Gdy synogarlice wychowywane przez gołębie osiągają dojrzałość płciową, nie zwracają uwagi na inne synogarlice, lecz usiłują parzyć się z gołębiami. Żyjący w zoo paw wychowany samotnie w pomieszczeniu dla żółwi olbrzymich, uporczywie dobierał się do zdezorientowanych gadów, ignorując świeżo przybyłą pawicę.

Określam to zjawisko mianem "fałszywego wpojenia".

Występuje ono powszechnie w sferze stosunków ludzko-zwierzęcych. Gdy niektóre zwierzęta, od urodzenia żyjące z dala od przedstawicieli swojego gatunku, wychowane są przez ludzi, mogą później reagować, nie tyle kłapiąc rękę, która je karmi, co raczej próbując z nią kopulować. Stwierdzono, że tak właśnie reagują gołębie. Nie jest to nowe odkrycie. Fakt ten znany jest od czasów starożytnych, kiedy to rzymskie damy trzymały małe ptaszki, aby w ten sposób się z nimi zabawiać. (Jak się wydaje, Leda miała większe aspiracje). Chowane w domu ssaki czasami obejmują ludzkie nogi i usiłują z nimi kopulować, o czym z przykrością przekonał się niejeden posiadacz psa. Dozorcy w zoo muszą się uważnie rozglądać podczas okresów godowych. Muszą być przygotowani na odpieranie awansów wszelkich zwierząt, od kochliwego emu do jelenia w czasie snu, jeśli przedstawiciele tych gatunków byli wcześniej odizolowani i wychowywani przez ludzi. Ku swemu zażenowaniu sam byłem kiedyś obiektem takich awansów ze strony ogromnej samicy panda. Zdarzyło się to w Moskwie, gdzie zorganizowałem jej spotkanie godowe z jedynym męskim przedstawicielem tego gatunku żyjącym poza Chinami. Samica zignorowała jego uporczywe zaloty, ale gdy wsunąłem rękę przez kraty i poklepałem ją po grzbiecie, zareagowała zadarciem ogona i przyjęciem wobec mnie pozycji zachęcającej, gdy tymczasem samiec stał tuż obok. Różnica między tymi zwierzętami polegała na tym, że samica została odizolowana od innych pand w młodszy niż samiec wiek. Samiec osiągnął dojrzałość jako panda należąca do pand, opisywana zaś tu samica jako panda należąca do ludzi.

Niekiedy "uczłowieczone" zwierzę sprawia wrażenie, jakby w swoich awansach seksualnych wobec ludzi było zdolne do rozróżnienia ich płci, ale może to być dość zwodnicze. Na przykład pewien indor z fałszywym wpojeniem usiłował parzyć się z mężczyznami, a nacierał na kobiety. Przyczyna tego okazała się dość niezwykła. Kobiety chodzą w spódnicach i noszą torebki. Agresywne indory okazują swoje zamiary seksualne za pomocą opuszczonych skrzydeł i koralów. W oczach indora z fałszywym wpojeniem spódnice stają się opuszczonymi skrzydłami, torebki zaś -koralami. Dlatego indor ten dostrzegał w kobietach rywali i dlatego atakował je, adresując swoje awanse do mężczyzn.

W ogrodach zoologicznych pełno jest zwierząt, które z powodu niewczesnej życzliwości opiekunów były pracowicie karmione i pieszczone ludzką ręką, a potem zostały umieszczone z powrotem w towarzystwie przedstawicieli własnego gatunku. Dla takich obłąskawionych samotników inni przedstawiciele tego samego gatunku stają się obcy i zdają się należeć do jakiegoś "innego", dziwnego i straszliwego gatunku. W pewnym zoo żyje dorosły szympan, który przez ponad dziesięć lat mieszka w jednej klatce z samicą. Badania wykazały, że samiec jest seksualnie sprawny, samica zaś, zanim umieszczono ją z nim w klatce, miała potomstwo. Ale ponieważ samiec był wychowywany przez człowieka w odosobnieniu, teraz zupełnie ją ignoruje. Nigdy nie siedzi obok niej, nie czyści jej ani nie usiłuje jej pokryć. Dla niego należy ona do innego gatunku. Wieloletnie przebywanie z nią niczego w nim nie zmieniło.

Zwierzęta takie mogą stać się niezwykle agresywne w stosunku do przedstawicieli własnego gatunku, nie dlatego, że traktują ich jako rywali, lecz dlatego, że widzą w nich obcych i wrogów. Przestają tu funkcjonować stosowane w normalnych sytuacjach rytuały, pozwalające na bezkrwawe rozwiązywanie konfliktów. Do klatki pielęgnowanej ludzką ręką i oswojonej samicy mangusty wpuszczono schwytanego na wolności samca, aby doprowadzić do ich rozmnożenia się, tymczasem ona zaatakowała go, gdy pojawił się w jej klatce. Po pewnym czasie wydawało się, że doszli do jakiegoś w miarę stabilnego stanu wzajemnej niezgody, ale samiec cierpiał chyba z powodu silnego stresu, wkrótce bowiem zapadł na chorobę wrzodową i zdechł. Natomiast samica zaraz potem odzyskała swoje dawne, pogodne usposobienie.

Wychowana przez człowieka tygrysica po raz pierwszy w życiu została umieszczona w klatce sąsiadującej z klatką schwytanego na wolności samca. Mogła na niego patrzeć i czuć jego zapach, ale nie mogło dojść do bezpośredniego spotkania. Zresztą i tak nic by z tego nie wyszło, bowiem była ona tak "uczłowieczona", że gdy tylko poczuła jego obecność, uciekła do najdalszego kąta klatki i za nic nie chciała się stamtąd ruszyć. Jak na tygrysięcę była to reakcja nienormalna, ale naturalna u przedstawiciela jej przybranego gatunku, czyli u człowieka, w ten sposób reagującego na spotkanie z tygrysem. Reakcja tygrysicy poszła jeszcze dalej, gdyż zwierzę przestało jeść i przez kilka dni odmawiało przyjmowania pożywienia. W końcu samiec został zabrany, ale musiało minąć jeszcze kilka tygodni, zanim zwierzę odzyskało aktywność i swoje zwykłe, przyjazne usposobienie, przejawiające się ocieraniem się o pręty klatki, co oznaczało, że domaga się głaskania i pieszczot opiekunów.

W pewnych warunkach hodowlanych u zwierzęcia rozwija się podwójna osobowość w sferze seksualizmu. Jeśli zwierzę jest wychowywane przez człowieka w obecności innych

okazów swego gatunku, po osiągnięciu dojrzałości może ono usiłować parzyć się zarówno z ludźmi, jak z innymi zwierzętami tego samego gatunku. Fałszywe wpojenie jest wtedy jedynie częściowe i łączy się z pewnym stopniem wpojenia prawidłowego. Byłoby to niemożliwe u zwierząt, u których proces wpojenia przebiega szybko, takich jak kaczuśki lub kurczaki, ale ssaki zwykle socjalizują się wolniej. Jest wtedy więcej czasu na podwójne wpojenie. Przekonująco udowodniły to bardzo skrupulatne amerykańskie badania na psach. U psów domowych faza socjalizacji trwa od dwudziestu do sześćdziesięciu dni. Jeżeli szczeniaki psów domowych całkowicie odizoluje się od ludzi, karmiąc je w tym okresie systemem zdalnie sterowanym, wyrastają one na zwierzęta niemal dzikie. Jeżeli jednak wychowuje się je w obecności zarówno psów jak ludzi, wykazują potem przyjazne usposobienie w stosunku do jednych i do drugich.

Małpki wychowywane w całkowitym odosobnieniu zarówno od innych małp jak od innych gatunków, nie wyłączając ludzi, w późniejszym życiu niemal nie potrafią nawiązać żadnych kontaktów stadnych. Umieszczone razem z aktywnymi seksualnie przedstawicielami własnego gatunku, nie wiedzą, jak reagować. Przeważnie obawiają się wszelkiego kontaktu i podenerwowane, siedzą w kącie. Brak jakiegokolwiek wpojenia jest u nich tak wyraźny, że stają się dosłownie zwierzętami niestadnymi, mimo że należą do niezwykle stadnego gatunku. Jeśli jednak wychowuje się je razem z innymi zwierzętami tego samego gatunku, nawet bez udziału matki, nie podlegają one temu procesowi i obok wpojenia rodzicielskiego powstaje u nich też pewien rodzaj wpojenia towarzyskiego. Oba te procesy mogą odgrywać rolę w przywiązywaniu się zwierzęcia do własnego gatunku.

Świat zwierzęcia z fałszywym wpojeniem jest czymś dziwnym i przerażającym. Fałszywe wpojenie stwarza psychologiczną hybrydę, zachowującą się według wzorców własnego gatunku, ale kierującą te zachowania ku przedstawicielom przybranego gatunku. Zwierzę takie jedynie z największym wysiłkiem, a i to nie zawsze, potrafi przystosować się na nowo. U niektórych gatunków sygnały seksualne płynące od przedstawicieli tego samego gatunku są na tyle silne, a reakcje na nie na tyle instynktowne, że pozwala im to przetrwać mimo nienormalnego wychowania. U wielu zwierząt wpojenie jest jednak tak silne, że przeważa nad wszystkim innym.

Byłoby dobrze, gdyby miłośnicy zwierząt, gorliwie pracujący nad oswojeniem młodych dzikich zwierząt, pamiętali o tym. Pracownicy ogrodów zoologicznych od dawna borykają się z wielkimi trudnościami towarzyszącymi rozmnażaniu się wielu swoich podopiecznych. Niekiedy trudności te spowodowane są niewłaściwym zakwaterowaniem lub

wyżywieniem, ale nazbyt często przyczyną jest fałszywe wpojenie mające miejsce przed przybyciem zwierząt do zoo.

Jeśli chodzi o człowieka, znaczenie wpojenia jest dość oczywiste. W ciągu pierwszych miesięcy życia niemowlę ludzkie przechodzi delikatną fazę socjalizacji, w której wytwarza się u niego głębokie i trwałe przywiązanie do własnego gatunku, a zwłaszcza do matki. Jak u zwierząt przywiązanie to nie jest zależne jedynie od korzyści płynących od matki, takich jak karmienie i utrzymywanie w czystości. Dokonuje się też właściwe dla wpojenia uczenie się przez ogląd. Niemowlę nie może trzymać się blisko matki, podążając za nią jak kacuszka, ale może osiągnąć ten sam cel posługując się gamą uśmiechów. Uśmiech przyciąga uwagę matki i zachęca ją do pozostawania z niemowlęciem i do zabawy z nim. Te interludia zabawy i uśmiechów pozwalają utrwalić więź między dzieckiem i matką. Dokonuje się u nich wzajemne wpojenie i w ten sposób wytwarza się silne przywiązanie wzajemne jako trwała więź, która ma ogromne znaczenie w dalszym życiu dziecka. Dobrze odżywione i utrzymane w czystości niemowlęta, u których nie dokonało się jednak wczesne wpojenie, mogą odczuwać lęki, które będą im towarzyszyć przez całe życie. Sieroty i dzieci żyjące w placówkach wychowawczych, gdzie więź i opieka indywidualna są z konieczności ograniczone, nazbyt często wyrastają na pełnych lęku dorosłych. Silna więź, utrwalona w ciągu pierwszego roku życia, pozwala na tworzenie silnych więzi w przyszłym dorosłym życiu.

Prawidłowe i wczesne wpojenie otwiera dziecku pokaźne bankowe konto emocji. Kiedy w przyszłym życiu okaże się, że wydatki w tym zakresie są znaczne, będzie ono miało skąd czerpać kapitał. Gdy w okresie dorastania dziecka opieka rodziców ulega zakłóceniom (takim jak separacja rodziców, ich rozwód lub śmierć), psychiczna prężność dziecka będzie zależała od jakości więzi, jakie się wytworzyły w ciągu pierwszego roku życia. Te późniejsze przeżycia zbiorą rzecz jasna swoje żniwo, ale będzie ono nieznaczne w porównaniu ze znaczeniem przeżyć, których dziecko doświadcza w pierwszych miesiącach. Pięcioletni chłopczyk, ewakuowany z Londynu podczas ostatniej wojny i oddzielony od rodziców, na pytanie, kim jest, odpowiedział: "jestem niczyje nic". Wstrząs miał niewątpliwie szkodliwe skutki, ale w takich sytuacjach trwałość szkody w dużym stopniu zależy od tego, czy wstrząs jest potwierdzeniem czy zaprzeczeniem poprzednich doświadczeń. Jeśli im przeczy, spowoduje zamęt psychiczny, który można będzie skorygować. Jeśli jednak wstrząs doświadczenia te potwierdza, w późniejszych okresach będzie on sprzyjał utrwaleniu się i umocnieniu wcześniejszych lęków.

Przechodząc teraz do następnej fazy wielkich przywiązań, dochodzimy do zjawiska seksualnego, jakim jest tworzenie się par. "Miłość od pierwszego wejrzenia" nie zdarza się może nam wszystkim, ale z pewnością nie jest też jedynie mitem. "Zakochiwanie się" ma w sobie wszystkie cechy procesu wpojenia. Jest ono najbardziej prawdopodobne w okresie szczególnej wrażliwości (wczesna dorosłość). Proces ma przebieg stosunkowo krótki, ale jego skutki są długotrwałe, pomimo oczywistego nieraz braku jakichkolwiek korzyści.

Można to zakwestionować, mówiąc, że dla wielu z nas najwcześniejsze więzi pary okazują się niestałe i efemeryczne. W odpowiedzi trzeba zauważyć, że we wczesnym okresie dojrzewania i wkrótce potem ukształtowanie się pełnej zdolności do tworzenia poważnych więzi pary wymaga trochę czasu. To powolne dojrzewanie stanowi okres przejściowy, podczas którego możemy, że się tak wyrażę, sprawdzać wodę, nim do niej wskoczmy. Gdyby nie to, wszyscy trwalibyśmy przy swoich pierwszych miłościach. We współczesnym społeczeństwie naturalny okres przejściowy ulega sztucznemu przedłużeniu przez przesadne podtrzymywanie więzi rodzicielskich. Rodzice mają skłonność do zatrzymywania przy sobie potomstwa w okresie, gdy jest ono już biologicznie zdolne do życia na własny rachunek. Przyczyna tego jest prosta: trudne wymagania, jakie stawia życie w ludzkim zoo, uniemożliwiają czternasto- i piętnastolatkom samodzielne przetrwanie. Ta niezdolność jest przyczyną pewnego rodzaju dziecięcości, która skłania rodziców do kontynuowania swojej roli nawet wtedy, !i gdy potomstwo osiągnęło już dojrzałość seksualną. To z kolei przedłuża u potomstwa funkcjonowanie wielu dziecięcych wzorców zachowań, które w nienaturalny sposób nakładają się na nowe wzorce, właściwe osobom dorosłym. Skutkiem tego są poważne napięcia i nierzadko więź rodzice-potomstwo wchodzi w kolizję z powstającą właśnie u młodych Skłonnością do tworzenia nowych więzi-więzi pary. .

To nie rodzice ponoszą winę za to, że ich dzieci nie potrafią !i jeszcze radzić sobie same w zewnętrznym świecie superplemienia. Nie jest też winą dzieci, że nie potrafią uniknąć *i przekazywania swoim rodzicom sygnałów dziecięcej bezradności. Błąd tkwi w sztucznym środowisku miejskim, które wymaga dłuższego okresu terminowania, niż trwa okres wzrostu młodego zwierzęcia ludzkiego.*

Mimo tych zakłóceń w rozwoju nowo powstałych relacji w zakresie tworzenia się par wpojenie seksualne wkrótce i tak daje o sobie znać. Miłość młodych może i jest na ogół efemeryczna, ale bywa też niezwykle silna, do tego stopnia, że "sympatie z dzieciństwa" okazują się niekiedy obsesyjnie trwałe, mimo że nie mają one racji bytu z socjoekonomicznego punktu widzenia. Jeśli nawet, pod ciśnieniem z zewnątrz, więzi takie ulegną zniszczeniu, pozostawiają one swój ślad. Często wydaje się, że późniejsze

poszukiwanie partnera seksualnego, już w całkowicie niezależnej fazie dorosłości, podporządkowane jest podświadomemu dążeniu do odnalezienia niektórych podstawowych cech charakterystycznych dla pierwszego wpojenia seksualnego. Niepowodzenie w tym względzie stanowi, być może, ukryty czynnik sprzyjający niszczeniu fundamentów skądinąd udanego małżeństwa.

To zjawisko *zakłócenia więzi* nie ogranicza się do sytuacji z udziałem "sympatii z dzieciństwa". Może ono zaistnieć na każdym etapie, a w szczególności może dawać się odczuć w powtórnych związkach małżeńskich, w których często dokonuje się milczących, a czasem i jawnych porównań z poprzednimi partnerami. Może ono też odgrywać jeszcze jedną, bardzo szkodliwą rolę, kiedy to więź rodzice-dzieci ulega pomieszaniam z więzią seksualną. Aby to zrozumieć, trzeba jeszcze raz przyjrzeć się temu, jak więź rodzice-potomstwo oddziałuje na niemowlę. Komunikuje ona niemowlęciu:

1. To jest moja matka/mój ojciec.
2. To jest gatunek, do którego należę.
3. To jest gatunek, w obrębie którego w przyszłości znajdę współmałżonka.

Pierwsze dwa przekazy są proste, ale ten trzeci niesie w sobie pewne niebezpieczeństwa. Jeżeli wczesna więź z rodzicem płci przeciwnej jest wyjątkowo trwała, niektóre jego/jej *indywidualne* cechy charakterystyczne mogą ulec przeniesieniu, tak że wpływają na późniejsze więzi seksualne potomstwa. Zatem zamiast komunikatu: "To jest gatunek, w obrębie którego w przyszłości znajdę małżonkę/małżonka", dziecko odczytuje: "To jest typ osoby, która będzie w przyszłości moim współmałżonkiem" .

Tego rodzaju wpływ ograniczający może się stać poważnym problemem. Zakłócenie seksualnego procesu tworzenia pary wynikające z uporczywego trzymania się wizerunku rodzica może prowadzić do dość osobliwego i pod każdym innym względem zupełnie nieodpowiedniego wyboru współmałżonka. I na odwrót, skądinąd świetnie dobrany współmałżonek może nie być w stanie zapewnić w pełni zadowalającego związku, gdyż brakuje mu lub jej pewnych nieistotnych, ale w tej sytuacji podstawowych cech charakterystycznych, jakie miało jedno z rodziców partnera. ("Mój ojciec nigdy by tak nie postąpił". "Ale ja nie jestem twoim ojcem").

Owo kłopotliwe zjawisko pomieszania dwóch rodzajów więzi jest, jak się zdaje, spowodowane nienaturalnie wysokim stopniem wyizolowania się rodziny, z którym tak często można się spotkać w zatłoczonym świecie ludzkiego zoo. "Samotność w tłumie" ma

tendencję do wypierania tak charakterystycznej dla małych społeczności atmosfery plemiennej wspólnoty i towarzyskości. W odruchu obronnym rodziny zamykają się w sobie, oddzielając się od siebie w schludnych domkach szeregowych lub w mieszkalnych segmentach. Niestety nie ma żadnych oznak zwiastujących poprawę tej sytuacji, a raczej wprost przeciwnie.

Skończywszy z problemem mieszania się różnych rodzajów więzi, musimy teraz zająć się inną, jeszcze dziwniejszą aberacją wpojenia występującą u ludzi, będącą jedynie nam właściwą wersją fałszywego wpojenia. Wkraczamy tu w niezwykłą domenę zjawiska, które nosi nazwę fetyszyzmu seksualnego.

Dla niektórych, raczej nielicznych osób pierwsze doświadczenie seksualne może prowadzić do kalectwa psychicznego. Zamiast uzyskać wpojenie wizerunku jakiegoś konkretnego partnera, osoba taka rozwija w sobie obsesję seksualną związaną z jakimś przedmiotem znajdującym się w tym czasie w pobliżu. Nie bardzo wiadomo, dlaczego tak wielu z nas udaje się uniknąć owych nienormalnych z punktu widzenia reprodukcji obsesji. Być może zależy to od wyrazistości i siły niektórych czynników związanych z naszymi pierwszymi większymi przeżyciami seksualnymi. Bez względu na swoje źródła jest to zjawisko intrygujące.

Na podstawie niektórych dostępnych historii chorób można wnosić, że przywiązanie do fetysza seksualnego najczęściej wytwarza się wtedy, gdy inicjacja seksualna następuje spontanicznie lub w samotności. Są to często ludzie młodzi, u których pierwszy wytrysk nasienia nastąpił bez udziału osoby płci przeciwnej i bez zwykłych czynności wstępnych poprzedzających tworzenie się więzi pary. Jakiś charakterystyczny przedmiot znajdujący się w pobliżu w czasie wytrysku w jednej chwili nabiera bardzo istotnego i trwałego znaczenia seksualnego. To tak, jakby cała siła wpojenia potrzebna do wykształcenia więzi pary przypadkowo skierowała się na jakiś martwy przedmiot, błyskawicznie przypisując mu główną rolę na resztę życia danej osoby.

Ta niecodzienna forma fałszywego wpojenia nie jest aż tak rzadka, jak mogłoby się wydawać. U większości z nas rozwija się podstawowa więź pary z osobą płci przeciwnej, a nie z futrzanymi rękawiczkami czy skórzanymi butami. Sprawia nam też przyjemność obwieszanie innym o naszych więziach pary, gdyż jesteśmy przekonani, że zrozumieją to i podzielą nasze uczucia. Tymczasem fetyszysta z silnym wpojeniem dotyczącym jakiegoś przedmiotu będzie raczej milczał na temat swego niezwykłego przywiązania seksualnego. Nieożywiony przedmiot seksualnego wpojenia, mający dla niego tak ogromne znaczenie, nie jest niczym ważnym dla innych i dlatego w obawie przed ośmieszeniem fetyszysta będzie

otaczał go tajemnicą. Nie ma on żadnego znaczenia nie tylko dla tej znacznej większości ludzi, którzy fetyszystami nie są, ale też i dla innych fetyszystów, mających swoje własne fetysze. Futrzane rękawiczki nic nie znaczą zarówno dla fetyszysty skórzanych butów, jak dla niefetyszysty. Dlatego też fetyszysta, za sprawą swojej wysoce wyspecjalizowanej formy wpojenia seksualnego, popada w izolację.

Można by tu zgłosić wątpliwość, dlaczego w świecie fetyszystów niektóre rodzaje przedmiotów pojawiają się wyjątkowo często. Szczególną popularnością cieszą się na przykład przedmioty z gumy. Zrozumiemy to, gdy przyjrzymy się kilku konkretnym przypadkom rozwoju fetyszyzmu.

Pewien dwunastoletni chłopiec doznał pierwszego wytrysku, bawiąc się futrem z lisa. W dorosłym życiu zaspokojenie seksualne mógł uzyskać jedynie w obecności futer. Nie był on w stanie w zwykły sposób współżyć z kobietami. Młoda dziewczyna doznała pierwszego orgazmu, ściskając podczas masturbacji kawałek czarnego aksamitu. Gdy dorosła, aksamit stał się dla niej seksualnie ważny. Cały jej dom przybrany był aksamitem, a ona wyszła za mąż tylko po to, by zdobyć środki na zakup jeszcze większej ilości aksamitu. Czternastoletni chłopiec miał pierwszy stosunek z dziewczyną ubraną w jedwabną sukienkę. Później nie potrafił się zbliżyć do żadnej nagiej kobiety. Podniecały go tylko kobiety w jedwabnych sukienkach. Inny młody chłopak doznał pierwszego wytrysku, wyglądając przez okno i patrząc na jakąś osobę poruszającą się o kulach. Po ślubie był on w stanie współżyć z żoną, tylko gdy miała w łóżku kule. Dziewięcioletni chłopiec bawił się miękką rękawiczką, pocierając nią członek, i wtedy doznał pierwszego wytrysku. Jako dorosły został fetyszystą rękawiczek i miał ich w swej kolekcji kilkaset. Cała jego aktywność seksualna koncentrowała się na tych rękawiczkach.

Istnieje wiele takich przykładów. Pokazują one dowodnie, że fetysz w dorosłym życiu wiąże się z pierwszym doświadczeniem seksualnym. Inne przedmioty, które często bywają fetyszami to: trzewiki, buty do jazdy konnej, sztywne kołnierzyki, gorsety, pończochy, bielizna osobista, przedmioty ze skóry, przedmioty z gumy, fartuchy, chusteczki, włosy, stopy i różne mundurki, jak na przykład strój pielęgniarek. Czasami stają się one najistotniejszym elementem niezbędnym do udanego (i poza tym zupełnie normalnego) stosunku. Czasami jednak całkowicie zastępują partnera seksualnego. Ważną cechą większości tych przedmiotów jest, jak się zdaje, faktura, a to dlatego, że istotną rolę odgrywa tu wszelkiego rodzaju przyciskanie i pocieranie, które wywołało pierwsze podniecenie seksualne w życiu danej osoby. Materiały wywołujące charakterystyczne doznania dotykowe mają wielką szansę

stać się fetyszem seksualnym. Wyjaśniałoby to, dlaczego fetyszami stają się tak wiele przedmiotów z gumy, skóry i jedwabiu.

Trzewiki, buty i stopy są także bardzo popularne jako fetysze i także tu, jak się wydaje, może chodzić o możliwość przyciskania ich do ciała. Opisano pewien klasyczny przypadek czternastoletniego chłopca, który bawił się z dwudziestolatką w butach na wysokich obcasach. On leżał na ziemi, a ona dla zabawy wchodziła na niego i deptała go. Gdy jej but spoczął na jego członku, doznał on pierwszego wytrysku. Gdy dorósł, była to jedyna forma jego aktywności seksualnej. W całym swym życiu udało mu się nakłonić ponad sto kobiet, żeby po nim deptały, używając do tego butów na wysokich obcasach. Idealem były dla niego partnerki o pewnej określonej wadze, w butach określonego koloru. Maksymalną reakcją wywoływał u niego możliwie dokładna repetycja owego pierwszego kontaktu.

Ten ostatni przykład wyraźnie pokazuje, w jaki sposób może się rozwinąć masochizm. Innym przykładem jest chłopiec, który przeżył pierwsze spontaniczne doznanie seksualne podczas zapasów z dużo większą od siebie dziewczyną. W dalszym swym życiu miał on obsesję na punkcie ciężkich, agresywnych kobiet, które były gotowe sprawiać mu ból podczas stosunków. Nietrudno wyobrazić sobie, że podobne przypadki mogą prowadzić do pewnych form sadyzmu.

Przywiązanie do fetysza seksualnego pod kilkoma względami różni się od zwykłego procesu uwarunkowania. Podobnie jak wpojenie (lub przeżycia traumatyczne, o których wspomniałem na początku tego rozdziału) jest to proces przebiegający w bardzo szybkim tempie, wywołuje on trwały efekt, jest niezwykle trudny do odwrócenia i pojawia się w okresie dużej wrażliwości. Podobnie jak fałszywe wpojenie wywołuje on u danej osoby obsesję na punkcie jakiegoś przedmiotu, który w nienormalny sposób łączy się z seksem, co sprawia, że zachowanie seksualne tej osoby nie kieruje się na normalny z biologicznego punktu widzenia obiekt, jakim jest osoba płci przeciwnej. Szkoda nie polega tu na tym, że jakiś przedmiot, na przykład gumowa rękawiczka, nabiera znaczenia seksualnego. Problem polega na tym, że tracą wszelkie znaczenie: jakiejkolwiek inne obiekty seksualne. W opisanych sytuacjach fałszywe wpojenie jest tak silne, że "pochłania" całe zainteresowanie seksualne. Podobnie jak doświadczalna kaczuska podąża wyłącznie za pomarańczowym balonem, całkowicie ignorując prawdziwą matkę, fetyszysta rękawiczki chce współżyć wyłącznie z rękawiczką, całkowicie ignorując potencjalne partnerki. Właśnie ta wyłączność procesu wpojenia jest źródłem trudności, kiedy mechanizm ten ulega wykolejeniu. Na wszystkich nas pobudzająco działają różne tkaniny i kontakt dotykowy, jako elementy uzupełniające podczas stosunków seksualnych. Nie ma nic niezwykłego w reagowaniu na

miętkość jedwabiu czy aksamitu. Ale wykluczająca wszystko obsesja na punkcie takich przedmiotów, przybierająca w gruncie rzeczy charakter więzi pary jak u fetyszysty, który "na widok dziewczęcych butów czerwienił się, jakby to były dziewczyny"), oznacza, że mechanizm wpojenia ma jakiś istotny defekt.

Dlaczego niewielka, ale jednak znacząca liczba ludzkich istot pada ofiarą tego rodzaju fałszywego wpojenia? Wydaje się, że nic takiego nie występuje u innych zwierząt, które żyją dziko na wolności. Zdarza się to tylko tym zwierzętom, które po schwytaniu wychowywane są przez człowieka w sztucznych warunkach lub gdy trzyma się je wspólnie z innymi gatunkami albo też gdy przeprowadza się na nich specjalne doświadczenia. Być może tu właśnie jest odpowiedź. Jak już podkreślałem, ludzkie zoo stwarza naszemu gatunkowi plemiennemu wysoce sztuczne warunki bytowania. W wielu naszych superplemionach w krytycznym okresie dojrzewania płciowego zachowanie seksualne ulega poważnym ograniczeniom. Nie ma jednak sposobu na całkowite powstrzymanie tego zachowania, chociaż jest ono ukryte i zawoalowane na skutek najróżniejszych nienaturalnych zakazów. Wkrótce daje ostro o sobie znać i wtedy, jeżeli w pobliżu znajdują się jakieś charakterystyczne przedmioty, mogą one wywierać wrażenie o sile większej niż zazwyczaj. Gdyby rozwijający się człowiek w wieku dojrzewania wcześniej uzyskiwał stopniowo pewne doświadczenie w sprawach seksu, gdyby jego pierwsze doznania seksualne były bogatsze i mniej ograniczone przez sztuczne zakazy obowiązujące w superplemieniu, można by zapewne później uniknąć fałszywego wpojenia. Byłoby ciekawe ustalić, ilu spośród skrajnych fetyszystów było jedynakami, czy też ilu z nich we wczesnym okresie dojrzewania było zbyt bojaźliwych i nie śmiałych, aby nawiązywać kontakty osobiste, czy wreszcie ilu żyło w rodzinach, w których panował surowy rygor. Potrzebne tu są dalsze badania, ale przypuszczam, że odsetek ten byłby znaczny.

Ważną formą fałszywego wpojenia, o której dotąd nie wspomniałem, jest homoseksualizm. Odłożyłem omawianie tego problemu na koniec, gdyż jest to zjawisko bardziej złożone niż inne, a fałszywe wpojenie stanowi tylko jego część. Zachowanie homoseksualne może powstawać na jeden z czterech sposobów. Po pierwsze, podobnie jak fetyszyzm, może powstać w wyniku fałszywego wpojenia. Jeśli najwcześniejsze doświadczenie seksualne w życiu danej osoby wiąże się z silnym przeżyciem, a polega na intymnym kontakcie z osobą tej samej płci, w szybkim tempie może się pojawić obsesja na punkcie tej właśnie płci. Jeżeli dwóch chłopców w wieku dojrzewania mocuje się ze sobą lub uprawia jakąś formę zabawy o zabarwieniu seksualnym i w tym czasie nastąpi wytrysk nasienia, może to doprowadzić do fałszywego wpojenia. Jest rzeczą dziwną, że chłopcy

często miewają wspólne wczesne doświadczenia seksualne takiego czy innego rodzaju, a jednak większość z nich wyrasta na heteroseksualistów. I znów zbyt mało wiemy na temat tego, co wywołuje obsesję tylko u części, i to mniejszej. Być może, podobnie jak u fetyszystów, ma to coś wspólnego z doświadczeniami towarzyskimi danego chłopca. Im bardziej są one ograniczone, im bardziej dany chłopiec jest odcięty od kontaktów z innymi osobami, tym czystsze będzie płótno, na którym maluje się obraz jego seksualizmu. Większość chłopców ma w sobie jakby tabliczkę, na której szkicuje się różne doświadczenia, wyciera się je, a potem zapisuje nowe. U chłopca nazbyt zamkniętego w sobie płótno pozostaje dziewiczo czyste. Coś, co wreszcie zostanie na nim utrwalone, wywiera na niego niezwykle wpływ i prawdopodobnie obraz ten pozostanie w nim na całe życie. Chłopcy o ekstrawertycznym i zawadiackim usposobieniu mogą wykazywać aktywność homoseksualną, ale zapisując ją na konto swoich doświadczeń przechodzą nad nią do porządku w poszukiwaniu coraz to nowych kontaktów towarzyskich, wzbogacających zasób tych doświadczeń.

Tak dochodzimy do innych przyczyn trwałego homoseksualizmu. Używam wyrazu "trwałego", bowiem krótkie i przemijające kontakty homoseksualne zdarzają się w pewnym okresie życia większości osobników obu płci i stanowią element ogólnych poszukiwań w dziedzinie seksu. Dla większości ludzi, tak jak dla młodych amatorów przygód, nie mają one wielkiego znaczenia i ograniczają się do okresu dzieciństwa. Ale u innych osób wzorce zachowań homoseksualnych utrzymują się przez całe życie i często całkowicie lub prawie całkowicie wykluczają aktywność heteroseksualną. Fałszywe wpojenie, o którym była mowa, nie wyjaśnia wszystkiego. Drugą przyczyną, dość prostą, może być nieprzyjemne zachowanie się przedstawicieli płci przeciwnej wobec danej osoby. Chłopiec, którego dziewczyny przerażają swoim zachowaniem, łatwo może uznać innych przedstawicieli swojej płci za atrakcyjniejszych partnerów seksualnych, mimo iż nie mogą oni być odpowiedni jako współmałżonkowie. Dziewczyna, którą chłopcy przerażają, może reagować tak samo i kierować swoją uwagę na inne dziewczyny jako partnerki seksualne. Przeróżenie nie jest tu oczywiście jedynym mechanizmem. Zdrada i różne inne formy udręk towarzyskich czy fizycznych mogą działać równie skutecznie. (Nawet jeśli płeć przeciwna nie okazuje swojej wrogości w sposób bezpośredni, presje kulturowe nakładające znaczne ograniczenia na aktywność heteroseksualną mogą mieć ten sam skutek).

Trzecim ważnym czynnikiem wpływającym na kształtowanie się trwałego homoseksualizmu jest dokonywana w dzieciństwie ocena roli spełnianej przez rodziców. Jeśli dziecko ma słabego, zdominowanego przez matkę ojca, jest ono szczególnie skłonne do

pomieszania i odwrócenia ról właściwych dla obu płci. Prowadzi to do wyboru partnera niewłaściwej płci podczas tworzenia się więzi pary w późniejszym okresie życia.

Czwartą przyczyną jest jeszcze bardziej oczywista. Jeżeli przez dłuższy czas w danym środowisku nie ma w ogóle przedstawicieli płci przeciwnej, przedstawiciele tej samej płci zaczynają stanowić jedyne dostępne obiekty kontaktów seksualnych. Mężczyzna oddzielony w ten sposób od kobiet i kobieta oddzielona od mężczyzn mogą stale uprawiać homoseksualizm, mimo że nie działa żaden z pozostałych trzech czynników. Na przykład mężczyzna więzień, który nie padł ofiarą fałszywego wpojenia, jest entuzjastą płci przeciwnej i miał ojca dominującego w rodzinie na sposób w pełni męski, może mimo to stać się trwałym homoseksualistą, jeżeli przebywa wyłącznie w męskim towarzystwie, w którym ciało najbardziej podobne do ciała kobiety jest ciałem innego mężczyzny. Jeżeli w więzieniach, internatach, na statkach czy w koszarach przez wiele lat utrzymuje się sytuacja jedнопłciowości, taki zmuszony przez okoliczności homoseksualista może w końcu uzależnić się od tych wymuszonych wzorców seksualnych i trwać przy nich nawet po powrocie do środowiska heteroseksualnego.

Spośród czterech omówionych tu czynników wpływających na rozwój trwałego zachowania homoseksualnego tylko pierwszy ma związek z treścią niniejszego rozdziału, ale należało omówić je wszystkie, aby wyjaśnić częściową rolę, jaką w tym zjawisku seksualnym odgrywa fałszywe wpojenie.

Zachowanie homoseksualne u zwierząt występuje zwykle w sytuacji jedynych dostępnych obiektów i zanika w obecności aktywnych seksualnie przedstawicieli płci przeciwnej. Istnieją jednak zwierzęta trwale usposobione seksualnie na skutek specjalnych eksperymentów, jakie na nich przeprowadzono. Trwale homoseksualne stają się na przykład młode dzikie kaczorki hodowane w jedнопłciowych grupach liczących od pięciu do dziesięciu sztuk i nie mające w okresie pierwszych siedemdziesięciu pięciu dni żadnych kontaktów z kaczkami tego samego gatunku. Gdy wypuści się je do stawu z kaczkami obojga płci, ignorują one samiczki i tworzą między sobą homo- seksualne związki par. Taka sytuacja trwa przez wiele lat, a nawet być może przez całe życie tych homoseksualnych kaczorów, samiczki zaś nie są w stanie nic zrobić, aby ją zmienić. Dobrze znany jest też fakt, że gołębie trzymane w parach homoseksualnych kopulują ze sobą i mogą tworzyć w pełni udane związki par. Dwa samce, które uległy takiemu wzajemnemu wpojeniu seksualnemu, wspólnie odbyły cały cykl godowy, współpracując w budowie gniazda, wysiadywaniu jaj i wychowywaniu młodych. Zapłodnione jaja należało oczywiście pozyskać z gniazda autentycznej pary, ale szybko zostały one zaakceptowane i oba homoseksualne samczyki traktowały je tak, jakby były

zniesione przez partnera. Gdyby po utworzeniu się takiego homoseksualnego związku pojawiła się tam prawdziwa samiczka, by wziąć udział w dalszych etapach tego pseudo reprodukcyjnego cyklu, można przypuszczać, że samczyki nie zwróciłyby na nią najmniejszej uwagi. Na tym etapie homoseksualizm byłby już utrwalony, przynajmniej na okres tego konkretnego cyklu lęgowego.

U zwierząt ludzkich fałszywe wpojenie nie ogranicza się do związków o charakterze seksualnym. Może ono też zachodzić w relacjach między rodzicami a ich potomstwem. Nie istnieje rzetelny materiał dokumentacyjny odnoszący się do ludzkich niemowląt, u których dochodzi do wpojenia związku z rodzicami innego gatunku. Słynne przypadki tak zwanych dzieci-wilków (czyli dzieci porzuconych lub zgubionych, wykarmionych i wychowanych przez wilczyce) nigdy nie zostały solidnie udowodnione i muszą na razie pozostać w sferze fantazji. Gdyby jednak taka rzecz mogła się zdarzyć, nie ulega wątpliwości, że u dzieci-wilków doszłoby do pełnego fałszywego wpojenia związku z przybranymi rodzicami.

Natomiast proces odwrotny jest niemal na porządku dziennym. Gdy młode zwierzę wychowywane jest przez człowieka jako przybranego rodzica, staje się ono czymś więcej niż tylko zwierzęciem pieszczoszkim o fałszywym wpojeniu. Człowiek jako przybrany rodzic często również ulega silnemu fałszywemu wpojeniu i reaguje na młode zwierzę jak na ludzkie dziecko. Darzy je takim samym uczuciem i w podobny sposób zamartwia się, gdy przytrafi mu się coś złego.

Dla kaczuszki pseudo rodzic w postaci pomarańczowego balona ma pewne charakterystyczne cechy podstawowe, sprzyjające fałszywemu wpojeniu (jest to duży, ruchomy przedmiot). Podobnie pseudo dziecko bardziej nadaje się do tej roli, jeśli ma pewne cechy charakteryzujące dziecko ludzkie. Dzieci ludzkie są bezbronne, delikatne, ciepłe, krągłe, mają spłaszczone buzie, wielkie oczy i często płaczą. Im więcej z tych cech występuje u młodego zwierzęcia, tym łatwiej mu przychodzi wywołać uczucie więzi o typie rodzice-potomstwo między sobą a swoim przybranym rodzicem. Wiele młodych ssaków ma prawie wszystkie te cechy, co wydatnie ułatwia dokonanie się u ludzi fałszywego wpojenia w ciągu dosłownie kilku minut. Miękki, ciepły jelonek o wielkich oczach, beczący tęsknie do matki, albo bezradne, krągłutkie szczenię, skomlące w poszukiwaniu swojej zagubionej matki-suki, stanowią wyrazisty wizerunek dziecka, któremu rzadko która kobieta zdoła się oprzeć. Ponieważ niektóre dziecięce cechy występują u takich zwierząt w jeszcze większym stopniu niż u autentycznego dziecka ludzkiego, wyolbrzymione bodźce, których źródłem jest pseudo dziecko, mogą działać jeszcze silniej niż bodźce naturalne i wtedy fałszywe wpojenie przybiera na intensywności.

Zwierzęta jako pseudo dzieci mają jedną wadę: zbyt szybko rosną. Nawet te, które rozwijają się powoli, osiągają stan dorosłości w okresie wielokrotnie krótszym niż dzieci ludzkie. Wówczas stają się one często niesforne i tracą swój powab. Ale zwierzę ludzkie jest bardzo pomysłowe i potrafi zaradzić temu niepożądanemu obrotowi rzeczy. Za pomocą hodowli selektywnej w ciągu wieku człowiek zdołał nadać swoim zwierzęcom pieszczołom więcej cech dziecięcych. W ten sposób dorosłe koty i psy stały się dość młodzieńczo wyglądającymi odpowiednikami swoich dzikich pobratymców. Zachowują więcej chęci do zabawy i są mniej niezależne, dzięki czemu mogą dalej odgrywać rolę zastępczą jako dzieci.

U niektórych ras psów (pieski salonowe lub pieski miniaturowe) proces ten został doprowadzony do granic możliwości. Nie tylko zachowują się jak niezupełnie niedojrzałe, ale też są takie w dotyku, w brzmieniu głosu, a także w wyglądzie. Cała ich anatomia uległa zmianie, by lepiej odpowiadać wizerunkowi niemowlęcia ludzkiego, nawet gdy już dorosną. W ten sposób mogą one skutecznie funkcjonować jako pseudo niemowlęta nie tylko w okresie kilku miesięcy szczeniństwa, ale także w okresie dziesięciu lub nawet więcej lat, co z grubsza odpowiada okresowi dzieciństwa u ludzi. Co więcej, mają one przewagę nad prawdziwymi dziećmi, ponieważ w całym tym okresie pozostają podobne do niemowląt.

Dobrym przykładem jest tu pekińczyk. Dzikim przodkiem tej rasy (tak jak i wszystkich psów domowych) jest wilk, stworzenie osiągające wagę ponad 75 kilogramów, co mniej więcej odpowiada wadze przeciętnego dorosłego Europejczyka. Noworodek ludzki waży od 2,5 do 5 kilogramów, przy czym średnia waga wynosi około 3,5 kilograma. Tak więc, aby zamienić wilka w pseudo niemowlę, należy zredukować jego rozmiary do około jednej piętnastej jego pierwotnej wagi naturalnej. Pekińczyk stanowi wspaniałe osiągnięcie w tym zakresie, ważąc obecnie od 3,5 do 6 kilogramów, przy średniej wadze około 5 kilogramów. I o to właśnie chodziło. Waga psa odpowiada wadze dziecka, nawet jako dorosły, pies ma najważniejszą z cech pseudo dziecka, to znaczy jest mały. Ale potrzebne są dalsze ulepszenia. Typowy pies ma za długie nogi w stosunku do długości ciała. Ta proporcja bardziej przypomina proporcje ciała dorosłego człowieka niż mającego krótkie kończyny niemowlaka. A więc precz z nogami! Dzięki starannej hodowli selektywnej udaje się wyprodukować odmiany ras o coraz krótszych nogach, aż w końcu psy te są w stanie poruszać się jedynie kaczym krokiem. Nie tylko poprawia to proporcje, ale dodatkowo sprawia, iż zwierzęta te są jeszcze bardziej niezgrabne i bezradne. Są to kolejne właściwości niemowlęcia. Ale wciąż czegoś brakuje. Pies jest dość ciepły w dotyku, ale nie dość miękki. Naturalna sierść dzikiego psa jest zbyt krótka, sztywna i szorstka. No to poprawiajmy sierść!

Znów z pomocą przychodzi hodowla selektywna, pozwalająca wyhodować psa o długie i miękkiej, jedwabistej sierści, która w dotyku imituje nadzwyczajną miękkość niemowlęcia.

Naturalny kształt dzikiego psa wymaga dalszych modyfikacji. Musi mieć krągłejsze kształty; większe oczy i krótszy ogon. Wystarczy spojrzeć na pekińczyka, by się przekonać, że zmian tych dokonano z wielkim powodzeniem. Niegdyś miał on sterczące i zbyt spiczaste uszy. Spowodowano, że stały się większe, bardziej wiotkie i pokryły się długimi powłóczystymi włosami. Dzięki tym zabiegom wykazują spore podobieństwo do fryzury na głowie rosnącego dziecka. Dzikie wilk ma zbyt głęboki głos, ale zmniejszenie rozmiarów ciała pociągnęło za sobą zmianę głosu na wyższy i bardziej dziecięcy. No i wreszcie twarz. Pysk dzikiego wilka jest stanowczo zbyt spiczasty i tu też trzeba przeprowadzić mały genetyczny zabieg operacyjny. Nieważne, że zdeformuje on szczęki i utrudni jedzenie. Tak więc pekińczykowi spłaszczono pysk, żeby wyglądał jak buzia dziecka. Tu też uzyskano efekt dodatkowy, bo dzięki temu pies jest bardziej bezbronny i bardziej zależny, od swojego pseudo rodzica, który musi w odpowiedni sposób przygotować jedzenie, co stanowi jedną z podstawowych czynności rodziców. I oto siedzi sobie nasz pekińczyk, nasze pseudo dziecko, miękki, krągły, bezradny, o dużych oczach i spłaszczonej mordce, gotów dokonać silnego fałszywego wpojenia więzi ze sobą w każdym odpowiednio wrażliwym dorosłym, który się akurat pojawi. Wszystko to działa na tyle sprawnie, że pieski takie nie tylko są otaczane macierzyńską opieką, ale mieszkają z ludźmi, podróżują z ludźmi, mają własnych lekarzy (weterynarii) i często, jak ludzi, chowa się ich w grobach, a nawet -jak prawdziwemu potomstwu -testamentem zapisuje się im pieniądze.

Jak powiedziałem przy okazji poprzednio omawianych spraw nie jest to krytyka, lecz opis. Trudno nawet zrozumieć, dlaczego tak wielu ludzi krytykuje takie postępowanie, skoro tak oczywiście zaspokaja ono podstawowe potrzeby, które nie mogą zostać zaspokojone w normalny sposób. Jeszcze trudniej pojąć, dlaczego niektórzy ludzie akceptują ten rodzaj wpojenia, a odrzucają inne. Wiele osób czuje odrazę do fałszywego wpojenia seksualnego, z obrzydzeniem myśląc o podniecaniu się jakimś fetyszem albo o kopulacji z innym mężczyzną, ale bez trudu akceptuje fałszywe wpojenie uczuć rodzicielskich przejawiające się w tym, że dorosły człowiek pieści salonowego pieska albo karmi z butelki małą niemowlę. Dlaczego jednak ludzie ci czynią takie rozróżnienia? Z biologicznego punktu widzenia nie ma właściwie różnicy między tymi sytuacjami. Jedna i druga jest związana z fałszywym wpojeniem, jedna i druga stanowi wypaczenie normalnych stosunków międzyludzkich. Mimo że w sensie biologicznym należy je zaklasyfikować jako anomalie, żadna z nich nie wyrządza szkody osobom postronnym, stojącym poza takimi układami. Może nam się zdawać, że

fetyszysta lub bezdzielna miłośniczka zwierząt znaleźliby więcej zadowolenia w korzyściach płynących z pełnego życia rodzinnego, ale jest to ich strata, a nie nasza, i dlatego nie ma powodu, byśmy mieli okazywać im wrogość.

Musimy pogodzić się z tym, że żyjąc w ludzkim zoo, nieuchronnie będziemy musieli znosić różne anormalne relacje. W niezwykle sposób będziemy wystawieni na działanie różnych niezwykle bodźców. Nasz system nerwowy nie jest dostatecznie przygotowany na tego rodzaju sytuacje i nasze reakcje mogą być często nieprawidłowe. Tak jak zwierzęta doświadczalne lub żyjące w zoo możemy popaść w obsesyjne zależności w niezwykle, a niekiedy nawet szkodliwych dla nas związkach, lub też możemy paść ofiarą poważnego pomieszania w tym zakresie. Może się to w każdej chwili zdarzyć każdemu z nas. Jest to po prostu jeszcze jedno ryzyko, które ponosimy jako mieszkańcy ludzkiego zoo. Wszyscy jesteśmy potencjalnymi ofiarami i najbardziej stosowną reakcją na innych, którym się coś takiego przydarzyło, jest współczucie, a nie bezduszna nietolerancja.

6. WALKA O BODŹCE

Dochodząc do wieku emerytalnego, człowiek często marzy o tym, jak to będzie sobie spokojnie siedział i wygrzewał się w słońcu. Spodziewa się, że dzięki odpoczynkowi i "nie przemęczaniu się" wydłuży sobie i umili starość. Jeśli uda mu się urzeczywistnić marzenie o wygrzewaniu się na słońcu, pewne jest tylko jedno: nie przedłuży sobie życia, lecz je skróci. Przyczyna jest prosta -wycofanie się z walki o bodźce. Żyjąc w ludzkim zoo, wszyscy jesteśmy w nią wciągnięci, a rezygnując z niej lub prowadząc ją niewłaściwie, popadamy w poważne kłopoty.

Celem walki jest uzyskanie optymalnej ilości stymulacji ze strony otoczenia. Nie oznacza to ilości maksymalnej. Możliwa jest zarówno stymulacja nadmierna jak i niewystarczająca. Optimum, czyli złoty środek, leży gdzieś między tymi dwiema skrajnościami. Przypomina to regulację głośności muzyki w odbiorniku radiowym: zbyt cicho nie wywiera żadnego wrażenia, a zbyt głośna irytuje. Gdzieś pośrodku jest poziom idealny, którego osiągnięcie w odniesieniu do całego naszego bytowania stanowi cel walki o bodźce.

Dla członka superplemienia nie jest to łatwe. Wygląda to tak, jakby był on otoczony setkami różnych zachowań, które niczym radioodbiorniki wszystkie naraz już to szemrzą, już to ryczą na cały regulator. W sytuacjach skrajnych wszystkie one cicho szemrzą albo monotonnie powtarzają wciąż te same dźwięki, co wywołuje w nim dotkliwą nudę. Natomiast gdy wszystkie głośno ryczą, popada on w poważny stres.

Dla naszego dawnego przodka plemiennego nie stanowiło to tak wielkiego problemu. Konieczność przetrwania sprawiała, że był on wciąż czymś zajęty. Musiał poświęcać cały swój czas i energię na utrzymanie się przy życiu, znalezienie pożywienia i wody, obronę swego terytorium, unikanie wroga, płodzenie i wychowywanie potomstwa oraz na budowę i utrzymanie schronienia. Nawet w wyjątkowo trudnych chwilach wyzwania były stosunkowo nieskomplikowane. Nigdy nie był on poddawany tak wyszukany i skomplikowanym frustracjom i konfliktom, jakie stały się typowe dla egzystencji w superplemieniu. Nie zdarzało mu się też paść ofiarą nudy z powodu braku odpowiedniej stymulacji, jaka paradoksalnie może także być skutkiem życia w superplemieniu. Rozwinięte formy walki o bodźce są więc specjalnością zwierzęcia miejskiego. Nie występują one ani u dzikich zwierząt, ani u "dzikich" ludzi, żyjących w środowiskach naturalnych. Występują one jednak zarówno u ludzi żyjących w miastach, jak i u szczególnego rodzaju zwierząt miejskich, jakimi są mieszkańcy zoo.

Podobnie jak zoo ludzkie zoo zwierzęce zapewnia swoim mieszkańcom regularne zaopatrzenie w pożywienie i wodę, ochronę przed żywiołami natury i wolność od zagrożeń ze strony naturalnych drapieżników. Dbą również o ich higienę i zdrowie. W pewnych sytuacjach może też jednak stwarzać u nich poważne napięcia. W tych wysoce sztucznych warunkach zwierzęta w zoo także są zmuszone do przestawienia się z walki o przetrwanie na walkę o bodźce. Jeżeli otaczający je świat dostarcza im zbyt mało impulsów, zwierzęta muszą znaleźć sposoby, by je zwiększyć. Niekiedy zaś, gdy impulsy są zbyt silne (jak na przykład panika u zwierząt świeżo schwytanych), zwierzęta te zmuszone są podejmować próby ich stłumienia.

Problem ten u pewnych gatunków bywa poważniejszy niż u innych. Pod tym względem zwierzęta dzielą się na dwa rodzaje: specjalistów i oportunistów. Do specjalistów zaliczają się zwierzęta z ewolucyjnie wykształconym pojedynczym, nadrzędnym mechanizmem przetrwania, który dominuje w ich życiu i od którego zależy cała ich egzystencja. Są to mrówkojady, koale, pandy wielkie, węże i orły. Jak długo mrówkojady mają dostęp do mrówek, koale do drzew eukaliptusowych, pandy do pędów bambusa, a węże i orły do swoich ofiar, nie mają one powodów do niepokoju. Stopień specjalizacji diety osiągnął u nich tak wysoki poziom, że dopóki ich wymagania są zaspokajane, mogą pozwolić sobie na leniwy i pozbawiony innych bodźców tryb życia. Na przykład orły świetnie chowają się przez czterdzieści i więcej lat w małych i pustych klatkach, nie usiłując nawet dziobać własnych szponów, pod warunkiem że mogą codziennie zatopić je w ciele świeżo zabitego królika.

Oportuniści nie są w tak szczęśliwej sytuacji. Są to gatunki takie jak psy i wilki, szopy i ostronosy, a także małpy, u których nie rozwinęły się żadne jednostkowe wyspecjalizowane mechanizmy. Są to "majstrzy do wszystkiego", nigdy nie pomijający najmniejszej okazji, jaką może im zaoferować otoczenie. Żyjąc na wolności, dokonują nieustannych eksploracji i poszukiwań. Badają wszystko, co się da, bo wszystko może stanowić element potrzebny do przetrwania. Nie mogą pozwolić sobie na zbyt długie odpoczywanie, a ewolucja zadbała to, żeby im to uniemożliwić. Wykształciły się u nich systemy nerwowe, które nie tolerują bezczynności i zmuszają je do ciągłego ruchu. Największym oportunistą spośród wszystkich gatunków jest człowiek. Jak inne gatunki tego rodzaju jest on wielkim poszukiwaczem. Jak u innych takich gatunków występuje u niego biologicznie wbudowana potrzeba czerpania silnych impulsów z otoczenia.

Oczywiście w zoo (lub w mieście) właśnie gatunki oportunistyczne najdotkliwiej odczuwają nienaturalność sytuacji. Nawet jeśli mają doskonale zrównoważoną dietę oraz jak

najlepsze schronienie i zabezpieczenie, zaczynają odczuwać nudę, niepokój i w końcu popadają w nerwicę. Im lepiej zdołamy zrozumieć naturalne zachowanie takich zwierząt, tym bardziej oczywiste wyda nam się na przykład to, że małpy w zoo są niemal karykaturą swoich odpowiedników na wolności.

Ale oportunistyczne zwierzęta nie poddają się łatwo. W nie sprzyjającej sytuacji reagują zdumiewająco przemyślnie. Tak samo reagują mieszkańcy ludzkiego zoo. Gdy porównamy reakcje zwierząt w zoo z reakcjami w ludzkim zoo, uświadomimy sobie uderzające podobieństwa, jakie zachodzą w tych dwóch wysoce sztucznych środowiskach.

Walka o bodźce rozgrywa się wedle sześciu podstawowych zasad, którym warto przyjrzeć się kolejno, rozpatrując każdą z nich najpierw w odniesieniu do zoo zwierzęcego, a następnie w odniesieniu do zoo ludzkiego. A oto te zasady:

1. Jeśli stymulacja jest zbyt słaba, można zwiększyć dynamizm własnego zachowania, tworząc niepotrzebne problemy, które następnie można rozwiązać

Wszyscy słyszeliśmy o mechanizmach oszczędzających pracę, ale ta sama zasada dotyczy mechanizmów trwoniących pracę. Walczący o bodźce naumyślnie stwarza sobie coś do zrobienia, komplikując zadania, które można wykonać w prostszy sposób lub które w ogóle nie muszą być wykonane.

Dziki kot przebywający w klatce ogrodu zoologicznego często rzuca do góry zdechłego ptaka albo szczura, a potem atakuje, skacząc na niego, by schwytać go w swoje szpony. Podrzucając zdobycz, kot sprawia, że porusza się ona, jakby odzyskawszy "życie", a to z kolei pozwala mu ją "zabić". W podobny sposób żyjąca w niewoli mangusta może "zatrząść na śmierć" kawałek mięsa.

Podobne obserwacje można poczynić na zwierzętach domowych. Chowany w domu, otoczony opieką i dobrze odżywiony pies upuszcza piłkę lub patyk u stóp swojego pana i cierpliwie czeka, żeby mu je rzucić. Unoszący się w powietrzu nad ziemią przedmiot staje się "zdobyczą", którą można upolować, schwytać i "zabić", a następnie przynieść z powrotem, aby jeszcze raz wykonać to samo. Pies domowy może wcale nie łaknie pożywienia, ale łaknie stymulacji.

Uwięziony w klatce szop jest na swój sposób równie pomysłowy. Jeżeli nie ma pożywienia, które można by znaleźć w pobliskim strumyku, zwierzę będzie i tak go szukało, nawet wtedy, gdy w ogóle nie ma żadnego strumyka. Znosi ono wtedy jedzenie do pojemnika z wodą, wrzuca je tam, gubi, a następnie szuka. Gdy już je znajdzie, przed

pożarciem szarpie je w wodzie. Niekiedy niszczy je w ten sposób, zamieniając kawałki chleba w bezkształtną masę. Ale nie ma to znaczenia, takie postępowanie pozwala bowiem zaspokoić niewyżyty popęd do poszukiwania pożywienia. Stąd wywodzi się stary mit o tym, że szopy "piorą" jedzenie.

Istnieje olbrzymi gryzoń o wyglądzie morskiej świnki na szczudłach zwany agouti. Żyjąc na wolności, obiera on ze skórki niektóre warzywa przed ich zjedzeniem. Trzyma je w przednich łapach, a zębami obiera je, tak jak my obieramy pomarańczę. Zjada jarzynę dopiero wtedy, gdy jest już całkowicie pozbawiona skórki. W niewoli ten popęd do obierania nie może pozostać nie zaspokojony. Gdy agouti otrzyma całkowicie czystego ziemniaka lub jabłko, skrupulatnie obiera je, a potem pożera także skórkę. W ten sposób usiłuje też "obrać" nawet kawałek chleba.

W ludzkim zoo obraz jest uderzająco podobny. Gdy rodzimy się we współczesnym superplemieniu, okazuje się, że w tym świecie ludzka pomysłowość rozwiązała już większość podstawowych problemów związanych z przetrwaniem. Podobnie jak zwierzęta w zoo przekonujemy się, że nasze otoczenie daje nam poczucie bezpieczeństwa. Większość z nas ma jakąś ilość pracy do wykonania, ale dzięki osiągnięciom techniki pozostaje też wiele czasu na walkę o bodźce. Nie pochłania nas już bez reszty szukanie pożywienia i schronienia, wychowywanie potomstwa, obrona terytorium i unikanie wrogów. Jeżeli jednak ktoś twierdzi, że nieustannie pracuje, powinien zadać sobie zasadnicze pytanie, czy pracując mniej, mógłby mimo to przetrwać? Wielu z nas musiałoby sobie odpowiedzieć "tak". Praca jest dla dzisiejszego członka superplemienia odpowiednikiem dawnego polowania na pożywienie. Podobnie jak mieszkańcy zwierzęcego zoo współczesny człowiek komplikuje sobie pracę znacznie ponad istotne potrzeby i w ten sposób sam sobie stwarza problemy.

Jedynie te segmenty superplemienia, które żyją w wielkim niedostatku, pracują wyłącznie dla przetrwania. Jednak nawet one bywają zmuszone do angażowania się w każdej wolnej chwili w walkę o bodźce z tej szczególnej przyczyny, że myśliwy w pierwotnym plemieniu, chociaż pracował po to, aby przetrwać, musiał wykonywać zróżnicowane i absorbujące go zadania. Pracujący dla przetrwania, nieszczęsny podwładny w superplemieniu ma się pod tym względem dużo gorzej. Podział pracy i uprzemysłowienie skazały go na wykonywanie niesłychanie nudnej i monotonnej roboty, na powtarzanie wciąż tych samych rutynowych czynności, dzień po dniu, rok po roku, co urąga ogromnemu mózgowi uwięzionemu w jego czaszce. Gdy ma on kilka chwil dla siebie, tak jak każdy inny człowiek żyjący we współczesnym świecie, odczuwa potrzebę zaangażowania się w walkę o bodźce,

ponieważ stymulacja to nie tylko kwestia wielkości, ale i różnorodności, nie tylko ilości, ale i jakości.

Jak już powiedziałem, u innych osób sporą część aktywności pochłania praca dla pracy i jeśli tylko jest ona wystarczająco ciekawa, uczestnik walki, na przykład biznesmen, może stwierdzić, że podczas zajęć zawodowych zaliczył już tyle punktów, że w czasie wolnym może pozwolić sobie na odpoczynek i cieszyć się błahymi zajęciami. Może więc zdrzemnąć się przed kominkiem z kojącym nerwy drinkiem lub pójść na kolację do jakiejś cichej restauracji. Jeśli podczas kolacji zatańczy, warto przyjrzeć się, jak to robi. Chodzi o to, że przecież człowiek pracujący dla przeżycia także może wieczorem gdzieś pójść, żeby potańczyć. Na pierwszy rzut oka jest w tym jakaś sprzeczność, ale przyjrząwszy się dokładniej, przekonamy się, że między ich sposobami tańczenia istnieje ogromna różnica. Wielcy biznesmeni nie oddają się wyczerpującym wyczynowym tańcom towarzyskim ani swobodnym, żywiłowym tańcom ludowym. Ich ociężałe powłóczenie nogami po parkiecie klubu nocnego (którego małe rozmiary są dostosowane do ich niewielkiego zapotrzebowania na bodźce) niewiele ma wspólnego z wyczynowością czy żywiłowością. Niewykwalifikowany pracownik ma duże szanse zostać wykwalifikowanym tancerzem, natomiast wykwalifikowany biznesmen raczej na zawsze pozostanie niewykwalifikowanym tancerzem. Obaj oni uzyskują równowagę, która, rzecz jasna, stanowi cel walki o bodźce.

Chcąc ukazać istotę rzeczy, dokonałem nadmiernego uproszczenia, tak że różnica między tymi tańczącymi nazbyt przypomina różnice klasowe, co oczywiście nie wchodzi tu w grę. Istnieje mnóstwo znudzonych biznesmenów, którzy muszą znosić powtarzające się czynności biurowe niemal tak samo monotonne jak pakowanie pudełek przy fabrycznej taśmie. Oni także będą poszukiwali jakichś bardziej stymulujących form rekreacji w czasie wolnym od pracy. Jest też wiele zwykłych zajęć fizycznych ciekawych i zróżnicowanych. Mający więcej szczęścia robotnik bywa wieczorami podobny do wybitnego biznesmena, gdyż, jak on, może wypoczywać przy j spokojnym drinku i rozmowie.

Poddana zbyt słabej stymulacji gospodyni domowa to jeszcze inne ciekawe zjawisko. Otoczona nowoczesnymi urządzeniami mechanicznymi oszczędzającymi pracę, aby się czymś zająć, jest zmuszona do wymyślania mechanizmów trwoniących pracę. Nie jest to tak jałowe, jak się na pozór wydaje. Ma ona przynajmniej możliwość wyboru zajęć. W tym właśnie tkwi cała zaleta życia w superplemieniu. W pierwotnym życiu plemiennym nie istniał żaden wybór. Konieczność przeżycia tworzyła własne wymagania. Trzeba było robić to lub owo i jeszcze coś albo zginąć. Teraz można robić to lub tamto lub jeszcze coś innego, co się komu podoba, tak długo, jak się ma świadomość, że należy robić cokolwiek, bo w przeciwnym razie

złamię się złotą regułą walki o bodźce. Tak więc gospodyni domowa, w czasie gdy jej pranie wiruje w automatycznej pralce, musi zająć się czymś innym. Możliwość jest bez liku i gra może być niezwykle atrakcyjna. Może też ona przybrać niepożądany obrót. Dostyc często doznający zbyt mało stymulacji gracz nagle uświadamia sobie, że czynności kompensujące, które wykonuje z takim oddaniem, nie mają właściwie żadnego znaczenia. Jaki cel ma przestawianie mebli, zbieranie znaczków pocztowych, czy zgłoszenie psa na kolejną wystawę? Czego ma to dowieść? Co można przez to osiągnąć? Jest to jedno z niebezpieczeństw tkwiących w walce o bodźce. Namiastki autentycznego działania dla przetrwania, jak by na nie spojrzeć, pozostają namiastkami. Łatwo tu o rozczarowanie, z którym trzeba się jakoś uporać.

Istnieje kilka rozwiązań. Jedno z nich jest dość drastyczne. Jest to odmiana walki o bodźce, którą można by nazwać kuszeniem przetrwania. Rozczarowany nastolatek, zamiast rzucać piłkę na boisku, może rzucić nią w szybę. Rozczarowana gospodyni domowa, zamiast pogłaskać psa, może pogłaskać mleczarza. Rozczarowany biznesmen, zamiast rozebrać na części silnik samochodu, może rozebrać swoją sekretarkę. Następstwa takiego postępowania są dramatyczne. Dany osobnik natychmiast zostaje wciągnięty w rzeczywistą walkę o przetrwanie toczącą się na gruncie życia społecznego. Na ten czas przestaje go interesować przestawienie mebli czy zbieranie znaczków. Dopiero gdy cichnie chaos, dawne czynności zastępcze nagle stają się znów bardziej atrakcyjne.

Mniej drastyczną odmianą tego rozwiązania jest kuszenie przetrwania per procura. Jednym z takich sposobów jest mieszanie się w cudze życie uczuciowe i stwarzanie wokół kogoś innego chaosu, w który można by wplątać samego siebie. Jest to metoda złośliwej plotki. Cieszy się ona wielką popularnością, gdyż plotka jest dużo bezpieczniejsza niż działanie bezpośrednie. W najgorszym razie stracimy kilku przyjaciół. Natomiast sprawne posługiwanie się tą metodą może nam przysporzyć przyjaznych uczuć. Jeżeli nasze intrygi doprowadzą do kryzysu w życiu przyjaciół, mogą oni potrzebować naszej przyjaźni bardziej niż kiedykolwiek. A więc, jeżeli tylko nie zostaniemy zdemaskowani, ten sposób przynosi podwójną korzyść: zastępcze podniecenie związane ze śledzeniem czyjegoś dramatu w walce o przetrwanie i wynikający z tego wzrost przyjaznych uczuć.

Druga forma kuszenia przetrwania per procura jest mniej szkodliwa. Polega ona na identyfikowaniu się z dramatem walki o przetrwanie fikcyjnych bohaterów książek, filmów, sztuk i seriali telewizyjnych. Ten sposób jest jeszcze bardziej popularny - tworzy on ogromny przemysł, którego jedynym celem jest sprostanie związanemu z nim zapotrzebowaniu. Sposób ten jest nie tylko bezpieczny i nieszkodliwy, ale też wyjątkowo tani. Zwykła gra w

kuszenie przetrwania może kosztować tysiące, podczas gdy ta odmiana, za nie więcej niż kilka złotych, pozwala uczestnikowi walki o bodźce, nie ruszając się z fotela, oddawać się uwodzeniu, gwałceniu, cudzołożeniu, głodowaniu, mordowaniu i rozbojom.

2. Jeśli stymulacja jest zbyt słaba, można zwiększyć dynamizm własnego zachowania, przesadnie reagując na normalny bodziec

Jest to zasada przesadnego angażowania się w walkę o bodźce. Zamiast wymyślać problem, dla którego trzeba następnie znaleźć rozwiązanie, można po prostu silniej reagować na już istniejący bodziec. Chociaż w swej pierwotnej funkcji nie pobudza on już tak jak dawniej, umożliwia jednak robienie czegokolwiek.

W ogrodach zoologicznych, w których zwiedzającym pozwala się karmić zwierzęta, niektóre z nich, nie mając nic innego do roboty, z nudów jedzą tak dużo, że nabawiają się nadwagi. Po zaspokojeniu głodu swoją zwykłą pełną porcją jeszcze coś skubią, bo jest to lepsze niż beczynność. Dlatego wciąż tyją albo chorują, albo jedno i drugie. Kozy zżerają całe góry kartonowych opakowań po lodach, papieru i niemal wszystkiego, co się im podaje. Strusie konsumują nawet ostre przedmioty metalowe. Klasycznym przykładem jest tu słonica, którą obserwowano cały czas w ciągu jednego typowego dnia w zoo, kiedy to (poza zwykłą, racjonalnie opracowaną dietą) pożarła ona następujące rzeczy podane jej przez zwiedzających: 1706 orzeszków ziemnych, 1330 cukierków, 1089 kawałków chleba, 811 herbatników, 198 cząstek pomarańczy, 17 jabłek, 16 kawałków papieru, 7 porcji lodów, 1 hamburgera, 1 sznurowadło i 1 skórzaną białą damską rękawiczkę. Zdarzało się, że niedźwiedzie w zoo padały, uduszone uciskiem jedzenia znajdującego się w ich żołądkach. Są to właśnie ofiary walki o bodźce.

Jednym z najdziwniejszych przykładów tego zjawiska jest wielki goryl, który systematycznie jadł, zrzucił i znowu jadł to samo, demonstrując własną wersję uczytym rzymskiej. Proces ten wzbogacił niedźwiedź indyjski, który, jak zaobserwowano, zrzucił i ponownie pożerał to samo jedzenie ponad sto razy, za każdym razem wydając bulgotanie i cmokanie charakterystyczne dla tego gatunku.

Przy ograniczonych możliwościach nadmiernego spożywania i w braku innych zajęć zwierzę zawsze może w nieskończoność przedłużać czynność czyszczenia się, mimo iż jego pióra czy sierść są już doskonale czyste i wypielęgnowane. Czasem rodzi to pewne problemy. Pamiętam pewną kakadu żółtoczubą, której pozostało tylko jedno skrzydło i długi żółty czub, cała zaś reszta jej ciała była tak dokładnie oskubana jak kurczak gotowy do pieczenia. Był to

przypadek skrajny, ale nie odosobniony. Ssaki potrafią drapać i lizać wyliniałe miejsca na swoim ciele aż do powstania ran, co tworzy błędne koło -rany drażnią zwierzę, które -podrażnione -rozdrapuje rany nieraz aż do kości.

Przykre formy walki o bodźce są też dobrze znane jej ludzkim uczestnikom. U niektórych dzieci długo utrzymuje się nawyk ssania palca jako skutek niewłaściwych więzi z matką. W miarę dorostania angażujemy się w jedzenie jako zajęcie zastępcze, jedynie dla zabicia czasu bezmyślnie gryząc czekoladki czy herbatniki, i przez to tyjemy jak niedźwiedzie w zoo. Nadmierną samo pielęgnacją możemy, podobnie jak kakadu, wyrządzić sobie krzywdę. U człowieka przybierze to zapewne formę obgryzania paznokci czy zdrapywania strupów. Wypełnianie czasu popijaniem słodkich i rozcieńczonych trunków może nas doprowadzić do otyłości, natomiast picie trunków mocnych i nie rozcieńczonych -do nałogu i uszkodzenia wątroby. Palenie tytoniu także może służyć zabijaniu czasu i także wiąże się z określonymi niebezpieczeństwami.

Niewłaściwie prowadzona walka o bodźce kryje w sobie, rzecz jasna, pewne pułapki. Chodzi o to, że owe czynności, w które ludzie nadmiernie się angażują celem zabicia czasu, są tak jałowe, że uniemożliwiają jakikolwiek rozwój. Można je tylko w kółko powtarzać, rozciągając w czasie. Aby uzyskać jakiś znaczący efekt, trzeba się w nie angażować przez dłuższe okresy, co prowadzi do negatywnych skutków. Nie są one groźne jako pomniejsze sposoby na zabicie czasu, ale gdy stosuje się je w nadmiarze, mogą wyrządzić znaczne szkody.

3. Jeśli stymulacja jest zbyt słaba, można zwiększyć dynamizm własnego zachowania, wynajdując nowe zajęcia

Jest to zasada kreatywności. Gdy znane wzorce są już zbyt nudne, inteligentne zwierzę w zoo musi wynaleźć nowe. Na przykład żyjące w niewoli szympansy potrafią wprowadzać innowacje, wypróbowując nowe możliwości poruszania się, jak przetaczanie się, powłóczenie tylnymi łapami i wykonywanie rozmaitych ćwiczeń gimnastycznych. Gdy znajdą kawałek sznura, przerzucają go przez pręt w sklepieniu klatki i wieszają się na nim, chwytając zębami lub łapami oba jego końce i obracając się dokoła w powietrzu jak akrobaci w cyrku.

Wiele zwierząt walczy z nudą, wykorzystując ludzi zwiedzających zoo. Gdyby zignorowały one ludzi przechodzących przed klatką, zapewne zostałyby przez nich również zignorowane, ale jeżeli w jakikolwiek sposób wzbudzą zainteresowanie sobą, w zamian ludzie będą zachęcali je do działania. Przemysłne zwierzę w zoo potrafi zmusić ludzi do

robienia zupełnie niezwykłych rzeczy. Będąc szympansem lub orangutanem, można na nich napluć, na skutek czego zaczynają oni piszczeć i gorączkowo miotać się we wszystkie strony. Pomaga to jakoś przetrwać kolejny dzień. Będąc słońiem, można na nich strzepnąć ślinę z koniuszka trąby. Będąc marsem, można, używając płetwy, ochlapać ich wodą. Będąc sroką lub papugą, można ich zachęcić do pomuskania, stosząc piórka na czubie, i wtedy dziobnąć ich w palec.

Pewien lew w niezwykle sposób wydoskonalił sztukę manipulowania widzami. Zwykle oddawał on mocz metodą stosowaną też przez kocury, to znaczy w ten sposób, że poziomym strumieniem tryskał do tyłu w kierunku jakiegoś pionowego obiektu, zostawiając na nim swoją wizytówkę zapachową. Gdy raz użył jako obiektu jednego ze stalowych prętów przedniej części klatki, zauważył, że opryskani zostali przy tym przyglądający mu się widzowie, co wywołało interesującą reakcję. Krzycząc, odskoczyli do tyłu. Po pewnym czasie nie tylko nauczył się robić to jeszcze celniej, ale też dodał nową sztuczkę. Po pierwszym spryskaniu, gdy pierwszy rząd publiczności wycofywał się, jego miejsce zajmował drugi rząd, żeby uzyskać lepszy widok. Wtedy lew, który nie zużył całego zapasu na pierwszy wytrysk, wypuszczał nowy strumień i w ten sposób udawało mu się wzbudzić reakcję również tego nowo uformowanego pierwszego rzędu.

Żebranie o jedzenie, które jest czymś innym niż ciągłe skubanie, to środek mniej drastyczny, ale też przynosi dużo zadowolenia i jest praktykowane przez wiele najrozmaitszych gatunków zwierząt. Trzeba tylko wynaleźć jakąś szczególną czynność lub pozycję, która przemawia do przechodniów i przekonuje ich, że jest się naprawdę głodnym. Małpom wystarcza wyciągnięcie otwartej łapy, ale niedźwiedzie wykazują więcej inwencji. Każdy ma własną specjalność: jeden staje na tylnych łapach i macha przednią; inny siada na zadzie i zgięty w pałąk przednimi łapami obejmuje tylne; jeszcze inny siada w pozycji wyprostowanej i zawiesza sobie przednią łapę na dolnej szczęce otwartego pyska; jeszcze inny staje i potakująco kiwa głową albo potrząsa nią, dając znak, żeby podejść bliżej. Będąc inteligentnym niedźwiedziem, bez większego trudu można wytresować publiczność w zoo, żeby odpowiednio reagowała na takie przedstawienia. Trudność polega na tym, że aby utrzymać zainteresowanie, należy ich nazbyt często nagradzać, zjadając rzeczy, które rzucają. Nieprzestrzeżenie tego powoduje, że publiczność idzie gdzie indziej i w ten sposób traci się wymyśloną przez siebie emocjonującą stymulację płynącą z interakcji towarzyskiej. Skutki tego już znamy: trzeba się znowu przestawić na mniej korzystną "zasadę przesadnego zaangażowania", co może doprowadzić do otyłości i choroby.

Najistotniejszą rzeczą w tej zoologicznej gimnastyce i sposobach zebrania jest to, że wzorce ruchowe, jakie im towarzyszą, nie występują w warunkach naturalnych. Są to wynalazki specjalne, dostosowane do warunków w niewoli.

W ludzkim zoo zasada kreatywności prowadzi do niesłychanych skrajności. Mówiłem już o tym, że gdy czynności zastępcze w walce o bodźce, często z powodu ograniczoności ich zakresu, zaczynają wydawać się bezsensowne, wówczas może wystąpić rozczarowanie. Starając się uniknąć tych ograniczeń, człowiek poszukuje coraz bardziej skomplikowanych środków ekspresji, które stają się na tyle absorbujące, że wprowadzają go na najwyższe płaszczyzny wszelakich doświadczeń, gdzie istnieją nieskończone możliwości uzyskania zadowolenia. Przenosimy się tutaj ze sfery zajęć zupełnie banalnych do pasjonujących dziedzin sztuk pięknych, filozofii i czystych nauk. Mają one tę wielką zaletę, że nie tylko skutecznie zapobiegają niedostatecznej stymulacji, ale jednocześnie do maksimum wykorzystują najbardziej imponującą fizyczną właściwość człowieka, jaką jest jego ogromny mózg.

Z powodu wielkiego znaczenia, jakiego czynności te nabrały w naszych cywilizacjach, jesteśmy skłonni zapominać, że w pewnym sensie nie są one niczym innym aniżeli mechanizmami walki o bodźce. Jak zabawa w chowanego czy gra w szachy - pomagają one spędzać czas między kołyską a grobem tym, którzy mają dość szczęścia, aby nie pogrążyć się całkowicie w walce o zwykłe przetrwanie. Mówię tu o szczęściu, bowiem, jak już wspomniałem, wielką zaletą warunków panujących w superplemieniu jest to, że daje ono ludziom stosunkowo dużo swobody w wyborze form ich działania i skoro mózg ludzki jest zdolny wymyślać tak piękne zajęcia, musimy uznać się za szczęśliwców, mogąc być uczestnikami walki o bodźce zamiast walki o przetrwanie. Człowiek-wynalazca gra tu o wszystko, czego sam jest wart. Poznając osiągnięcia nauki, słuchając symfonii, czytając poezję czy oglądając dzieła pędzla, podziwiamy człowieka nie tylko dlatego, że na takie wyżyny wznosił walkę o bodźce, ale i za niewiarygodną wrażliwość, z jaką tę walkę prowadzi.

4. Jeśli stymulacja jest zbyt słaba, można zwiększyć dynamizm własnego zachowania, normalnie reagując na nienormalnie słabe bodźce

Jest to zasada przelewu. Gdy wewnętrzna potrzeba wykonania jakiejś czynności staje się zbyt silna, może się ona "przełać", nawet przy braku zewnętrznych czynników, które ją zwykle uaktywniają.

Zjawiska, które na wolności nie zasługiwałyby na żadną reakcję, w smutnym otoczeniu zoo traktuje się z pełnym zainteresowaniem. U małp może to przybrać formę koprofagii: jeśli nie ma czegoś jadalnego do żucia, trzeba się zadowolić odchodami. Jeśli nie ma żadnego terytorium do patrolowania, trzeba się zadowolić machinalnym chodzeniem po klatce. Zwierzę wielokrotnie przemierza klatkę tam i z powrotem, wydeptując ścieżkę rytmicznym, jałowym krokiem. To też jest lepsze od bezczynności.

W braku stosownego partnera lub partnerki zwierzę może podejmować próby kopulacji dosłownie ze wszystkim, co znajduje się w pobliżu. Na przykład samotny samiec hieny zdołał sparzyć się ze swoją okrągłą miską na jedzenie, przewracając ją na drugą stronę i tak kołysząc ją pod sobą, że rytmicznie uciskała mu członek. Żyjący samotnie samiec szopa jako partnera do parzenia się używał swojego posłania. Widziano, jak uzbierał solidną wiązkę słomy, wcisnął ją pod siebie, a następnie wykonywał na niej ruchy kopulacyjne. Czasami, gdy zwierzę jest trzymane razem z przedstawicielem innego gatunku, ów obcy towarzysz może być wykorzystany jako substytut do parzenia się. Samiec jeżozwierza mieszkający razem z kolczatką wielokrotnie usiłował ją pokryć. Te dwa gatunki nie są ze sobą blisko spokrewnione, a budowa ich stosów pacierzowych wykazuje znaczne różnice, skutkiem czego stosunek ten wymagał wiele trudu ze strony bardzo sfrustrowanego samca. W innej klatce samiec małpki *saimiri* zamieszkiwał razem z samicą przypominającego kangura wielkiego gryzonia o nazwie *springhaas*, która była prawie dziesięć razy większa od niego. Niezrażone tym zwierzątko wskakiwało na grzbiet śpiącej samicy gryzonia, usiłując z nią kopulować. Te rozpaczliwe próby opisano w miejscowej prasie, wykazując przy tym całkowity brak zrozumienia istoty rzeczy. Opisano to mianowicie jako uroczą zabawę polegającą na tym, że "zwierzątko jeździło na grzbiecie wielkiego zwierza niczym mały puszysty dżokej".

Te przykłady seksualizmu przypominają fetyszyzm, ale nie można ich z nim mylić. Od "aktywności przelewowej" zwierzę wraca do normalnego zachowania, gdy tylko w otoczeniu pojawi się normalny bodziec. Opisane wyżej samce natychmiast przenosiły swoje zainteresowanie na samice własnego gatunku, gdy tylko stały się one osiągalne. Inaczej niż u fetyszystów, opisywanych w poprzednim rozdziale, nie dochodziło tu do stałego "zaczepienia się" na samicach pełniących funkcję substytutów.

Do niezwyklej aktywności przelewowej doszło między samicą leniwca a mieszkającym razem z nią samczykiem małpki *douroucoul* (*Aotus*). Na wolności zwierzę to mości sobie przytulną dziuplę, w której śpi w ciągu dnia. Samica leniwca po urodzeniu potomstwa na wolności nosi je przez pewien czas na grzbiecie. W zoo samczykowi małpki brakowało ciepłego, przytulnego legowiska, a samicy leniwca brakowało potomstwa.

Zwierzęta chytrze rozwiązały ten problem: samczyk małpki spał mocno wczepiony w grzbiet samicy leniwca.

Działanie czwartej zasady walki o bodźce polega nie tyle na szukaniu jakiegokolwiek portu podczas sztormu co na szukaniu jakiegokolwiek portu podczas ciszy morskiej, i choć w ludzkim zoo wieje wiele wiatrów, zwierzę ludzkie często znajduje się w takiej właśnie sytuacji. Z różnych powodów wzorce emocjonalne członka superplemienia wciąż ulegają zablokowaniu. Pośród materialnego dostatku istnieje wiele niedoborów w zakresie ludzkich zachowań. Dlatego człowiek, podobnie jak zwierzę w zoo, zmuszony jest reagować na najsłabsze nawet stymulacje nienormalne.

W porównaniu z innymi zwierzętami człowiek ma większe możliwości rozwiązywania problemu braku partnera seksualnego za pomocą masturbacji i u ludzi właśnie to rozwiązanie jest najpowszechniejsze. Mimo to, od czasu do czasu występuje też zoofilia, czyli kopulacja między człowiekiem a przedstawicielem innego gatunku zwierząt. Nie zdarza się ona często, ale nie jest też tak rzadka, jak się powszechnie uważa. Badania przeprowadzone niedawno w Stanach Zjednoczonych wykazały, że około 17 procent chłopców wychowywanych na farmach przynajmniej raz w życiu doznało orgazmu w "kontakcie ze zwierzęciem". Znacznie więcej angażowało się w bardziej umiarkowane formy obcowania seksualnego ze zwierzętami: w niektórych rejonach liczba sięgała aż 65 procent wszystkich chłopców mieszkających na farmach. Ulubionymi zwierzętami są zazwyczaj cieleta, osły i owce, a niekiedy także większe ptaki, takie jak gęsi, kaczki czy kury. U kobiet przejawy zoofilii występują dużo rzadziej. Spośród blisko sześciu tysięcy badanych Amerykanek tylko dwadzieścia pięć doznało orgazmu na skutek stymulacji ze strony zwierzęcia innego gatunku, zwykle psa.

Większość ludzi postrzega takie zachowania jako coś dziwaczного i odstręczającego. Sam fakt, że istnieją, świadczy o tym, jak niezwykłych sposobów mają się uczestnicy walki o bodźce, aby tylko uniknąć beczynności. Nie sposób nie dostrzec tu podobieństwa ze światem zoo.

W tej kategorii mieszczą się też inne formy zachowań seksualnych, takie jak niektóre przypadki homoseksualizmu w rodzaju "lepsze to niż nic". W braku normalnej stymulacji zaczyna wystarczać obiekt dający jakąkolwiek stymulację. Ludzie cierpiący głód zamiast nie żuć nic będą żuli drewno lub co innego nie mającego wartości odżywczej. Osobnicy agresywni, nie mając możliwości zaatakowania wroga, będą rozbijać przedmioty martwe lub kaleczyć własne ciało.

5. Jeśli stymulacja jest zbyt słaba, można zwiększyć dynamizm własnego zachowania, sztucznie powiększając wybrane bodźce

Ta zasada dotyczy tworzenia "superbodźców". Opiera się ona na prostym założeniu, że jeśli naturalne i normalne bodźce wywołują normalne reakcje, to superbodźce powinny wywoływać superreakcje: Koncepcja ta jest bardzo szeroko realizowana w ludzkim zoo, ale rzadko pojawia się w zoo zwierzęcym. Badacze zachowań zwierzęcych opracowali pewną liczbę superbodźców przeznaczonych do doświadczeń ze zwierzętami, ale spontaniczne pojawianie się tego zjawiska ogranicza się do zaledwie kilku przykładów, z których jeden opiszę szczegółowo.

Zaczerpnąłem go z moich własnych badań. Przez pewien czas utrzymywałem mieszaną kolekcję ptaków w wielkiej ptaszarni na dachu placówki badawczej. Pewnego razu ich spokój zaczęły zakłócać nocne wizyty drapieżnej sowy, która usiłowała je atakować przez odrutowanie ptaszarni. Chcąc się przekonać, o co tu chodzi, przeprowadziłem wiele obserwacji o zmierzchu. Sowa nigdy nie pojawiła się w mojej obecności, a nawet zniknęła na dobre, jednak -choć w tej sprawie nie udało mi się niczego ustalić -zauważyłem wiele dziwnych zachowań wewnątrz ptaszarni.

Wśród ptaków było parę gołębi i małych zięb zwanych wróblami jawajskimi. Zięby te zwykle spędzają noc razem, siedząc na gałęzi przytulone do siebie. Ku memu zdziwieniu zięby w ptaszarni ignorowały się wzajemnie i jako towarzyszy do spania wybierały gołębie. Do każdego puszystego gołębia przytulała się malutka zięba. Małe ptaszki, zadowolone, szybko utulały się do snu, a gołębie, z początku nieco zaskoczone obecnością tych dziwnych towarzyszy, były zbyt senne, aby coś z tym robić, i także w końcu układały się do spania.

Zupełnie nie wiedziałem, jak wyjaśnić to szczególne zachowanie się. Gatunki te nie chowały się razem, a więc nie mógł to być przejaw fałszywego wpojenia. Co więcej, zięby nawet nie urodziły się w niewoli. Wedle wszelkich reguł powinny one spać razem z innymi przedstawicielami swojego gatunku. Było też jeszcze jedno pytanie: dlaczego spośród wszystkich gatunków ptaków żyjących w ptaszarni zięby wybrały właśnie gołębie?

Wróciwszy w ciągu następnych dni do moich wieczornych czuwań, zaobserwowałem jeszcze ciekawsze zachowanie zięb.

Przed pójściem spać malutkie ptaszki często muskały dziobem swoje gołębie, która to czynność w normalnych okolicznościach zawsze jest ukierunkowana tylko na przedstawicieli własnego gatunku. Co jeszcze dziwniejsze, zięby zaczęły bawić się w przeskakowanie przez swoich ogromnych towarzyszy. Zięba wskakiwała na grzbiet swojego gołębia i zeskakiwała

po drugiej stronie, a potem wracała na poprzednie miejsce w ten sam sposób, po czym powtarzała to wiele razy. Wreszcie zobaczyłem szczyt osobliwości: jedna z malutkich zięb wpychała się pod brzuch swojego gołębia i usiłowała wcisnąć mu się między nogi. Zaspany gołąb wyprostował się na nogach i spoglądał z góry na postać szamoczącą się pod jego krągłą piersią. Gdy zięba już się usadowiła, gołąb przycupnął nad nią. I tak siedzieli razem, a różowy dzióbek zięby wystawał spod piersi gołębia.

Musiałem znaleźć jakieś wytłumaczenie tego niezwykłego związku. W gołębiach nie można było dostrzec niczego dziwnego poza ich niezwykłą tolerancją. Natomiast zięby wymagały dalszych badań. Zauważyłem, że przed udaniem się na nocleg zięby używają specjalnego sygnału, który informuje inne ptaki tego gatunku o gotowości do snu. Podczas dziennej aktywności ptaki trzymają się z daleka od siebie, ale gdy nadchodził czas, aby się zgromadzić na noc, jedna z zięb, zapewne ta najbardziej śpiąca, stroszyła piórka i przysiadła na grzędzie. Dla innych zięb w tej grupie był to sygnał, aby się przyłączyć, bez obawy, że zostaną odepchnięte. Nadfruwiała wtedy druga zięba i przysiadła obok tej pierwszej, również strosząc przy tym piórka. To samo robiły następne, trzecia, czwarta i inne, aż utworzył się rząd szykujących się do snu ptaków. Spóźnialskie często wskakiwały na grzbie ty już siedzących w rzędzie i wciskały się na cieplejsze i wygodniejsze miejsca w środku. Miałem już wszystkie potrzebne mi wskazówki.

Stroszenie piórek w czasie sadowienia się na grzędzie powodowało, że zięby wydawały się większe i bardziej kuliste niż podczas swej zwykłej aktywności w ciągu dnia. Był to podstawowy sygnał, który mówił: "Przyjdź tu do mnie na grzędę". Siedzący na grzędzie gołąb jest jeszcze większy i jeszcze bardziej kulisty i dlatego chcąc nie chcąc wysyła ziębom dużo silniejszą wersję tego samego sygnału. Co więcej, w odróżnieniu od innych gatunków zamieszkałych w tej samej ptaszarni gołębie miały identyczne jak zięby szare ubarwienie. Ponieważ były tak duże, krągłe i szare, nadawały ziębom *supersygnal*, któremu te małe ptaszki po prostu nie mogły się oprzeć. Mając wrodzony program reakcji na taką właśnie kombinację rozmiaru, kształtu i koloru, zięby automatycznie reagowały na gołębie jako na superbodźce wywołujące siadanie na grzędzie, przedkładając je nad przedstawicieli własnego gatunku. Był jednak pewien szkopuł, mianowicie -gołębie nie usadawiały się do snu w rzędach. Przytulającej się do gołębia ziębie wydawało się, że siedzi na skraju "rzędu", i dlatego wskakiwała mu na grzbiet, a nie potrafiąc znaleźć środka w rzędzie, zeskakiwała po drugiej stronie. Gołąb był tak duży, że musiał wyglądać jak cały rząd zięb, więc mały ptaszek bezskutecznie ponawiał te próby. Nie ustając w wysiłkach, zięba spróbowała w końcu

wepchnąć się pod gołębia od dołu i w ten sposób znalazła wreszcie zaciszne miejsce "w środku rzędu", to znaczy między nogami większego ptaka.

Jak już mówiłem, jest to jeden z niewielu znanych przykładów superbodźca nie funkcjonującego wśród ludzi i nie stworzonego dla celów doświadczalnych. Inne, bardziej znane przykłady zawsze polegały na użyciu eksperymentalnych atrapy. Na przykład ostrygo jady są ptakami wijącymi gniazda na ziemi. Gdy jakieś jajo wy turla im się z gniazda, wtaczają je z powrotem specjalnymi ruchami dzioba. Jeżeli obok gniazda umieści się atrapy jaj, ptaki także wtaczają je do gniazda. Gdy atrapy jaj różnią się rozmiarem, ptaki wybierają największą. Będą nawet usiłowały umieścić w gnieździe jaja wielokrotnie większe od własnych. Ptaki te także nie mogą pohamować reakcji na superbodziec.

Pisklęta mewy srebrzystej, domagając się od rodziców pokarmu, dziobią czerwoną plamkę znajdującą się u koniuszka dzioba dorosłych osobników. Reagując na to, rodzice zwracają zjedzone przez siebie ryby, karmiąc nimi pisklęta. Czerwona plamka stanowi niezbędny sygnał. Stwierdzono, że pisklęta dziobią nawet płaskie kartonowe modele głów swoich rodziców. Za pomocą serii testów ustalono, że inne szczegóły głowy dorosłych osobników nie mają żadnego znaczenia. Pisklęta dziobią nawet samą czerwoną plamkę. Co więcej, stwierdzono, że gdy pisklęta otrzymywały patyk z trzema czerwonymi plamkami, dziobały go z jeszcze większym zapałem niż kompletny i realistycznie wykonany model własnych rodziców. Patyk z trzema czerwonymi plamkami stał się superbodźcem.

Są jeszcze inne przykłady, ale wystarczą te, które tu podałem. Nie ulega wątpliwości, że naturę można poprawiać, co niektórych napawa niesmakiem. Ale powód jest prosty: każde zwierzę stanowi skomplikowany system kompromisów. Wzajemnie sprzeczne wymagania, jakie stawia przed nim przetrwanie, oddziałują w przeciwnych kierunkach. Na przykład zbyt jaskrawe ubarwienie zwierzęcia umożliwia drapieżnikom jego wykrycie. Natomiast zbyt niepozorne ubarwienie utrudnia zwabienie partnera i tak dalej. Ten system kompromisów rozluźnia się tylko wtedy, gdy sztucznie ogranicza się presje płynące z konieczności przetrwania. Na przykład zwierzęta oswojone, którymi opiekuje się człowiek, nie muszą już obawiać się drapieżników. Bez żadnego dla nich ryzyka można zastąpić ich monotonne barwy niezmaconą bielą, krzykliwą pstrokacizną czy innymi jaskrawymi wzorami. Gdyby jednak wypuścić je na wolność, do ich naturalnego środowiska, rychło stałyby się łupem swych naturalnych wrogów.

Podobnie jak oswojone zwierzęta -człowiek żyjący w superplemieniu także może sobie pozwolić na ignorowanie wymagań, jakie narzuca naturalnym bodźcom konieczność przetrwania. Może on tymi bodźcami manipulować, wyolbrzymiać je i zniekształcać wedle

własnych zachcianek. Wzmacniając je w sposób sztuczny, tworzy superbodźce, co daje mu możliwość kolosalnego wzmocnienia reakcji. W swym superplemiennym świecie człowiek przypomina ostrygo jada otoczonego ogromnymi Jajami.

Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie można dostrzec przejawy jakiejś superstymulacji. Podoba nam się kolor kwiatów, więc hodujemy większą i bardziej jaskrawą ich odmianę. Lubimy rytm, z jakim porusza się nasze ciało, więc wymyślamy gimnastykę. Lubimy jeść, więc przyprawiamy sobie potrawy, żeby były jeszcze pikantniejsze i smaczniejsze. Lubimy pewne zapachy, więc produkujemy silnie pachnące perfumy. Lubimy wygodnie spać, więc konstruujemy superłóżka ze specjalnymi sprężynami i materacami.

Na początek przyjrzyjmy się naszemu wyglądowi -ubrani i kosmetykom. Wiele ubiorów męskich ma dodatkowo wypychane ramiona. W okresie dojrzewania istnieje wyraźna, zależna od płci różnica w szybkości wzrostu ramion: chłopcy mają barki szersze niż dziewczęta. Jest to naturalny, biologiczny sygnał dojrzałej męskości. Wypychane barki oznaczają supermęskość, nic więc dziwnego, że w szczególnie wyolbrzymionej formie znajduje to zastosowanie w tej najbardziej męskiej domenie, jaką jest wojsko, gdzie sztywne epolety służą dodatkowemu wzmocnieniu efektu. Cechą dorosłości, zwłaszcza u *mężczyzn*, jest też wyższy wzrost i dlatego wiele ubiorów, które mają związek z postawą agresywną, wieńczy się jakimś wysokim nakryciem głowy, co ma stworzyć wrażenie superwzrostu. Niewątpliwie chętnie też chodzilibyśmy na szrudłach, gdyby nie to, że są one tak niewygodne.

Mężczyźni pragnący mieć supermłodzieńczy wygląd mogą nosić tupeciki przykrywające im łysinę, sztuczne zęby wypełniające podstarzałą jamę ustną i gorsety ściskające obwisłe brzuchy. Znane są też przypadki młodych kierowników i dyrektorów, którzy usiłują sobie nadać superpoważny wygląd i w tym celu farbują na siwo swoje młodzieńcze fryzury.

U dojrzewającej dziewczyny następuje wzrost piersi i poszerzanie się bioder, co stanowi oznakę kobiecej dojrzałości. Wyolbrzymiając te cechy, kobieta może spotęgować sygnały płci. Może więc zastosować wiele różnych metod, aby podwyższyć, wypchać, wyprofilować lub napompować sobie piersi. Ściskając się w pasie, może zwiększyć różnicę między talią a biodrami. Może też wypchać suknię w okolicy pośladków i bioder, co praktykowano na największą skalę w czasach turniur i krynolin.

Inną zmianą, która towarzyszy dojrzewaniu kobiety, jest nieproporcjonalny wzrost nóg w stosunku do reszty ciała. Długie nogi mogą więc stać się symbolem seksualności, a wyjątkowo długie nogi stają się seksualnie atrakcyjne. Same nogi, jako naturalne części ciała,

nie mogą, rzecz jasna, stać się superbodźcami (choć pomagają w tym nieco wysokie obcasy), ale sztucznie wydłużone nogi jako atrybut kobiecości mogą pojawiać się w rysunkach i obrazach o treści erotycznej. Pomiary dziewcząt z plakatów i okładek wykazują, że to sposób portretowania sprawia, iż mają one nienaturalnie długie nogi, często półtora raza dłuższe od nóg autentycznych modelek. Aktualna moda na bardzo krótkie spódniczki działa podniecająco nie tylko ze względu na to, że odkrywa pewne partie ciała. W krótkiej spódniczce nogi wydają się dłuższe niż w noszonych dawniej dłuższych spódnicach.

Jaskrawe przykłady superstymulacji można znaleźć w dziedzinie damskich kosmetyków. Czysta, nieskazitelna skóra jest zawsze i wszędzie seksualnie atrakcyjna. Jej gładkość można zwiększyć stosując pudry i kremy. W czasach kiedy ważne było, aby pokazać, że kobieta nie musi harować na słońcu, kosmetyki pomagały jej uzyskać super biel odkrytych partii skóry. Gdy zmieniły się warunki i ważne stało się pokazywanie, że stać ją na próżniacze wylegiwanie się na słońcu, cenioną cechą stała się skóra opalona. I znów z pomocą przyszły kosmetyki, zapewniające skórze super brąz. Bywały też okresy, gdy do dobrego tonu należało prezentowanie dobrego stanu zdrowia, wówczas róż dawał super rumieńce. Inną cechą skóry kobiety jest mniejsza niż u mężczyzny ilość owłosienia. I tu można osiągnąć super efekt stosując różne rodzaje depilacji, która pozwala usunąć włoski za pomocą golenia czy szorowania nóg albo dość bolesnego wrywania ich ze skóry twarzy. Mężczyźni mają zazwyczaj brwi bardziej krzaczaste niż kobiety, dlatego i tu super kobiecość można uzyskać wrywając włoski. Gdy doda się do tego super makijaż oczu, pomadkę do ust, lakier do paznokci, perfumy, a nawet sporadyczne różowienie sutków, łatwo się będzie przekonać, jak mozolnie człowiek realizuje zasadę super normalności jako element walki o bodźce.

W poprzednim rozdziale zauważyliśmy już, do jakich to radykalnych środków uciekano się, aby męski członek mógł stać się super symbolem fallicznym. W zwykłym ubiorze nie osiągnięto tu zbyt wiele, z wyjątkiem krótkiego okresu chwały w czasach woreczków na genitalia. Dziś pozostało z tego niewiele więcej niż super wiązka włosów łonowych w postaci ozdobionej futrem torby, którą Szkoci noszą w okolicy krocza.

Przedziwna dziedzina afrodyzjaków zajmuje się wyłącznie super stymulacją seksualną. W wielu kulturach odwiecznym zwyczajem starzejący się mężczyźni stosowali sztuczne środki, usiłując pobudzić swoje słabnące reakcje seksualne. Na liście afrodyzjaków znajduje się ponad dziewięćset specyfików, w tym tak cudowne jak woda anielska, garb wielbłąda, łajno krokodyla, sperma jelenia, gęsie ozorki, bulion z zająca, lwie sadło, szyjki ślimaka i genitalia łabędzia. Niewątpliwie wiele z tych preparatów odnosiło pożądaną skuteczną

nie z racji ich właściwości chemicznych, lecz z powodu ich wygórowanej ceny. Na Wschodzie sproszkowany róg nosorożca osiągnął tak wielką wartość jako superbodziec seksualny, że niemal wyginęły tam niektóre gatunki nosorożców. Nie wszystkie afrodyzjaki były przeznaczone do łykania. Niektóre z nich należało wcierać, palić., wciągać nosem lub nosić na sobie. Od wonnych kąpeli po aromatyczną tabakę wszystko liczyło się w gorączkowym poszukiwaniu coraz silniejszej i coraz ostrzejszej stymulacji.

Współczesna farmacja nie jest tak bardzo ukierunkowana na seks, ale i ona oferuje najrozmaitsze superbodźce. Istnieją pigułki nasenne, które umożliwiają super sen, pigułki pobudzające, które wywołują super ożywienie, środki przeczyszczające, które powodują super wydalanie, preparaty kąpielowe, które zapewniają super czystość, i pasta do zębów, która daje super uśmiech. Dzięki ludzkiej pomysłowości nie ma właściwie żadnej naturalnej dziedziny, której nie można by jakoś sztucznie wzbogacić..

Dziedzina reklamy handlowej to wrzący kocioł superbodźców, z których każdy ma zdobyć przewagę nad innymi. Gdy konkurujące ze sobą firmy rzucają na rynek niemal identyczne produkty, walka o superbodźce staje się wielkim biznesem. Każdy produkt należy przedstawić w bardziej stymulujący sposób niż produkt konkurencyjny. Wymaga to nieustannego skupiania uwagi na szczegółach dotyczących kształtu, faktury, wzoru i koloru. Zasadniczą cechą superbodźca jest to, że nie *wszystkie* elementy naturalnego bodźca, z którego się wywodzi, muszą ulec wyolbrzymieniu. Ostrygo jad reagował na atrapę jaja, która była super jajem jedynie pod względem rozmiaru. Pod względem kształtu, koloru i faktury była ona podobna do normalnego jaja. Eksperyment z pisklętami mewy poszedł o krok dalej. Wyolbrzymiono w nim niezbędne tam czerwone plamki, a dodatkowo wyeliminowano wszystkie inne, nieistotne cechy rodziców. Zastosowano więc dwojaki zabieg: powiększenie bodźca istotnego i wyeliminowanie bodźców nieistotnych. W eksperymencie tym było to potrzebne jedynie do wykazania, iż reakcję wywoływały same czerwone plamki. Krok ten sprzyjał też jednak zwróceniu większej uwagi na czerwone plamki dzięki usunięciu elementów nieistotnych. W świecie ludzi ten dwojaki zabieg znalazł zastosowanie w wielu super bodźcach i przyniósł znakomite wyniki. Można go uznać za dodatkową, pomocniczą zasadę walki o bodźce.

Głosi ona, że gdy wybrane bodźce ulegają sztucznemu powiększeniu do wymiarów superbodźców, efekt można jeszcze wzmocnić redukując inne (nie wybrane lub nieistotne) bodźce. Powstające w ten sposób subbodźce sprawiają, że działanie superbodźców wydaje się relatywnie silniejsze. Jest to zasada *ekstremizmu stymulacyjnego*.

Gdy chcemy się rozerwać za pomocą książek, sztuk, filmów lub piosenek, poddajemy się takiej właśnie procedurze. Jest to istota procesu zwanego dramatyzacją. Codzienne czynności wykonywane tak jak w rzeczywistym życiu nie byłyby dostatecznie ekscytujące. Należy je wyolbrzymić. Stosując zasadę ekstremizmu stymulacyjnego, usuwamy nieistotne szczegóły, a inne, ważne uwypuklamy i wyolbrzymiamy. Ten negatywny proces wciąż funkcjonuje nawet w najbardziej realistycznych szkołach aktorskich, jak również w literaturze faktu i filmach dokumentalnych. Elementy nie mające związku z tematem odrzuca się, przez co pośrednio wyolbrzymia się inne. Bezpośrednie formy wyolbrzymienia odgrywają większą rolę w bardziej stylizowanych spektaklach, takich jak opera i melodramat. Warto przy tym zauważyć, że głosy, kostiumy, gesty, akcja i fabuła mogą być bardzo odległe od rzeczywistości, a mimo to bardzo silnie oddziaływać na ludzki umysł. Jeśli wydaje się to komuś dziwne, niech sobie przypomni ptaki doświadczałne. Pisklęta mewy były gotowe reagować na substytut rodziców w postaci czegoś tak odległego od dorosłej mewy jak patyk z trzema czerwonymi plamkami. Nasze reakcje na wysoce wystylizowane rytuały operowe wcale nie są bardziej dziwaczne.

Świetną ilustracją tej zasady są dziecięce zabawki, lalki i kukiełki. Na przykład w twarzy szmacianej lalki pojawiają się pewne uwypuklone cechy istotne, a inne cechy są pominięte. Oczy stają się wielkimi czarnymi plamami, natomiast brwi nie ma wcale. Usta ukazane są w szerokim uśmiechu, podczas gdy nos jest zredukowany do dwóch kropek. Wejście do sklepu z zabawkami oznacza wejście w świat skontrastowanych ze sobą superbodźców i subbodźców. Jedynie zabawki dla starszych dzieci stają się mniej kontrastowe i bardziej realistyczne.

To samo można powiedzieć o rysunkach wykonanych przez dzieci. Na tworzonych przez nie wizerunkach postaci ludzkich powiększone są te elementy, które dzieci uznają za ważne, natomiast elementy uznane przez nie za nieważne ulegają redukcji lub są pominięte. Najbardziej nieproporcjonalnie powiększone bywają zwykle głowa, oczy i usta. Są to części ciała mające największe znaczenie dla małego dziecka, jako obszary związane z ekspresją wzrokową i z komunikowaniem się. Zewnętrzne części ucha ludzkiego nie mają siły ekspresywnej, są stosunkowo mało ważne, toteż bywają często całkowicie pomijane.

Podobny ekstremizm wizualny panuje też w sztuce ludów pierwotnych. Głowy, oczy i usta są zwykle nienormalnie duże w stosunku do wymiarów ciała, a inne rysy, podobnie jak na rysunkach dziecięcych, ulegają redukcji. W zależności od sytuacji różni się jednak wybór bodźców, które mają ulec powiększeniu. Postać ukazana w biegu ma zwykle przesadnie duże nogi. Jeśli zaś jest ukazana w pozycji stojącej i nic nie robi rękami ani nogami, wówczas

kończyny mogą mieć kształt kikutow albo też całkowicie zaniknąć. Prehistoryczna figurka przedstawiająca płodność może mieć wyolbrzymione organy mające związek z rozrodem przy jednoczesnym pominięciu innych szczegółów. Taka postać może imponować ogromnym brzemiennym brzuchem, wielkimi wypukłymi pośladkami, szerokimi biodrami i obfitym biustem, a wcale nie mieć nóg, rąk, szyi czy głowy.

Takie graficzne manipulowanie przedmiotem określa się często jako tworzenie brzydkich deformacji, co sugeruje, że piękno postaci ludzkiej ulega tu jakoby złośliwemu zniszczeniu i znieważeniu. Gdyby jednak, o ironio, ci krytycy zechcieli się przyjrzeć, w jaki sposób przyozdabiają własne ciała, przekonaliby się, że ich wygląd niezupełnie odpowiada temu, "co zamierzyła natura". Podobnie jak dzieci i prymitywni artyści mają oni swój udział w "deformowaniu" rzeczywistości i tworzeniu super- i subelementów.

Urok ekstremizmu stymulacyjnego w dziedzinie sztuki polega na różnorodności nowych form harmonii i równowagi, które powstają w wyniku takich modyfikacji, jak też i na tym, że są one różne w różnych dziełach i różnych miejscach. We współczesnym świecie takie wyolbrzymienia wizualne występują głównie w animowanych kreskówkach, a szczególną formę przybierają w sztuce karykatury. Mistrz karykatury wybiera najbardziej rzucające się w oczy cechy twarzy swojej ofiary, po czym zręcznie uwydatnia te już i tak wydatne, doprowadzając je do wymiarów super cech. Jednocześnie redukuje cechy mniej widoczne. Na przykład duży nos może być dwa czy nawet trzy razy większy, a mimo to twarz pozostaje rozpoznawalna. W gruncie rzeczy staje się jeszcze lepiej rozpoznawalna. Poszczególne twarze rozpoznajemy bowiem, porównując je psychicznie do idealnej "typowej" twarzy ludzkiej. Jeśli dana twarz ma w sobie pewne elementy mniej lub bardziej wyraziste, większe albo mniejsze, dłuższe albo krótsze, ciemniejsze albo jaśniejsze niż w naszej "typowej" twarzy, wówczas łatwiej ją zapamiętujemy. Rysując udaną karykaturę, artysta musi intuicyjnie wyczuć, które cechy twarzy zostały przez nas w ten sposób wybrane, i przedstawić cechy bardziej wyraziste jako super cechy, a mniej wyraziste jako subcechy. Jest to w zasadzie ten sam proces, z którym mamy do czynienia w rysunkach dziecięcych i w sztuce ludów pierwotnych, z tym że karykaturzystę interesują przede wszystkim różnice indywidualne.

Zasada ekstremizmu stymulacyjnego funkcjonowała w sztukach wizualnych w ciągu długiej ich historii. Niemal wszystkie wczesne formy sztuki są pełne modyfikacji "super" i "sub". Jednakże z upływem wieków sztukę europejską powoli opanowywał realizm. Malarz i rzeźbiarz zostali obarczeni zadaniem jak najdokładniejszego rejestrowania świata zewnętrznego. Dopiero w ostatnim wieku, gdy to wielkie zadanie przejęła nauka (dzięki

rozwojowi fotografii), artyści odzyskali większą swobodę w traktowaniu tematu. Z początku reagowali nieśpiesznie i chociaż ich kajdany zaczęły kruszeć już w dziewiętnastym wieku, dopiero w dwudziestym ostatecznie je zrzucili. W ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat przychodziły kolejne fale buntu, podczas których ekstremizm stymulacyjny uzyskiwał coraz silniejszą pozycję. Znow znalazła zastosowanie reguła: powiększaj wybrane elementy i eliminuj pozostałe.

Z początku tego rodzaju manipulacja portretami ludzkiej twarzy, dokonywana przez współczesnych artystów, wywołała oburzenie. Obrazy takie wyszydzano jako dekadencje szaleństwa, jakby odzwierciedlały one jakąś nową chorobę trapiącą ludzkość w dwudziestym wieku, a nie były powrotem do tego, co w sztuce ważniejsze -walki o bodźce. Bez oporów zaakceptowano melodramatyczną przesadę w zachowaniu człowieka na scenie teatralnej, w balecie i w operze, a także skrajne wyolbrzymienia ludzkich emocji wyrażane w piosenkach i w poezji, ale musiało upłynąć sporo czasu, nim oswojono się z podobnymi skrajnościami stymulacyjnymi w sztukach wizualnych. Gdy zaczęły pojawiać się obrazy całkowicie abstrakcyjne, zaatakowano je jako pozbawione wszelkiego sensu, chociaż atak ten wyszedł od osób, które znajdowały wielkie upodobanie w całkowitej abstrakcyjności wykonań form muzycznych. Ale muzyki nigdy nie udało się skrupować estetycznym kaftanem bezpieczeństwa, jakim byłaby konieczność odtwarzania jedynie dźwięków naturalnych. Zdefiniowałem superbodziec jako sztuczne wyolbrzymienie bodźca naturalnego, ale pojęcia tego można również użyć w szczególnym sensie w odniesieniu do bodźca wynalezionego. Posłużę się tu dwoma oczywistymi przykładami. Różowe usta pięknej dziewczyny są niewątpliwie zupełnie naturalnym bodźcem biologicznym. Gdy wyolbrzymia ona ten bodziec, malując usta na jeszcze bardziej jaskrawy odcień różu, w oczywisty sposób zmienia bodziec naturalny w superbodziec. Sprawa jest zupełnie prosta i dotąd zajmowałem się takimi właśnie przykładami. Jak jednak potraktować błyszczący, nowy samochód? Może on być również bardzo stymulujący, ale jako wynalazek człowieka jest to bodziec całkowicie sztuczny. Nie istnieje żaden naturalny model biologiczny, wedle którego można by ocenić, czy coś uległo tu wyolbrzymieniu. A jednak patrząc na rozmaite otaczające nas samochody, bez trudu możemy wśród nich wyróżnić te, które mają cechy super samochodów. Są one większe i wywierają silniejsze wrażenie niż większość innych samochodów. Producenci samochodów tak samo dbają o tworzenie superbodźców jak producenci szminki do ust. Sytuacja jest tu bardziej płynna, gdyż nie istnieje żadna naturalna, biologiczna podstawowa linia, stanowiąca punkt wyjścia; w zasadzie jednak mamy tu do czynienia z tym samym procesem. Gdy już nowy bodziec zostanie wynaleziony, wytwarza on własną podstawową linię. W każdym dowolnym

momencie historii motoryzacji można by sporządzić szkic typowego, zwykłego, czyli "normalnego" w danym czasie samochodu. Można by też sporządzić szkic znakomitego samochodu luksusowego, który byłby super pojazdem czasów. Jedyna różnica między tym przykładem szminki do ust polega na tym, że "linia normalności" w dziedzinie samochodów zmienia się wraz z rozwojem techniki, w dziedzinie szminki zaś pozostaje niezmienna, bowiem naturalne różowe usta są wciąż takie same.

Zasada superbodźców znajduje ciągle szerokie zastosowanie i w takiej czy innej formie przenika do wszelkich naszych poczynąń. Będąc uniezależnieni od wymogów stawianych przez zwykłą konieczność przetrwania, wyciskamy ostatnią kroplę stymulacji ze wszystkiego, co mamy w zasięgu rąk i oczu. W rezultacie czasami nie jesteśmy już w stanie tego strawić. Szkopuł w tym, że wzmacniając bodźce, wzmacniamy też nasze reakcje, narażając się na ryzyko wyczerpania. Odczuwamy znudzenie. Zaczynamy rozumieć myśl Szekspira:

Złocenie złota, malowanie lilii

I polewanie fiołka pachnidłami...

Jest to zbytyczny, godny śmiechu nadmiar.

Ale zmuszeni też jesteśmy przyznać za Wilde'em: "Nic tak nie popłaca jak zbytek". Cóż więc czynimy w tej sytuacji? Otóż zaczynamy stosować jeszcze jedną zasadę pomocniczą walki o bodźce.

Głosi ona, że ponieważ superbodźce są tak potężne, a nasze reakcje na nie mogą się wyczerpać, od czasu do czasu musimy zmieniać elementy, które stają się obiektem wyolbrzymienia. Innymi słowy, wprowadzamy urozmaicenia. Gdy następuje taki zwrot, ma on zwykle dramatyczny przebieg, gdyż oznacza zmianę całego kierunku. Nie wstrzymuje to jednak walki o bodźce w danej dziedzinie, lecz jedynie przesuwają akcenty "super" z jednych obszarów w inne. Najlepiej widać to w sferze strojów i przyozdabiania ciała.

W modzie damskiej, gdzie głównie chodzi o popis płciowości, dało to w efekcie coś, co eksperci mody nazywają prawem zmienności stref erogennych. Formalnie biorąc, strefa erogenna to taki obszar ciała ludzkiego, który jest szczególnie bogato wyposażony w zakończenia nerwowe reagujące na dotyk i którego bezpośrednia stymulacja powoduje podniecenie seksualne. Głównymi takimi obszarami są okolice genitaliów, piersi, usta, płatki uszu, pośladki i uda. Czasami szyja, pachy i pępek. Oczywiście moda damska nie służy stymulacji przez dotyk, lecz raczej wizualnemu demonstrowaniu (lub ukrywaniu) tych

wrażliwych obszarów. W sytuacjach skrajnych wszystkie te obszary mogą zostać ukazane jednocześnie albo też, jak w damskich strojach arabskich, wszystkie jednocześnie mogą zostać ukryte. W przeważającej części społeczeństw superplemiennych pewne obszary się ukazują, inne jednocześnie ukrywając. Ewentualnie pewne obszary się uwydatniają, inne równocześnie niwelując.

Prawo zmienności stref erogennych traktuje o tym, w jaki sposób, w miarę upływu czasu, zgodnie ze zmieniającą się modą, skupianie uwagi na jednym obszarze ustępuje miejsca skupianiu uwagi na innym. Jeżeli nowoczesna kobieta zbyt długo uwydatnia jedną okolicę swojego ciała, okolica ta traci atrakcyjność i aby od nowa pobudzić zainteresowanie, konieczny jest szczególny efekt wstrząsowy.

Ostatnimi czasy dwie główne strefy erogenne, jakimi są piersi i miednica, pozostają zwykle zakryte, ale na różne sposoby ulegają uwydatnieniu. Jednym z nich jest wypychanie lub ścieśnianie stroju, co wyolbrzymia kształty ciała w odpowiednich miejscach. Innym - maksymalne powiększanie miejsc odkrytych w pobliżu stref erogennych. Gdy odkryte obszary sięgają okolic piersi, jak na przykład w ubiorach o bardzo głębokim dekolcie, wówczas powiększa się zakryty obszar w okolicach miednicy, to znaczy suknie ulegają wydłużeniu. Gdy zaś strefa zainteresowania przesuwa się i spódnice ulegają skróceniu, zmniejsza się dekolt. Gdy popularnością cieszyły się stroje odsłaniające brzuch i okolice miednicy, pozostałe strefy bywały starannie zakryte, do tego stopnia, że często noszono wówczas jakiś rodzaj spodni, by zakryć nogi.

Głównym problemem dla projektantów mody jest to, że stosowane przez nich superbodźce są związane z podstawowymi właściwościami biologicznymi. Istnieje tylko kilka stref mających tu zasadnicze znaczenie, co poważnie ogranicza projektantów i zmusza ich do niekorzystnego powtarzania tych samych cykli. Trudność tę udaje im się przezwyciężyć jedynie dzięki niezwyklej pomysłowości. Różne rzeczy można też wyczyniać z głową. Uszy uwydatnia się kolczykami, szyję -naszyjnikiem, a twarz -makijażem. Tu także stosuje się prawo zmienności stref erogennych, co przejawia się w tym, że gdy makijaż oczu staje się szczególnie widoczny i obfity, usta robią się bardziej blade i mniej wyraziste.

Cykle mody męskiej przebiegają według nieco innego wzoru. W ostatnich czasach mężczyzna kładzie większy nacisk na demonstrację swojego statusu niż swojej seksualności. Wysoki status oznacza dostęp do rozrywek w czasie wolnym od pracy, przez co najbardziej charakterystycznym kostiumem związanym z wolnym czasem jest strój sportowy. Badacze historii mody odkryli znamieny fakt, że praktycznie wszystko, co obecnie noszą na sobie

mężczyźni można zakwalifikować jako "strój eksportowy". Można dowiedzieć, że nawet najbardziej uroczyste uniformy mają takie właśnie pochodzenie.

System ten funkcjonuje w następujący sposób. W każdym momencie historii najnowszej istniał jakiś wysoce funkcjonalny strój na użytek uprawianego aktualnie sportu wysokiego statusu społecznego. Noszenie takiego stroju oznacza, że ma się dość czasu i pieniędzy, aby uprawiać ten rodzaj sportu. Taki zewnętrzny wyraz statusu może stać się wyrazem superstatusu, a to wtedy, kiedy ktoś nosi taki strój na co dzień, nawet jeśli nie uprawia danej dziedziny sportu. W ten sposób demonstracja ulega wyolbrzymieniu przez rozpowszechnienie. Strój sportowy stanowi wtedy sygnał "mam dużo wolnego czasu" i może się nim posługiwać także mężczyzna, którego nawet nie stać na uprawianie danej dziedziny sportu. Po pewnym czasie, gdy taki strój przyjmie się jako ubiór codzienny, traci on swoją siłę oddziaływania. Aby znaleźć jakiś niezwykły strój, trzeba wtedy zawłaszczyć jakąś nową dziedzinę sportu.

W osiemnastym wieku angielscy dżentelmeni mieszkający na wsi demonstrowali swój status zajmując się polowaniem. Przyjęty na takie okazje strój był praktyczny i składał się z marynarki wyciętej z przodu, co sprawiało wrażenie, że z tyłu ma poły. Myśliwi odrzucili wielkie miękkie kapelusze, a na ich miejsce zaczęli nosić sztywne cylindry, będące prototypami kasków ochronnych. Gdy strój ten się przyjął jako ubiór znamionujący wysoki status, zaczął się też rozpowszechniać. Z początku tylko młodzież (ówczesni modnisie) używała zmodyfikowanego stroju myśliwskiego jako ubioru noszonego na co dzień. Uważano to za szczyt śmiałości, jeśli wręcz nie za skandalizujący wybryk.. Ale z czasem (gdy młodzi modnisie stawali się coraz starsi), w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku strój złożony z cylindra i fraka stał się powszechnym ubiorem codziennym.

Gdy w ten sposób frak i cylinder przyjęły się jako ubiór tradycyjny, co bardziej odważni, chcąc się popisywać posiadaniem nadmiaru wolnego czasu, musieli zastąpić go czymś nowym. Można było w tym celu zawłaszczyć inne znamionujące wysoki status sporty jak strzelectwo, wędkarstwo i golf. Kapelusze "derby", czyli filcowe kapelusze o niskim denku, zamieniły się w meloniki, a strzeleckie ubrania z tweedu - w garnitury spacerowe. Miękkie kapelusze sportowe przyjęły postać kapeluszy filcowych. W bieżącym wieku garnitur spacerowy przyjął się z upływem lat jako formalny strój codzienny, nabierając przy tym spokojniejszych i ciemniejszych barw. "Strój przedpołudniowy", składający się z cylindra i fraka, stał się jeszcze bardziej formalny i został zarezerwowany na specjalne okazje, takie jak ślub. Przetrwał też jako strój wieczorowy wraz z konkurującym z nim smokingiem, który wykształcił się z garnituru spacerowego.

Gdy tylko garnitur spacerowy utracił swój śmiały charakter, należało go zastąpić czymś, co w bardziej oczywisty sposób wiązało się ze sportem. Chociaż myślistwo może wypadło z łask, wysoki status zachowało wciąż jeździectwo, tak więc wszystko zaczęło się od nowa. Tym razem łupem padła kurtka do jazdy konnej! która wkrótce stała się znana jako "marynarka sportowa". Jak na ironię uzyskała ona tę nazwę dopiero wtedy, gdy już przestała być używana jako strój sportowy. Stała się ona owym nowym elementem nieformalnego ubioru codziennego i wciąż jeszcze pełni tę rolę. Jednak powoli zaczyna już przenikać do bardziej formalnego świata biznesmenów na kierowniczych stanowiskach. Wdarła się nawet do tego sanktuarium elegancji, jakim jest oficjalny obiad, gdyż co śmielsi strojnisi odważają się ją nosić jako wzorzysty smoking.

Wraz z rozprzestrzenieniem się marynarki sportowej, rozprzestrzenił się też sweterek z wysoką stójką wokół szyi noszony do gry w golfa. Golf jest także sportem wysokiego statusu, toteż szczęśliwcowi noszącemu typowy sweterek do golfa przydawał on tegoż wysokiego statusu. Ale i ten charakterystyczny ubiór utracił już swój powab śmiałości. Ostatnio podczas uroczystego obiadu po raz pierwszy pojawił się ktoś ubrany w jedwabną wersję sweterka z golfem jako dodatku do smokinga. Młodzież męska natychmiast rzuciła się do sklepów, domagając się tego najnowszego atrybutu szturm sportu na oficjalną sztywną modę. Może golf nie robił już wrażenia jako ubiór na co dzień, ale jako strój wieczorowy mógł jeszcze szokować i dlatego łatwo zdobył szerokie uznanie.

W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat można było zaobserwować inne podobne tendencje w modzie. Mężczyźni, których stopy nigdy nie dotknęły żadnego pokładu, noszą marynarki żeglarskie z mosiężnymi guzikami. Mężczyźni i kobiety, którzy nigdy w życiu nie widzieli żadnego ośnieżonego szczytu, paradują w strojach narciarskich. Każdy sport, jeśli tylko jest ekskluzywny i kosztowny, padnie ofiarą tego zawłaszczania sygnałów, jakimi są stroje sportowe. W bieżącym stuleciu amatorskie uprawianie sportu w dużej mierze ustąpiło miejsca zwyczajowi spędzania czasu na plażach w ciepłych krajach. Zaczęło się to od szaleństwa na punkcie Riwiery Francuskiej. Turyści zaczęli tam naśladować miejscowych rybaków, nosząc takie jak oni swetry i koszule. Po powrocie do domu, ubrani w zmodyfikowane wersje tych swetrów i koszul, mogli pokazać, że spędzali wakacje w sposób, który znamionuje wysoki status. Rynek został natychmiast zarzucony stosami nowych ubiorów na co dzień. W Ameryce wśród bogatych mężczyzn o wysokim statusie zapanowała moda na posiadanie wiejskiego rancza, gdzie ubierali się oni w zmodyfikowane stroje kowbojskie. W ślad za tym po ulicach miast zaczęli paradować nie posiadający żadnych rancz mężczyźni w jeszcze bardziej zmodyfikowanych strojach kowbojskich. Ktoś mógłby

twierdzić, że moda została zapożyczona wprost z westernów, ale tak nie jest. Wówczas byłoby to tylko przebieranie, strój maskaradowy. A przecież strój ten noszą w czasie wolnym od pracy autentyczni współcześni mężczyźni o wysokim statusie, tak więc wszystko gra i wkrótce można oczekiwać kolejnej odzywki w tej licytacji mody.

Wszystko to nie wyjaśnia jeszcze dziwnego ubioru "odjazdowego" męskiego nastolatka, który nosi fulary, długie włosy, naszyjniki, kolorowe szale, bransoletki, buty z zatraskami, rozszerzane spodnie i sznurowane koszuły.

Jaki sport może być przedmiotem takiego naśladownictwa? Nastolatka w kusej spódniczce nie jest żadną zagadką. Oprócz tego, że przesunęła sferę erogenną w okolice ud, w akcie emancypacji wyrwała kartkę z męskiego żurnala mody i podkrađła kostium sportowy, aby go nosić na co dzień. Już w latach trzydziestych spódniczki do gry w tenisa, a w latach czterdziestych spódnice do jazdy na łyżwach były spódniczkami mini w pełnym sensie tego słowa. Trzeba było tylko, aby jakiś śmiały projektant mody przystosował je do codziennego noszenia. Ale co, na miłość boską, wyprawia ekstrawagancki młodzieniec? Jak się wydaje, chodzi o to, że w związku z powstałą ostatnio "subkulturą młodzieży" zaistniała potrzeba wytworzenia dla niej zupełnie nowego kostiumu, który jak najmniej przypominałby znieawidzoną "subkulturę dorosłych". W "subkulturze młodzieżowej" status w mniejszym stopniu znamionują pieniądze, a w większym seksapil i męskość. Znaczy to, że młodzi mężczyźni zaczęli się ubierać na sposób bardziej damski nie z powodu swojej rzekomej znieawidzoności (jak szydlerczo zazwyczaj utrzymują starsi), lecz dlatego, że pragną popisać się swoją atrakcyjnością seksualną. W niedawnej jeszcze przeszłości była to głównie domena kobiet, ale obecnie obejmuje już obie płcie. W gruncie rzeczy jest to powrót do wcześniejszych, przed osiemnastowiecznych zwyczajów panujących w modzie męskiej, i nie powinniśmy się dziwić, jeśli lada chwila znów pojawią się woreczki na genitalia. Jesteśmy też świadkami powrotu wyszukanego makijażu męskiego. Trudno powiedzieć, jak długo ta faza potrwa, ponieważ, w końcu starsi, już teraz zirytowani popisami młodzieńczego seksualizmu, zaczną stopniowo naśladować młodszych od siebie. Jeśli idzie o demonstrację stylu pawia, młodzi mężczyźni należący do "subkultury młodzieżowej" uderzają w najczulsze miejsce. Mężczyzna jest najbardziej sprawny seksualnie w wieku szesnastu, siedemnastu lat. Odrzucając strój znamionujący status wolnego czasu i przywdziewając strój znamionujący status seksu, młodzi wybrali idealną broń. Jednak, jak już wspominałem, młodzi ludzie i młodzi modnisie starzeją się. Ciekawe, co się zdarzy za dwadzieścia lat, gdy wyłysiali bitelsi będą jakimiś dyrektorami i gdy powstanie jakaś nowa kultura młodzieżowa.

Niemal wszystko, co dziś się nosi, jest więc rezultatem tej zasady działającej w obrębie walki o bodźce, wedle której zmiany wprowadza się celem wywołania szoku związanego z nagłym pojawieniem się czegoś nowego. To, co dziś uderza swoją śmiałością, jutro staje się pospolite i przestarzałe i szybko zapominamy, skąd się wywodzi. Ilu mężczyzn wciskających się w strój wieczorowy i wkładających na głowę cylinder zdaje sobie sprawę, że oto przywdziewają myśliwski strój ziemianina z drugiej połowy osiemnastego wieku? Ilu biznesmenów wie, że ich ciemne garnitury uszyte są według wzoru stroju sportowego z wczesnych lat dziewiętnastego wieku? Ilu młodych mężczyzn w marynarkach sportowych czuje się, jakby za chwilę mieli dosiąść konia? Ilu młodym ludziom w koszulach z rozpiętym kołnierzykiem i w luźnych swetrach wydaje się, że są rybakami znad Morza Śródziemnego? A ile młodych dziewczyn w minispódniczkach ma poczucie, że są tenisistkami lub łyżwiarkami figurowymi?

Szok szybko mija. Nowy styl jest powszechnie przyswajany, a na jego miejsce potrzebny jest nowy, który dostarczy nowej stymulacji. Jedno jest' zawsze pewne: coś, co dziś w świecie mody stanowi najbardziej śmiałą innowację, jutro stanie się szacowne i nabierze cech sformalizowanej skamieliny, którą zastąpi natłok nowych przejawów buntu. Super stymulacja, której dostarczają ekstremalne wzorce mody, nie traci swojej wielkiej siły oddziaływania jedynie dzięki tej ciągłej zmienności. Być może potrzeba jest matką wynalazków, ale jeśli chodzi o super stymulację w dziedzinie mody, to prawdziwe jest też stwierdzenie, że nowość jest matką potrzeby.

Do tej pory omawialiśmy pięć zasad walki o bodźce -wszystkie polegające na zwiększaniu dynamizmu zachowania danej osoby. Od czasu do czasu potrzebne jest jednak zachowanie o przeciwnym charakterze. Wtedy może być zastosowana zasada szоста i ostatnia:

6. Jeżeli stymulacja jest zbyt silna, można ograniczyć dynamizm swojego zachowania za pomocą stłumienia reakcji na odbierane wrażenia

Jest to zasada odcinania się. U niektórych zwierząt brak wolności powoduje lęk i stres, zwłaszcza tuż po schwytaniu, po przeniesieniu do innej klatki albo też umieszczeniu w niestosownym lub wrogim towarzystwie. W takim stanie podrażnienia zwierzęta te poddane są nienormalnej, nadmiernej stymulacji.. Jeśli nie mogą uciec lub gdzieś się ukryć, muszą jakoś wyłączyć docierające do nich bodźce. Mogą to uczynić kuląc się gdzieś w kącie i zamykając oczy. W ten sposób zamykają przynajmniej dostęp bodźcom wizualnym. Innym, bardziej skrajnym sposobem odcinania się od bodźców zewnętrznych jest nadmierny i zbyt

długi sen (ten sposób stosują również chore zwierzęta i chorzy ludzie). Nie można jednak wiecznie spać czy kulić się w kącie.

W okresach aktywności zwierzęta takie mogą w pewnym stopniu rozładować napięcie używając "stereotypów". Są to tiki, powtarzające się wedle pewnego schematu skurcze, pochylanie się, podskakiwanie, kołysanie się lub obracanie. Wszystkie te czynności przynoszą ulgę, ponieważ są one znajome dzięki temu, że wciąż się je powtarza. Zwierzęciu poddanemu nadmiernej stymulacji otoczenie wydaje się tak dziwne i przerażające, że jakakolwiek, nawet najbardziej bezsensowna, czynność działa uspokajająco, jeżeli tylko wykonywana jest wedle znajomego wzorca. Przypomina to spotkanie starego znajomego w tłumie obcych podczas przyjęcia. Stereotypy te można nieustannie obserwować w zoo. Ogromne słonie kołyszą się rytmicznie w przód i w tył, młody szympanś przechyla się raz w jedną, raz w drugą stronę, wiewiórka skacze, krążąc po małym okręgu jak motocyklista po ścianie śmierci, a tygrys trze pyskiem o kraty aż do krwi.

Zachowania takie, wywołane przez nadmierną stymulację, pojawiają się czasem również u zwierząt bardzo znudzonych, co nie jest dziełem przypadku, ponieważ stres, którego źródłem jest głęboki brak stymulacji, jest takim samym stresem jak ten, którego źródłem jest nadmierna stymulacja. Obie skrajności należą do przykrych doświadczeń, co właśnie wywołuje reakcję stereotypową, gdyż zwierzę rozpaczliwie usiłuje z powrotem uciec do złotego środka umiarkowanej stymulacji, który jest celem walki o bodźce.

Mieszkaniec ludzkiego zoo, poddany nadmiernej stymulacji o wysokim natężeniu, także stosuje zasadę odcinania się. Gdy zostanie on ogłuszony wieloma sprzecznymi ze sobą bodźcami, sytuacja staje się dla niego niemożliwa do zniesienia. Jeżeli uda mu się gdzieś uciec i schować, wtedy wszystko jest w porządku, ale liczne zobowiązania związane z życiem w superplemieniu uniemożliwiają zwykle takie rozwiązanie. Można zamknąć oczy i zatkać uszy, ale jednak trzeba tu czegoś więcej niż przepaska na oczy i zatyczki do uszu.

W ostateczności uciekamy się do środków sztucznych. Zażywamy więc proszki uspokajające, pigułki nasenne (czasem tyle, że odcinamy się raz na zawsze), nadmierne dawki alkoholu i najrozmaitsze leki. Jest to odmiana walki o bodźce, którą można nazwać chemicznymi marzeniami sennymi. By zrozumieć to określenie, warto dokładniej przyjrzeć się naturalnym marzeniom sennym.

Wielką zaletą normalnych nocnych marzeń sennych jest to, że pozwalają one uporządkować i odłożyć do archiwum chaos poprzedniego dnia. Można wyobrazić sobie przeciążone pracą biuro ze stosami dokumentów i z ogromną liczbą nowych papierów i pism, które napływają tam przez cały dzień. Piętrzą się one na biurkach w wysokich stertach.

Pracownicy biurowi nie są w stanie uporać się z przychodzącymi informacjami i wszelkimi materiałami. Mają zbyt mało czasu, by przed zakończeniem dnia pracy poumieszczać je we właściwych segregatorach. Wracają do domu, pozostawiając biuro w stanie chaosu. Następnego dnia rozpocznie się nowy napływ papierów i wkrótce sytuacja wymknie się spod kontroli.

Nadmierna stymulacja w ciągu dnia sprawia, że nasz mózg przyjmuje masę nowych informacji, z których wiele jest wzajemnie sprzecznych i trudnych do sklasyfikowania, toteż w chwili udania się na nocny spoczynek umysł przypomina biuro w stanie chaosu pod koniec dnia pracy. Ale my mamy więcej szczęścia niż przepracowani urzędnicy. W nocy ktoś przybywa do biura znajdującego się w naszej czaszce i robi porządki, starannie odkładając dokumenty do właściwych segregatorów, sprząta biuro, aby przygotować je na kolejny szturm w dniu następnym. Proces ten, który zachodzi w umyśle ludzkiego zwierzęcia, określamy mianem marzeń sennych. Być może spanie pozwala nam odpocząć fizycznie w nieco tylko większym stopniu niż zwykle bezsenne leżenie w ciągu nocy. Ale jeśli nie zaśniemy, nie będziemy mogli doświadczyć właściwych marzeń sennych. Najważniejszą funkcją snu są więc marzenia senne, nie zaś możliwość odpoczynku dla naszych znużonych członków. Śpimy, aby śnić, toteż śnimy przez większą część nocy. W tym czasie dokonuje się porządkowanie i segregowanie nowych informacji, dzięki czemu budzimy się z odświeżonym umysłem i gotowi do rozpoczęcia następnego dnia.

Gdy życie w ciągu dnia staje się zbyt gorączkowe, gdy jesteśmy zbyt intensywnie poddani nadmiernej stymulacji, wówczas zwykły mechanizm marzeń sennych wystawiony jest na zbyt ciężką próbę. Prowadzi to do sięgania po narkotyki i naraża nas na niebezpieczeństwa chemicznych marzeń sennych. W otępieniach i transach wywołanych przez środki chemiczne ma się niejasną nadzieję, że narkotyki stworzą imitację marzeń sennych. Lecz chociaż mogą one być skuteczne jako pomoc w odcięciu nas od chaotycznych informacji napływających ze świata zewnętrznego, nie są zazwyczaj w stanie wypełnić pożytecznej funkcji pomocniczej w porządkowaniu i segregowaniu tych informacji. Gdy środki te przestają działać, znika chwilowa ulga płynąca z zaniechania, natomiast problem wymagający działań pozytywnych pozostaje. Taki mechanizm jest więc ze swej natury nieskuteczny, a dodatkowo stwarza jeszcze ryzyko uzależnienia od środków chemicznych. Innym sposobem jest uprawianie czegoś, co można nazwać marzeniami medytacyjnymi, w których pewien rodzaj stanu właściwego marzeniom osiąga się za pomocą ćwiczeń kształcących procesy myślowe, takich jak joga i temu podobnych. Przypominające trans stany odciążenia się, uzyskane za pomocą jogi, voodoo, hipnotyzmu, a także pewnych praktyk

magicznych i religijnych, mają pewne cechy wspólne. Zwykle wymagają one trwających przez dłuższy czas rytmicznych powtórzeń pewnych czynności werbalnych lub fizycznych, które odrywają nas od normalnych bodźców zewnętrznych. W ten sposób pozwalają odciąć napływ licznych i zwykle sprzecznych ze sobą informacji, na przyjęcie których narażony jest człowiek podlegający nadmiernej stymulacji. Są one więc podobne do różnych postaci chemicznych marzeń sennych, ale jak dotąd nie wiadomo dokładnie, czy podobnie jak normalne marzenia sennie wywierają też ewentualnie jakiś wpływ pozytywny.

Ludzkie zwierzę, któremu nie uda się uniknąć dłużej trwającego stanu nadmiernej stymulacji, jest narażone na chorobę psychiczną lub fizyczną. W szczęśliwszych sytuacjach choroby od stresowe i rozstrój nerwowy mogą same dostarczyć sposobów leczenia. Pacjent, na skutek swojej niesprawności, zmuszony jest odciąć zbyt intensywny napływ bodźców. Łóżko jest dla chorego człowieka tym, czym kryjówka dla chorego zwierzęcia.

U osób, które wiedzą, że są narażone na działanie nadmiernej stymulacji, wytwarza się często system wczesnego ostrzegania. Może to przybrać takie formy jak odnowienie się dawnej kontuzji, ból zęba, wysypka, powiększenie migdałków lub kolejny ból głowy. Wiele osób ma jakąś taką drobną dolegliwość, która bardziej przypomina starego przyjaciela niż wroga, gdyż ostrzega ich, że "przesadzają" i że jeśli chcą uniknąć poważniejszych konsekwencji, powinni zwolnić tempo. Jeśli, co się często zdarza, dadzą się oni przekonać, aby "wyleczyć" tę drobną dolegliwość, nie muszą się obawiać, że zostali w ten sposób pozbawieni korzyści płynących z takiego systemu wczesnego ostrzegania. Najprawdopodobniej w to miejsce pojawi się u nich jakiś inny objaw.

Nietrudno zrozumieć, jak współczesny członek superplemienia może paść ofiarą takiego przeciążenia. Jako gatunek byliśmy początkowo zmuszeni do wielkiej aktywności i badawczości ze względu na szczególne wymagania narzucone przez konieczność przetrwania. Było to wymuszone przez trudną rolę myśliwych, jaką spełniali nasi dawni przodkowie. Obecnie, gdy w znacznej mierze potrafimy już kontrolować środowisko, wciąż tkwimy w starym systemie wielkiej aktywności i dociekliwości. Chociaż osiągnęliśmy już etap, w którym bez obaw moglibyśmy sobie pozwolić na dłuższy i częstszy odpoczynek i leżenie brzuchem do góry -po prostu nie potrafimy tego robić. Jesteśmy natomiast zmuszeni do uczestnictwa w walce o bodźce. Ponieważ jest to dla nas nowość, nie potrafimy jeszcze tego robić zbyt sprawnie i dlatego nieustannie albo posuwamy się zbyt daleko, albo też nie dość daleko. Wtedy, gdy tylko poczujemy, że zostaliśmy poddani nadmiernej stymulacji lub staliśmy się nadmiernie aktywni, bądź też że poddani jesteśmy niewystarczającej stymulacji lub jesteśmy niewystarczająco aktywni, uciekamy od jednej albo drugiej z tych przykrych

skrajności i angażujemy się w działania mające nam umożliwić powrót do złotego środka, jakim jest optymalna stymulacja i optymalna aktywność. Co bardziej sprawni cały czas trzymają się tego środka, natomiast reszta wychyla się wciąż to w jedną, to w drugą stronę.

W jakiejś mierze sprzyja nam powolność procesu dostosowywania się. Ktoś, kto mieszka na wsi i prowadzi stateczne i spokojne życie, rozwija w sobie tolerancję na niski poziom aktywności. Gdyby w ten spokój i ciszę wrzucić nagle zapędzonego mieszkańca miasta, wkrótce poczułby się on śmiertelnie znudzony. Natomiast gdyby mieszkańca wsi wrzucić w wir chaotycznego życia w mieście, wkrótce zacząłby on dotkliwie cierpieć z powodu stresu. Mieszkaniec miasta z przyjemnością spędza weekend na wsi, traktując to jako destymulator, natomiast dla mieszkańca wsi dzień spędzony w mieście może być stymulatorem. Jest to zgodne z zasadami równowagi obowiązującymi w walce o bodźce, ale jakiegokolwiek przedłużanie takich praktyk prowadzi do utraty równowagi.

Ciekawe, że odczuwamy znacznie mniej sympatii do człowieka, który nie umie przystosować się do niskiego poziomu aktywności, niż do człowieka nie potrafiącego przystosować się do wysokiego poziomu aktywności. Człowiek znudzony i apatyczny bardziej nas irytuje niż człowiek, któremu dokuczają przeciążenia pracą. Żaden z nich nie jest skuteczny w walce o bodźce. Obaj mogą popaść w irytację i zły humor, ale łatwiej wybaczymy przepracowanemu, a to dlatego, iż nieco wyższe ustawianie poprzeczki jest jednym z czynników kształtujących postęp cywilizacyjny. To właśnie jednostki o silnej skłonności do poszukiwań stają się wielkimi wynalazcami i zmieniają oblicze świata, w którym żyjemy. Oczywiście ci, którzy uczestniczą w walce o bodźce w bardziej zrównoważony i skuteczny sposób, także są poszukiwaczami, ale tworzą oni raczej wariacje na stare tematy, a nie nowe tematy. Są oni przy tym szczęśliwsi i lepiej przystosowani.

Jak zapewne pamiętamy, na początku mówiłem, że stawki w tej grze są wysokie. Możemy tu wygrać lub przegrać nasze szczęście, a w sytuacjach skrajnych nasze zdrowie psychiczne. Należałoby więc oczekiwać, że zbyt intensywnie poszukujący innowatorzy są raczej nieszczęśliwi, a nawet wykazują skłonności do chorób umysłowych. Biorąc pod uwagę cel walki o bodźce, można by przewidywać, że mimo swych wielkich osiągnięć ludzie tacy często muszą prowadzić życie pełne niepokoju i niezadowolenia. Historia zdaje się to potwierdzać. Niekiedy spłacamy nasz dług wobec nich, okazując szczególną tolerancję dla ich często kapryśnych i nieobliczalnych zachowań. Intuicyjnie czujemy, że jest to nieuchronny skutek braku równowagi w ich walce o bodźce. Jednakże, jak przekonamy się w następnym rozdziale, nie zawsze stać nas na taką dozę zrozumienia.

7. DOROSŁE DZIECKO

Dziecięce zabawy pod wieloma względami przypominają walkę o bodźce dorosłych. Problemami przetrwania dziecka zajmują się rodzice, dlatego dziecko dysponuje dużym zapasem nie wykorzystanej energii. Zabawa pomaga mu ją spalić. Jest jednak pewna różnica. Jak już wiemy, u dorosłych istnieją różne sposoby prowadzenia walki o bodźce, a jednym z nich jest wynajdywanie nowych wzorców zachowania. W zabawie element ten pojawia się z jeszcze większą siłą. Dla rozwijającego się dziecka dosłownie wszystko, co robi, jest jak wynalazek. Naiwność, z jaką patrzy ono na otaczające go środowisko, zmusza je niemal do angażowania się w nieustanny proces innowacji. Wszystko jest dla niego nowe. Każdorazowy udział w jakiejś zabawie stanowi odkrywczą wyprawę: odkrywanie samego siebie, swoich zdolności i możliwości, a także otaczającego je świata. Rozwijanie wynalazczości nie jest może głównym celem zabawy, ale jest jej dominującą cechą i najcenniejszą pochodną.

Dziecinne poszukiwania i wynalazki są zwykle błahe i złudne. Same w sobie znaczą niewiele. Ale jeśli towarzyszące im zdolność do dziwienia się, ciekawość świata, pęd do poszukiwań, znajdowania i sprawdzania nie zanikną z wiekiem i staną się czynnikami dominującymi również w dojrzałej walce o bodźce, przyćmiewając sobą inne, mniej korzystne możliwości, będzie to oznaczać, że została wygrana ważna bitwa, czyli bitwa o kreatywność.

Zastanawiano się często nad tajemnicą kreatywności. Uważam, że jest to w zasadzie jedynie przedłużenie istotnych cech dziecka na okres dorosłości. Dziecko zadaje nowe pytania, dorosły odpowiada na stare, a dorosłe dziecko szuka odpowiedzi na nowe pytania. Dziecko charakteryzuje się pomysłowością, dorosły produktywnością, a dorosłe dziecko pomysłową produktywnością. Dziecko bada otoczenie, dorosły je organizuje, a dorosłe dziecko organizuje swoje badania i porządkując, wzbogaca je. Na tym polega tworzenie.

Warto dokładniej przyjrzeć się temu zjawisku. Gdy młody szympan albo dziecko pozostanie w pokoju samo z jakąś jedną znaną mu zabawką, po chwili zabawy straci zainteresowanie tym przedmiotem. Gdy zamiast jednej da mu się powiedzmy pięć zabawek, pobawi się chwilę jedną zabawką, potem inną, i tak kolejno. Gdy w końcu wróci do pierwszej zabawki, nabierze ona tymczasem dla niego cech "świeżości" i znów wzbudzi w nim chwilową chęć zabawy. Jeżeli jednak otrzyma ono nieznaną i nową zabawkę, to ona właśnie skupi na sobie całą jego uwagę i wywoła silną reakcję.

Owa reakcja "nowej zabawki" jest pierwszą cechą kreatywności, ale jest to tylko pierwsza faza tego procesu. Charakterystyczny dla naszego gatunku silny pęd do eksploracji skłania nas do badania nowej zabawki i do wypróbowania jej w możliwie najwszechstronniejszy sposób. Po zakończeniu takich badań nieznana zabawka staje się nam znana. W tym momencie włącza się nasza pomysłowość, która pozwala nam znaleźć zastosowanie dla nowej zabawki albo dla tego, czego się dzięki niej nauczyliśmy i co może być pomocne w wynajdywaniu i rozwiązywaniu nowych problemów. Jeśli na skutek połączenia doświadczeń uzyskanych dzięki różnym zabawkom potrafimy więcej, niż potrafiliśmy przystępując do zabawy, oznacza to, że wykazaliśmy kreatywność.

Gdy młodego szympansa pozostawi się samego w pokoju, w którym znajduje się na przykład zwyczajne krzesło, zacznie on od zbadania go -opukiwania, uderzania, gryzienia, obwąchiwania i wdrapywania się na nie. Po chwili te dość przypadkowe zajęcia ustępują miejsca czynnościom bardziej zorganizowanym wedle pewnego wzorca. Małpa może na przykład zacząć przeskakiwać przez krzesło, traktując je jak sprzęt gimnastyczny. W ten sposób dokonuje "wynałazku" skrzyni gimnastycznej i "tworzy" nowy rodzaj gimnastyki. Wcześniej umiała już skakać przez różne rzeczy, ale niezupełnie w ten sam sposób. Łącząc ze sobą poprzednie doświadczenia z badaniem tej nowej zabawki, tworzy ona nową czynność, jaką jest rytmiczne przeskakowanie. Gdy później otrzyma bardziej skomplikowany przyrząd, znów będzie bazować na tych wcześniejszych doświadczeniach, włączając nowe elementy.

Ten proces rozwojowy wydaje się bardzo łatwy i prosty, ale nie zawsze odbywa się zgodnie z tym, co pierwotnie zapowiada. Jako dzieci wszyscy przechodzimy przez owe procesy eksploracji, wynalazczości i kreatywności, ale ostatecznie poziom kreatywności, jaki osiągają dorośli, bardzo znacznie różni się u poszczególnych ludzi. W najgorszym razie, gdy napór wymagań środowiska jest zbyt silny, trzymamy się dobrze nam znanych i ograniczonych czynności. Nie ryzykujemy żadnych nowych eksperymentów. Nie możemy wówczas marnować ani czasu, ani energii. Gdy środowisko wydaje się nam zbyt groźne, wolimy raczej być pewni swego niż martwić się, czy postępujemy właściwie: uciekamy się więc do bezpiecznych, wypróbowanych, godnych zaufania i znajomych działań zrutynizowanych. Zanim zdobędziemy się na podjęcie ryzyka eksploracji, coś musi się zmienić w środowisku. Eksploracji towarzyszy niepewność, która z kolei napawa nas lękiem. Tylko dwa sprzeczne ze sobą czynniki pozwolą nam przezwyciężyć te lęki. Pierwszy to jakieś nieszczęśliwe wydarzenie, a drugi wzmożone poczucie bezpieczeństwa. Na przykład samica szczura obciążona licznym miotem, który musi wykarmić, poddana jest dużej presji. Pracuje bez wytchnienia nad zapewnieniem im pokarmu, czystości i ochrony. Nie ma więc czasu na

jakiegokolwiek eksploracji. Dopiero gdy zdarzy się jakieś nieszczęście, na przykład gniazdo zostanie zalane lub zniszczone, owładnięta paniką, będzie zmuszona do dokonania eksploracji. Z drugiej jednak strony, jeśli młode rozwijają się pomyślnie, a jej udało się zgromadzić duży zapas pożywienia, wówczas presja się zmniejsza i szczurzyca, znajdując się w bezpieczniejszej sytuacji, może poświęcić więcej czasu i energii na eksplorację swego środowiska.

Istnieją więc dwa podstawowe rodzaje eksploracji: eksploracja przymusowa i eksploracja bezpieczna. Podobnie jest też u zwierząt ludzkich. Gdy wrze wojna i panuje chaos, społeczeństwo może być zmuszone do wykazania się większą wynalazczością, aby oddalić grożące mu nieszczęścia. Z drugiej strony społeczeństwo dobrze prosperujące i zasobne może być bardziej eksploracyjne, wychodząc z wygodnych pozycji zwiększonego bezpieczeństwa. Natomiast w społeczeństwie, które ledwo się wlecze, popęd do eksploracji jest niewielki lub wręcz nie istnieje.

Spoglądając wstecz na dzieje naszego gatunku, łatwo zauważyć, jak te dwa rodzaje eksploracji sprzyjały ludzkiemu postępowi na wyboistej drodze jego rozwoju. Porzucając wygody swojej leśnej egzystencji, którą wypełniało zbieranie owoców, i wychodząc na tereny otwarte, nasi dawni przodkowie narazili się na poważne trudności. Ekstremalne wymagania nowego środowiska zmusiły ich do eksploracji, bez której byliby skazani na zagładę. Dopiero gdy z czasem stali się skutecznie działającymi i współpracującymi ze sobą myśliwymi, presja, jakiej doznawali, zmniejszyła się. Wówczas znowu znaleźli się na etapie "wleczenia się". Stan ten trwał przez bardzo długi okres wielu tysięcy lat, gdy postęp w technice był niewiarygodnie powolny, a proste wynalazki w dziedzinie narzędzi czy broni pojawiały się w odstępach kilkuset lat.

Ostatecznie sytuacja poprawiła się dopiero wtedy, gdy z wolna rozwinęło się pierwotne rolnictwo, a środowisko znalazło się w większym stopniu pod kontrolą naszych przodków. Tam, gdzie odbywało się to szczególnie sprawnie, rozwinęła się urbanizacja, a dzięki niej można było przekroczyć próg, za którym panowało nowe i znacznie zwiększone bezpieczeństwo. Wraz z nim pojawił się natychmiast drugi rodzaj eksploracji, to znaczy eksploracja bezpieczna. To z kolei doprowadziło do coraz bardziej zdumiewających przejawów Postępu, do dalszego zwiększenia bezpieczeństwa i do nasilenia eksploracji. Niestety, nie jest to koniec tej historii. Gdyby tak było, opowieść o powstaniu cywilizacji ludzkiej byłaby dużo weselsza. Tymczasem jednak wydarzenia przybierały zbyt szybkie tempo, i jak już pokazaliśmy na kartach tej książki, wahadło poruszające się między pomyślnością a nieszczęściem poczęło gwałtownie wychylać się to w jedną, to w drugą

stronę. Ponieważ uruchomiliśmy dużo więcej czynników, aniżeli jesteśmy w stanie opanować z pomocą danego nam przez naturę wyposażenia, wspaniałe owoce postępu społecznego i jego zawilosci były równie często używane właściwie, jak i nadużywane. Nieumiejętność racjonalnego obchodzenia się z superstatusem i super władzą, które zostały nam narzucone wraz z nadejściem warunków superplemiennych, doprowadziła do nowych, jeszcze gwałtowniejszych i jeszcze bardziej wymuszających działanie nieszczęść. Gdy tylko superplemię w spokoju weszło w fazę wielkiego dobrobytu, a bezpieczna eksploracja zaczęła w pełni funkcjonować, przynosząc skutek w postaci rozkwitu kreatywności, coś się zaczęło psuć. Najeźdźcy, tyrani i agresorzy zniszczyli delikatną maszynę nowej, złożonej struktury społecznej, co doprowadziło do powrotu eksploracji przymusowej na wielką skalę. Każdy nowy wynalazek konstruktywny zaraz znajdował swoje przeciwieństwo w postaci wynalazku destruktywnego, i od dziesięciu tysięcy lat trwa to nieprzerwanie aż do dziś. Okropnościom broni jądrowej zawdzięczamy wspaniałość energii jądrowej, a wspaniałe sukcesy badań biologicznych mogą nas jeszcze doprowadzić do okropności wojny biologicznej.

Między tymi skrajnościami miliony ludzi wciąż wiedzie prosty żywot dawnych rolników, uprawiających ziemię prawie tak samo jak nasi przodkowie. W kilku regionach przetrwali też pierwotni myśliwi. Zatrzymali się oni na etapie "wleczenia się" i dlatego nie występuje u nich na ogół pęd do eksploracji. Podobnie jak pozostałe przy życiu małpy człekokształtne, a więc szympansy, goryle i orangutany, mają oni potencjał wynalazczy i eksploratorski, ale nie istnieje żadna wyraźna potrzeba, by ten potencjał wykorzystać. Doświadczenia z szympanсами w niewoli wykazały, że niezwykle szybko można je zachęcić do uruchomienia tego potencjału: potrafią one obsługiwać maszyny, malować obrazy i rozwiązywać różnego rodzaju zagadki, które się im zada. Natomiast żyjąc na wolności, nie potrafią nawet nauczyć się budowania najprostszych zabezpieczeń przed deszczem. U nich, jak też u niektórych mniej zorganizowanych społeczności ludzkich, egzystencja polegająca na "wleczeniu się", kiedy nie jest ani zbyt trudno, ani zbyt łatwo, stłumiła popęd eksploracyjny. U reszty z nas występują kolejne skrajności, skutkiem czego wciąż dokonujemy eksploracji, albo w akcie przymusu, albo w akcie poczucia bezpieczeństwa.

Od czasu do czasu ktoś z nas tęsknym okiem rzuca wstecz na "proste życie" pierwotnych społeczności i zaczyna żałować, że kiedyś opuściliśmy raj, jakim była dziewicza puszcza. Nie, kiedy całkiem serio ktoś usiłuje przekuć takie myśli w czyny. Chociaż patrzymy na to z sympatią, musimy być świadomi trudności, jakimi najeżone są takie pomysły. Główną ich słabością jest sztuczność, właściwa takim pseudo prymitywnym społecznościom odszczepieńców, jakie pojawiły się ostatnio w Ameryce Północnej i w innych miejscach.

Pomijając wszystko inne, składają się one z ludzi, którzy zakosztowali już zarówno uroków, jak i okropności egzystencji w superplemieniu. W ciągu swojego życia zostali jakby skażeni wysokim poziomem aktywności umysłowej. W pewnym sensie utracili swoją niewinność społeczną, a utrata niewinności jest nieodwracalna.

Z początku takiemu neoprymitywiście wszystko może się świetnie układać, ale jest to tylko złudzenie. W rzeczywistości dla ekspensjonariusza ludzkiego zoo powrót do prostego życia jest ogromnym wyzwaniem. Jego nowa rola może być teoretycznie prosta, ale praktyka niesie masę nowych, intrygujących problemów. Zorganizowanie pseudo prymitywnej społeczności przez dawnych mieszkańców miasta staje się w gruncie rzeczy poważnym zadaniem eksploracyjnym. To właśnie, a nie oficjalnie głoszony powrót do zwykłej prostoty, sprawia, że zamysł taki przynosi tyle satysfakcji, co może potwierdzić każdy skaut. Ale co się dzieje, gdy jakaś grupa podejmie takie wyzwanie i skutecznie się z nim upora? Odpowiedź jest zawsze ta sama, niezależnie od tego, czy pytanie było skierowane do grupy mieszkającej na zapadłej wsi lub w jaskini, czy też do pseudo prymitywnej grupy, która na własne życzenie odizolowała się w jakiejś enklawie na terenie miasta. Pojawia się tam rozczarowanie towarzyszące monotonii, która atakuje umysły nieodwracalnie przystosowane do funkcjonowania na wyższym poziomie superplemienia. Wówczas grupa albo rozpada się, albo mobilizuje się do jakiegoś działania. Gdy to nowe działanie przynosi oczekiwany skutek, społeczność wkrótce organizuje się i rozprzestrzenia. W ten sposób następuje błyskawiczny powrót do superplemiennego wyścigu szczurów.

W dwudziestym wieku trudno zachować nawet stan prawdziwie prymitywnej społeczności, jakie tworzą Eskimosi czy aborygeni, nie mówiąc już o społeczności pseudo prymitywnej. Nawet tradycyjnie oporni Cyganie europejscy stopniowo poddają się nieuchronnemu rozprzestrzenianiu się warunków panujących w ludzkim zoo.

Tragedią tych, którzy pragną rozwiązać swoje problemy za pomocą powrotu do życia w prostocie, jest to, że nawet jeśli w jakiś sposób uda się "wyłączyć" wysoce aktywny umysł, jednostki pozostają wciąż bardzo narażone na to, co dzieje się w ich małych i skorych do buntu społecznościach. Ludzkie zoo nie potrafi pozostawić ich w spokoju. Tak jak wiele prawdziwie prymitywnych ludów współczesnych będą oni wykorzystywani jako atrakcja turystyczna, albo też, jeśli staną się powodem irytacji, mogą zostać zaatakowani i rozpedzeni. Nie ma ucieczki przed potworem, jakim jest superplemień, dlatego też powinniśmy wydobyć z niego to, co się da.

Jeśli już jesteśmy skazani na bytowanie w skomplikowanym społeczeństwie -a jak się zdaje, jesteśmy -sztuka polega na tym, aby sprawić, że to *my* będziemy korzystali z *niego*, a

nie *ono z nas*. Będąc zmuszonym do prowadzenia walki o bodźce, należy koniecznie wybrać najkorzystniejszą metodę. Jak już wspominałem, najlepszym sposobem jest tu udzielenie pierwszeństwa zasadzie wynalazczości i eksploracyjności i w odróżnieniu od owych odszczepieńców, którzy zbyt wcześnie wpędzają się w eksploracyjny ślepy zaułek, świadome włączenie się z nią w główny nurt naszego bytowania w superplemieniu.

Jeżeli uznać fakt, że każdy członek superplemienia ma wolność wyboru sposobu prowadzenia walki o bodźce, pozostaje tylko pytanie, dlaczego tak rzadko wybiera on rozwiązania wymagające wynalazczości. Teoretycznie powinien spośród wszystkich wybierać takie właśnie rozwiązania, mając do dyspozycji ogromny, nie wykorzystany potencjał eksploracyjny własnego mózgu, a za sobą doświadczenie istoty wynalazczości, zdobyte podczas zabaw w dzieciństwie. W każdym rozkwitającym mieście w obrębie superplemienia wszyscy obywatele powinni być potencjalnymi "wynalazcami". Dlaczego więc tak niewielu z nich oddaje się twórczej działalności, podczas gdy inni zadowolają się wynalazkami z drugiej ręki, oglądając je w telewizji, lub też wystarcza im udział w prostych grach i sportach, w których wynalazczość jest ściśle ograniczona? Wszyscy oni zdają się mieć niezbędne przygotowanie do tego, aby stać się dorosłymi dziećmi. Superplemień, jak gigantyczny rodzic, udziela im ochrony i opieki, dlaczego więc nie u wszystkich rozwija się zdrowa, dziecięca ciekawość?

Częściowo można to wytłumaczyć faktem, że dzieci są podległe dorosłym. Zwierzęta dominujące nieuchronnie dążą do kontrolowania zachowania się zwierząt im podległych. Dorośli, choćby nie wiem jak kochali swoje dzieci, muszą widzieć w nich rosnące zagrożenie dla swojej dominacji. Wiedzą, że na skutek czekającej ich starości będą musieli w końcu ustąpić miejsca dzieciom, ale robią wszystko, aby odwlec ten straszny moment. W społeczeństwie istnieje więc silna tendencja do tłumienia wynalazczości u osób młodszych od siebie. Tendencję taką zwalczą się, doceniając u młodych ich umiejętność patrzenia "świeżym okiem" i kreatywność, ale jest to walka bardzo mozolna. Zanim nowe pokolenie osiągnie dojrzały wiek, w którym mogłoby się wykazać fantastyczną wynalazczością dorosłych dzieci, jest ono już obciążone wielkim poczuciem konformizmu. Walcząc z nim z całych sił, on z kolei staje w obliczu zagrożenia ze strony nowego młodego pokolenia, następującego poprzedniemu na pięty, i znów powtarza się proces tłumienia. Tylko ci nieliczni, którzy doświadczają niezwykłego -z tego punktu widzenia -dzieciństwa, będą mogli w wieku dojrzałym osiągnąć wysoki poziom kreatywności. Na czym polega niezwykłość tego dzieciństwa? Otóż rozwijające się dziecko albo musi podlegać tak silnym stłumieniom, że radykalnie buntuje się przeciw tradycji starszych (wielu spośród najbardziej kreatywnych

geniuszy w dzieciństwie było tak zwanymi młodocianymi przestępcami), albo też musi ono być na tyle wolne od stłumień, że prawie nie czuje na sobie ciężkiej ręki konformizmu. Jeśli dziecko podlega srożej karze za przejawy swojej wynalazczości (która przecież w swojej istocie jest rodzajem buntu), może ono przez całą resztę dorosłego życia starać się nadrobić stracony czas. Gdy zaś dziecko jest hojnie nagradzane za swoją wynalazczość, być może nigdy jej nie utraci, bez względu na to, jak silnym presjom będzie podlegało już jako osoba dorosła. Oba te typy mogą silnie oddziaływać na społeczeństwo dorosłych, ale drugi z nich zapewne w mniejszym stopniu będzie podlegał obsesyjnym ograniczeniom podczas aktów twórczych.

Ogromna większość dzieci otrzyma, rzecz jasna, za swoją wynalazczość bardziej zrównoważoną mieszaninę kary i nagrody, przez co wejdą one w dorosłe życie z osobowością zarówno umiarkowanie kreatywną, jak umiarkowanie konformistyczną. Staną się dorosłymi. Będą raczej czytać gazety niż dostarczać tematów dla gazet. Ich stosunek do dorosłych dzieci będzie dość ambiwalentny. Z jednej strony będą je chwalić za to, że są tak potrzebnym źródłem nowości, ale z drugiej będą im zazdrościć. Geniusz kreatywności, ku swej dezorientacji, będzie więc przez to samo społeczeństwo raz chwalony, a innym razem potępiany, przez co nigdy nie będzie pewien, czy znajduje akceptację w swojej społeczności.

Współczesna edukacja uczyniła wielkie postępy w promowaniu wynalazczości, ale jeszcze nieprędko pozbędzie się pędu do tłumienia kreatywności. Starsi naukowcy nieuchronnie dostrzegają zagrożenie ze strony młodych, zdolnych studentów, a przewyciężenie tego wymaga ogromnej dozy samokontroli. System jest tak pomyślany, by zadanie to ułatwiać, ale nie sprzyja mu tkwiąca w wykładowcach męska natura osobników dominujących. W tych warunkach i tak godne uznania jest to, że przynajmniej w pewnym stopniu się kontrolują. Istnieje tu różnica między poziomem szkolnym a poziomem uniwersyteckim. W większości szkół dominacja nauczyciela nad uczniami wyraża się bardzo dobitnie i bezpośrednio, zarówno w płaszczyźnie społecznej jak intelektualnej. Nauczyciel korzysta ze swego większego doświadczenia, aby podporządkować sobie większą wynalazczość swoich uczniów. Jego umysł jest już zapewne mniej elastyczny niż ich umysły, ale maskuje on tę słabość, przekazując im wiele "niepodważalnych" faktów. Nie istnieje dyskusja, lecz jedynie instruktaż. (Sytuacja ulega obecnie poprawie, są też oczywiście wyjątki, ale ta ogólna zasada wciąż jeszcze obowiązuje).

Na poziomie uniwersyteckim następuje zmiana sytuacji. Trzeba przekazać jeszcze więcej faktów, ale nie są one już tak "niepodważalne". Student może je kwestionować i oceniać, a w końcu ma tworzyć własne pomysły. Ale na obu etapach, tak na poziomie

szkolnym jak uniwersyteckim, pod powierzchnią dzieje się coś zupełnie innego, co ma niewiele wspólnego z zachęcaniem do kształcenia intelektu, a za to wiele wspólnego z wyrabianiem tożsamości superplemiennej. Aby to zrozumieć, musimy przyjrzeć się, co się działo w mniej złożonych społeczeństwach plemiennych.

W wielu kulturach dzieci wchodzące w okres dojrzewania poddawane są uroczystym rytuałom inicjacyjnym. Zabiera się je rodzicom i trzyma w oddzielnych grupach. Następnie muszą one przejść różne ciężkie próby, często związane z torturami lub okaleczeniami. Dokonuje się różnych zabiegów na ich genitaliach albo wykonuje się im na ciele nacięcia, poddaje się przypalaniu, chłostaniu lub kąsaniu przez mrówki. Jednocześnie wtajemnicza się je w plemienne sekrety. Dopiero potem zostają uznane za dorosłych członków społeczeństwa. Zanim zobaczymy, jaki ma to związek z rytuałami nowoczesnej edukacji, należy zapytać o wartość tych pozornie szkodliwych działań. Po pierwsze, izolują one dojrzewające dziecko od rodziców. Przedtem, w razie jakichś kłopotów, mogło ono zawsze przybiec do nich, by uzyskać pociechę. Teraz, po raz pierwszy, dziecko musi samo znosić ból i strach i nie może liczyć na pomoc rodziców. (Zabiegi inicjacyjne wykonywane są zwykle przez członków starszyny plemiennej w ścisłym odosobnieniu, bez udziału pozostałych członków plemienia). Pomaga to dziecku pozbyć się poczucia zależności od rodziców i zastąpić lojalność wobec domu rodzinnego lojalnością wobec społeczności plemiennej jako całości. Fakt, że w tym samym czasie dziecko dopuszcza się do plemiennych tajemnic, znanych tylko dorosłym, wzmacnia jeszcze ten proces, gdyż w ten sposób nowa tożsamość plemienna uzyskuje konkretne wsparcie. Po drugie, siła przeżyć towarzyszących takiemu instruktażowi pomaga umysłowi lepiej wchłonąć wszystkie szczegóły plemiennego nauczania. Podobnie jak my nie zapominamy szczegółów różnych traumatycznych przeżyć, na przykład wypadku samochodowego, ktoś poddawany inicjacji plemiennej do końca życia nie zapomni sekretów przekazanych mu w tak przerażającej go scenerii. Inicjacja jest więc w pewnym sensie zamierzonym nauczaniem traumatycznym. Po trzecie, taki nie w pełni jeszcze dorosły, przekonuje się z całą jasnością, że uzyskując obecnie rangę wśród starszych, ma on jednak zdecydowanie pełnić rolę podwładnego. Zawsze żywa będzie w jego pamięci władza, którą zademonstrowano na nim z taką siłą.

Nowoczesne szkoły i uniwersytety nie narażają może swoich studentów na pokąsanie przez mrówki, ale pod wieloma względami dzisiejszy system edukacyjny w uderzający sposób przypomina dawniejsze plemienne procedury inicjacyjne. Zaczyna się od tego, że dzieci zabiera się rodzicom i przekazuje w ręce starszyny superplemiennej, czyli nauczycieli i wykładowców, którzy prowadzą instruktaż wtajemniczający je w "sekrety" superplemienia.

W wielu kulturach muszą one jeszcze dziś nosić specjalne umundurowanie, które odróżnia je od innych i umacnia ich nową lojalność. Może się też zachęcać je do brania udziału w pewnych rytuałach, takich jak szkoły śpiewu czy chóry akademickie. Trudne próby plemiennych ceremonii inicjacyjnych nie zostawiają już blizn na ciele. (Niemieckie szramy odnoszone podczas pojedynków nigdy nie uzyskały szerszej popularności). Ale fizyczne próby o mniej drastycznym charakterze, takie jak chłosta w pośladki, przetrwały przynajmniej na poziomie szkolnym niemal wszędzie prawie do czasów najnowszych. Podobnie jak okaleczanie genitaliów podczas ceremonii plemiennych, ten rodzaj kary zawsze miał posmak seksualny i jest ściśle związany ze zjawiskiem seksu jako znamienia statusu.

Przy braku prób zastosowania przemocy ze strony nauczycieli rolę "starszyny plemiennej" często przejmują starsi uczniowie i sami aplikują "nowym" tortury. Takie praktyki są różne w różnych miejscach. Na przykład w jednej ze szkół nowych "wypycha się trawą", wkładając im kępki trawy w różne części garderoby. W innej "kamieniuje" się ich, co oznacza, że dostają w tyłek, leżąc w zgiętej pozycji na jakimś wielkim kamieniu. W jeszcze innej każe się im biegać po długim korytarzu w szpalerze starszych uczniów wymierzających im kopniaki. Gdzieś znów "wali" się nimi, czyli trzymając ich za ręce i nogi uderza się nimi o ziemię tyle razy, ile mają lat. Inny zabieg polega na tym, że w dniu, kiedy uczeń po raz pierwszy wkłada mundurek szkolny, każdy starszy uczeń szczypie go tyle razy, z ilu części składa się mundurek. Rzadko, ale jednak się zdarzają próby o wiele bardziej skomplikowane i niemal niczym nie różniące się od plemiennej ceremonii inicjacyjnej. Jeszcze dziś słyszy się niekiedy o wypadkach śmiertelnych, będących skutkiem takich praktyk.

Chłopiec, nad którym znęcają się starsi uczniowie, w przeciwieństwie do swego kolegi w pierwotnym plemienu może wprawdzie poskarżyć się rodzicom, ale prawie nigdy się to nie zdarza, ponieważ okryłoby go to hańbą. Wielu rodziców nie wie nawet o ciężkich doświadczeniach, jakim poddawane są ich dzieci. W jakiś magiczny sposób działa tu pradawna praktyka oddalania dziecka od rodziny.

Chociaż te nieoficjalne rytuały inicjacyjne utrzymują się jeszcze tu i ówdzie, oficjalna kara chłosty wymierzana przez nauczycieli powoli zanika z powodu nacisków opinii publicznej i zmiany poglądów niektórych nauczycieli. Jednak jeśli nawet oficjalnie zarzuca się praktykę poddawania dzieci ciężkim próbom fizycznym, wciąż, jako ich odpowiednik, pozostają trudne próby psychiczne. Niemal w całym nowoczesnym systemie edukacyjnym istnieje jedna, silnie działająca i wywierająca głębokie wrażenie forma inicjacji superplemiennej, której na imię "egzamin". Prowadzi się je w napiętej atmosferze uroczystego rytuału, odcinając przy tym uczniów od pomocy z zewnątrz. Jak w rywale

plemiennym -nikt nie może udzielić im pomocy. Muszą cierpieć sami. W każdym innym momencie życia, rozwiązując jakiś problem, mogą oni korzystać z ksiązek i informatorów albo też omawiać z kimś niektóre trudne sprawy. Nie mogą jednak tego robić podczas prowadzonych w odosobnieniu rytuałów, jakimi są wzbudzające lęk egzaminy.

By jeszcze utrudnić próbę, ściśle ogranicza się czas trwania egzaminu i włącza się go między inne egzaminy w krótkim okresie sesji, trwającej kilka dni lub tygodni. Efektem ogólnym tych zabiegów jest spora ilość psychicznej udręki, co znów przypomina nastrój bardziej prymitywnych ceremonii inicjacyjnych u pierwotnych plemion.

W wyniku zdania uniwersyteckich egzaminów końcowych studenci, którzy "przeszli próbę", uzyskują odpowiednie kwalifikacje i stają się specjalnymi członkami sektora dorosłych w superplemieniu. Przywdziewają uroczyste szaty i uczestniczą w dalszym rytuale zwanym wręczeniem dyplomów, który odbywa się w obecności akademickiej starszyny przystrojonej w jeszcze bardziej efektowne i dekoracyjne szaty.

Faza studiowania na poziomie uniwersyteckim trwa zwykle trzy lata, co jak na ceremonie inicjacyjne jest okresem dość długim, a dla niektórych nawet zbyt długim. Odcięcie od pomocy rodziców i od dodającego otuchy środowiska domu rodzinnego, w połączeniu z budzącymi lęk wymaganiami egzaminacyjnymi, często okazują się zbyt stresujące dla młodego nowicjusza. W uniwersytetach brytyjskich około 20 procent studentów w którymś momencie trzyletnich studiów korzysta z porad psychiatry. Dla niektórych sytuacja staje się nie do zniesienia, toteż częste są samobójstwa, o czym świadczy fakt, że w uniwersytetach wskaźnik samobójstw jest od trzech do sześciu razy wyższy od średniej krajowej dla tej grupy wiekowej. W uniwersytetach w Oksfordzie i w Cambridge wskaźnik ten jest aż od siedmiu do dziesięciu razy wyższy.

Rzecz jasna, trudne próby, które tu opisuję, niewiele mają wspólnego z zachęcaniem do rozwijania dziecięcej swobody, wynalazczości i kreatywności. Podobnie jak w ceremoniach inicjacyjnych u plemion pierwotnych chodzi tu raczej o wyrabianie tożsamości superplemiennej. Dlatego ceremonie te odgrywają ważną rolę spajającą, ale nie jest to bynajmniej rozwój kreatywności umysłu.

Stosowanie tych ciężkich prób rytualnych jako składnika nowoczesnej edukacji uzasadnia się między innymi tym, że stanowią one jedyny pewny sposób, by studenci przyswoili sobie ogromną masę dostępnych obecnie faktów. To prawda, że osoba dorosła, by mogła poczuć się jako tako pewnie w roli wynalazcy, powinna dziś mieć szczegółową wiedzę i umiejętności fachowe. Ceremonie egzaminacyjne zapobiegają też ściąganiu. Co więcej, można by uważać, że studentów należy celowo narażać na stresy, by poddać próbnie ich

wytrzymałość. Wyzwania dorosłego życia są wszak stresujące i jeśli student załamuje się w trakcie trudnych prób, jakie nakłada na niego studiowanie, nie będzie prawdopodobnie zdolny wytrzymać presji, jakim zostanie poddany po ukończeniu studiów. Argumenty te wydają się słuszne, a jednak pozostaje odczucie, że pod ciężkim butem rytualnych procedur edukacyjnych możliwości kreatywne ulegają zniszczeniu. Nie sposób zaprzeczyć, że obecny system ma znaczną przewagę nad wcześniejszymi metodami nauczania, i że ci, którym uda się przetrwać, mogą potem wiele uzyskać na polu wynalazczości. W naszych współczesnych superplemionach znajduje się więcej dorosłych dzieci niż kiedykolwiek przedtem. Jednak mimo to, w wielu dziedzinach wciąż utrzymuje się atmosfera emocjonalnego oporu wobec pomysłów radykalnie nowych i odkrywczych. Osoby dominujące popierają nowe wariacje starych rozwiązań jako wynalazczość w mniejszej skali, ale wykazują opór wobec wynalazczości na wielką skalę, której owocem są nowe rozwiązania.

Oto przykład: zdumiewa sposób, w jaki wciąż usiłujemy usprawnić coś tak prymitywnego jak silnik współczesnych pojazdów mechanicznych. Wielce prawdopodobne, że nim nastanie wiek dwudziesty pierwszy, będzie on tak przestarzały, jak dzisiaj jest wóz konny. Mamy w tym względzie jedynie prawdopodobieństwo, a nie pewność tylko dlatego, że najtęższe umysły pracujące w tej branży usiłują w tej chwili rozwiązać jedynie mało znaczące problemy drobnych usprawnień istniejącego już mechanizmu, zamiast szukać czegoś zupełnie nowego.

Ta skłonność do krótkowzroczności w poszukiwaniach ludzi dorosłych jest miarą braku pewności siebie, która cechuje społeczeństwo żyjące w okresie pokoju. Być może w późniejszych fazach ery atomowej ludzkość osiągnie takie szczyty bezpieczeństwa superplemiennego albo wpadnie w tak silną panikę superplemienną, że zacznie uzyskiwać coraz większą zdolność do eksploracji, wynalazczości i kreatywności.

Nie będzie to jednak walka łatwa, co znajduje potwierdzenie w wydarzeniach, których miejscem stały się wiosną 1968 roku uniwersytety całego świata. Usprawnione systemy edukacyjne uzyskały już taką skuteczność, że wielu studentów nie chce bez dyskusji akceptować autorytetu osób starszych od siebie. Jest to zaskakujące dla nie przygotowanego społeczeństwa. Dlatego z oburzeniem przyjmuje ono hałaśliwe protesty studenckie. Zgorszone są także władze oświatowe. Cóż za niewdzięczność! W czym więc tkwi błąd?

Gdyby nas było stać na brutalną szczerłość wobec samych siebie, o odpowiedź nie byłoby trudno. Zawiera się ona w oficjalnych doktrynach tychże władz oświatowych. Stając w obliczu tego całego zamętu, muszą one pogodzić się z niewygodnym dla nich faktem, że sami sobie ten zamęt sprokurowali. Dosłownie prosili się o to mówiąc: "Myślcie na własny

rachunek". "Bądźcie zaradni, bądźcie aktywni, bądźcie pomysłowi". Jednym tchem przeczyli też sobie, dodając: "Ale róbcie to na *naszych* warunkach, *naszymi* sposobami, a nade wszystko, przestrzegajcie *naszych* rytuałów".

Nawet dla podstarzałego autorytetu powinno być oczywiste, że im bardziej słucha się pierwszej z tych rad, tym bardziej ignorować się musi tę drugą. Niestety zwierzę ludzkie nadzwyczaj często potrafi być ślepe na to, co oczywiste, jeżeli jest to coś szczególnie niemiłego, i właśnie takie samo oślepienie się jest przyczyną tylu obecnych trudności. Wzywając do większej zaradności i pomysłowości, władze nie przewidziały, jak silna będzie reakcja na te wezwania, i wkrótce wymknęła się im ona spod kontroli. Jak się wydaje, nie zdawano sobie sprawy z tego, że zachęca się do czegoś, co i tak jest już silnie wspierane przez czynniki biologiczne. Błędnie założono, że zaradność i poczucie odpowiedzialnej kreatywności są to właściwości obce młodemu umysłowi, podczas gdy naprawdę, przez cały czas były one tam ukryte i przy pierwszej okazji wybuchły.

Jak już wspomniałem, staromodne systemy edukacyjne robiły wszystko, aby właściwości te stłumić, wymagając większego posłuszeństwa wobec reguł ustalonych przez starszych. W rygorystyczny sposób narzucili oni uczenie się sztywnych dogmatów wzorem papugi. Pomysłowość musiała sama walczyć o siebie, dochodząc do głosu tylko u pojedynczych i wyjątkowych osób. Gdy jednak udało jej się dojść do głosu, jej wartość dla społeczeństwa nie podlegała dyskusji, co doprowadziło w końcu do obecnego stanu, w którym establishment widzi potrzebę czynnego jej popierania. Podchodząc do sprawy racjonalnie, uznano, iż wynalazczość i kreatywność są niezmiernie pomocne w osiągnięciu coraz większego postępu społecznego. Jednocześnie nie zanikł głęboko zakorzeniony u władz superplemiennych popęd do utrzymywania porządku społecznego za pomocą żelaznego uścisku i dlatego władcy ci sprzeciwiali się temu samemu trendowi, który oficjalnie popierali. Jeszcze bardziej okopywali się na swoich pozycjach, kształtując społeczeństwo w taki sposób, aby mieć gwarancję, iż oprze się ono nowym falom wynalazczości, którą przecież sami sprowokowali. Musiało więc dojść do zderzenia.

Z początku na wzrost nastrojów sprzyjających eksperymentowaniu establishment zareagował tolerancyjnym zdziwieniem. Ostrożnie obserwując coraz śmielsze ataki młodej generacji na uznane tradycje w sztuce, literaturze; muzyce, rozrywce i obyczajowości, zachowywano odpowiedni dystans. Jednak tolerancja legła w gruzach, gdy trend ów rozprzestrzenił się i objął takie newralgiczne dziedziny jak polityka i sprawy międzynarodowe.

Gdy zrazu samotni i ekscentryczni myśliciele utworzyli liczny skarżący się tłum, establishment szybko przestawił się na najbardziej prymitywną formę reakcji, czyli na atak. Zamiast z tolerancyjnym wyrozumieniem poklepać młodych intelektualistów po główkach, przyłożono im po łbach policyjnymi pałkami. Prężne mózgi, tak troskliwie hodowane przez społeczeństwo, ucierpiały nie na skutek przepracowania, lecz na skutek wstrząśnienia.

Dla władz morał jest oczywisty: nie udzielać swobód twórczych, jeśli się nie oczekuje, że ludzie z nich skorzystają. Młode zwierzę ludzkie nie jest tępym i gnuśnym stworzeniem, które trzeba zmuszać do kreatywności. Jest ono z zasady istotą kreatywną, która może sprawiać wrażenie gnuśnej pod wpływem czynników tłumiących, jakie odgórnie oddziaływały na nią w przeszłości. Establishment odpowiada na to, twierdząc, że protestującym studentom nie chodzi o żadne pozytywne innowacje, lecz o negatywne rozróby. Można temu przeciwstawić argument, że oba te zjawiska są ze sobą ściśle spokrewnione i że to pierwsze, zablokowane, wyradza się w to drugie.

Sekret polega na tym, że społeczeństwu należy zapewnić zdolność do wchłonięcia takiej dawki wynalazczości i nowatorstwa, jaką ono samo wyzwala. Ponieważ superplemiona nieustannie się rozrastają, a ludzkie zoo staje się coraz bardziej ściśnięte i zatłoczone, potrzebne jest staranne i pełne wyobraźni planowanie. Nade wszystko ze strony polityków, rządzących i urbanistów potrzebne jest dużo lepsze niż dotąd zrozumienie biologicznych potrzeb gatunku ludzkiego.

Im dokładniej przyglądać się sytuacji, tym bardziej staje się ona alarmująca. Reformatorzy i organizatorzy w najlepszej wierze pracują nad stworzeniem pomyślniejszych, według swego mniemania, warunków życiowych, ani przez chwilę nie wątpiąc w słuszność tego, co robią. Któż w końcu może kwestionować wartość zwiększania ilości jedzenia, a także liczby domów, mieszkań, samochodów, szpitali i szkół? Jeśli nawet te wspinałe dobra są do pewnego stopnia identyczne dla wszystkich, nic na to nie można poradzić. Ludzkość rozrasta się w takim tempie, że nie ma ani czasu, ani miejsca, żeby robić to lepiej. Tymczasem szkopał w tym, że z jednej strony wszystkie te nowe szkoły pękają od uczniów, pełnych nowych, gotowych do wcielania pomysłów i bardzo pragnących dokonywać zmian, a z drugiej strony inne, nowe osiągnięcia coraz bardziej uniemożliwiają jakiegokolwiek śmiałe innowacje. Rozprzestrzeniająca się wszędzie znormalizowana monotonia, charakteryzująca te nowe ułatwienia, nieuchronnie sprzyja powszechnemu wybieraniu bardziej banalnych rozwiązań w walce o bodźce. Jeśli nie będziemy dostatecznie uważni, ludzkie zoo coraz bardziej będzie przypominać dziewiętnastowieczną menażerię, której małe klatki zapelniają nerwowo, obsesyjnie krążący po nich więźniowie.

Taki właśnie pesymistyczny pogląd wyrażają niektórzy pisarze science fiction. Przedstawiają oni przyszłość, w której ludzie poddani są dławiącej jednolitości, tak jakby nowe osiągnięcia prawie całkowicie sparaliżowały wszelką dalszą wynalazczość. Wszyscy ubrani są w bezbarwne mundury, a wszystko wokół jest całkowicie zautomatyzowane. Jeżeli pojawiają się jakieś nowe wynalazki, służą one jedynie temu, aby jeszcze bardziej zacieśnić obręcz na ludzkim mózgu.

Ktoś mógłby powiedzieć, że taki obraz świadczy tylko o ubóstwie wyobraźni jego autorów, ale chodzi tu o coś więcej. Do pewnego stopnia wyolbrzymiają oni tylko ów trend, który już jest dostrzegalny w panujących dziś warunkach. Reagują oni na nieubłagany wzrost tego, co bywa nazywane "więzieniem projektanta". Problem polega na tym, że ponieważ nowe osiągnięcia w dziedzinie medycyny, higieny, budownictwa mieszkaniowego i produkcji żywności pozwalają stłoczyć coraz większą liczbę ludzi w określonej przestrzeni, elementy kreatywne w społeczeństwie w coraz większym stopniu ukierunkowują się na problemy ilości, a nie jakości. Pierwszeństwo daje się więc tym wynalazkom, które umożliwiają dalszy wzrost seryjnej miernoty. Efektywna jednolitość bierze górę nad stymulującą różnorodnością. Jak zauważył jeden ze zbuntowanych projektantów, prosta ścieżka łącząca dwa budynki jest może rozwiązaniem najbardziej efektywnym (i najtańszym), ale z punktu widzenia potrzeb człowieka nie musi to być ścieżka najlepsza. Zwierzę ludzkie wymaga przestrzeni życiowej o niepowtarzalnych właściwościach, z elementami zaskakującymi, dziwnymi, rzucającymi się w oczy i architektonicznie niezwykłymi. Bez tego wszystkiego owa przestrzeń ma niewielkie znaczenie stymulujące. Doskonale symetryczne konstrukcje geometryczne mogą być użyteczne, aby utrzymać na sobie dach albo ułatwić prefabrykację seryjnych bloków mieszkalnych, ale stosowanie ich jako elementów krajobrazowych jest sprzeczne z naturą człowieka. Jak bowiem wyjaśnić, dlaczego wędrowanie krętą wiejską dróżką sprawia tyle przyjemności? Dlaczego dzieci wolą bawić się na wysypisku śmieci lub w opuszczonych domostwach niż na przeznaczonych dla nich, czystych, sterylnych i geometrycznie wytyczonych placach gier i zabaw?

Aktualny prąd w architekturze, który polega na surowej prostocie projektów, może łatwo wymknąć się spod kontroli i posłużyć jako usprawiedliwienie dla braku wyobraźni. Minimum wyrazu estetycznego wywiera silne wrażenie jedynie w kontraście z innymi, bogatszymi formami wyrazu. Gdy owo minimum zaczyna dominować, może to przynieść fatalne skutki. Nowoczesna architektura od pewnego czasu idzie w tym właśnie kierunku, co znajduje silne poparcie u projektantów planujących kształt ludzkiego zoo. W odpowiedzi na potrzeby mieszkaniowe wciąż rosnącej masy ludzi w superplemionach w wielu miastach

mnożą się ogromne wysokościowce, a w nich identyczne, ujednolicone mieszkania. Usprawiedliwił się to likwidacją slumsów, ale nazbyt często oznacza to jedynie tworzenie super slumsów najbliższej przyszłości. W pewnym sensie są one gorsze niż nic, gdyż stwarzając fałszywe wrażenie postępu, dają samozadowolenie i niweczą szanse rzeczywistego rozwoju.

Z prowadzonych w bardziej oświecony sposób ogrodów zoologicznych usuwa się obecnie stare małpiarnie. Dyrektorzy spostrzegli, co dzieje się z ich podopiecznymi, i uświadomili sobie, że wyłożenie ścian glazurą czy usprawnienie kanalizacji nie rozwiązuje problemu. Dyrektorzy ludzkich zoo, mając do czynienia z błyskawicznie rosnącą liczbą ludzi, nie wykazują takiej dalekowzroczności. Wyniki ich eksperymentów z zagęszczaniem w warunkach jednolitości poddawane są właśnie ocenie w sądach dla nieletnich i w poradniach psychiatrycznych. W niektórych osiedlach mieszkaniowych zaleca się, aby przyszli lokatorzy wysokościowców, *zanim* się tam wprowadzą, poddawali się badaniom psychiatrycznym, aby się dowiedzieć, czy zdaniem psychiatry zniosą oni trudy nowego, wspaniałego stylu życia. Już samo to powinno być dla projektantów wystarczającym ostrzeżeniem, dobitnie ujawniając im ogrom idiotyzmu, jaki popełniają, ale na razie nic nie wskazuje na to, że zwracają oni na takie ostrzeżenia jakąkolwiek uwagę. Gdy stawia im się przed oczy niedostatki ich dokonań, twierdzą, że nie mają innej możliwości, ludzi bowiem wciąż przybywa i muszą oni gdzieś mieszkać. Trzeba jednak znaleźć jakieś możliwości. Należy poddać ponownej ocenie całe zespoły miejskie. Udręczeni obywatele ludzkiego zoo muszą w jakiś sposób odzyskać poczucie tożsamości właściwe "społecznościom wiejskim". Autentyczna wioska oglądana z lotu ptaka ma wygląd żywego organizmu, a nie jakiejś figury geometrycznej, co większość urbanistów z całym rozmysłem ignoruje. Nie potrafią oni docenić podstawowych potrzeb człowieka związanych z jego zachowaniem się na określonym terytorium. Domy i ulice nie są przede wszystkim po to, aby na nie patrzeć jak na jakieś dekoracje, .lecz aby się w nich poruszać. Gdy przemierzamy nasze szlaki terytorialne, środowisko architektoniczne winno na nas oddziaływać w każdej sekundzie i minucie, a jego wygląd powinien ulegać drobnym zmianom wraz ze zmieniającym się punktem widzenia. Gdy skręcamy za róg czy otwieramy drzwi, ostatnią rzeczą, z którą pragniemy się zetknąć, jest drętwa kopia tej samej konfiguracji przestrzennej, którą właśnie zostawiliśmy za sobą. Jednak nazbyt często właśnie to nam się zdarza, gdyż architekt pochylający się nad swą rysownicą działał raczej jak pilot szukający celu, który ma zbombardować, niż jak ktoś, kto utożsamia się z malutkim obiektem poruszającym się w obrębie danego otoczenia.

Problemy wynikające z seryjnej monotonii i jednolitości przenikają oczywiście prawie wszystkie dziedziny współczesnego życia. Wraz z ciągle rosnącą złożonością środowiska w ludzkim zoo, z dnia na dzień zwiększają się też zagrożenia płynące ze wzmożonego znormalizowania społeczeństwa. Podczas gdy organizatorzy walczą o to, by wtłoczyć zachowanie ludzkie w coraz to sztywniejsze ramy, inne prądy działają w przeciwnym kierunku. Jak się już przekonaliśmy, zarówno stała poprawa w dziedzinie kształcenia młodzieży, jak rosnąca zamożność dorosłych prowadzą do coraz większego zapotrzebowania na stymulację, przygodę, podniecenie i eksperymentowanie. Jeśli współczesny świat dopuści do ujawnienia się tych trendów, jutrzejsi członkowie superplemienia będą usilnie walczyć o jego zmianę. Będą dysponowali umiejętnościami, czasem i energią potrzebną do eksploracji i dlatego taką czy inną drogą uda im się tego dokonać. Jeśli poczują, że zamknięto ich w "więzieniu projektanta", zorganizują bunt więźniów. Jeśli otoczenie nie pozwoli im na kreatywne innowacje, zniszczą to otoczenie, aby móc zacząć od nowa. Jest to jeden z największych problemów, przed którymi stoją nasze społeczeństwa. Jego rozwiązanie jest ogromnym zadaniem na przyszłość.

Niestety często zapominamy o naszej zwierzęcej naturze, która ma określone słabe i mocne strony. Myślimy o sobie jak o czystych kartach, na których wszystko da się napisać. Niestety tak nie jest. Przychodzimy na ten świat z zestawem podstawowych instrukcji i wiele ryzykujemy, gdy je ignorujemy lub ich nie słuchamy.

Politycy, rządzący i inni przywódcy superplemienia są dobrymi matematykami społecznymi, ale to nie wystarcza. W nadchodzącym, coraz bardziej zatłoczonym świecie jutra powinni też być dobrymi biologami, ponieważ gdzieś tam, w owym kontrolowanym przez nich gąszczu drutów, przewodów, plastików, betonu, cegieł, metalu i szkła, tkwi zwierzę, ludzkie zwierzę, pierwotny myśliwy plemienny udający cywilizowanego obywatela superplemienia i rozpaczliwie walczący, by dopasować swoje cechy dziedziczne do swojej nowej, niezwyklej sytuacji. Jeśli da mu się szansę, może jeszcze potrafi zamienić swoje ludzkie zoo we wspañały ludzki ogród zabaw. Jeśli tej szansy nie otrzyma, ludzkie zoo może się mnożyć, aż zamieni się w gigantyczny dom wariatów, podobny do potwornie zagęszczonych dziewiętnastowiecznych menażerii.

My, czyli członkowie superplemienia żyjący w dwudziestym wieku, z zainteresowaniem będziemy oglądać to, co się wydarzy. Ale dla naszych dzieci nie będzie to kwestia zainteresowania. Zanim zostaną one panami sytuacji, gatunek ludzki niewątpliwie stanie przed problemami o takim wymiarze, że dla nich będzie to kwestia życia lub śmierci.